NAJLEPSZE RODZINNE PARKI ROZRYWKI W POLSCE

BUDZISZ: ROSJA, NIEMCY, UKRAINA. CZY POLSKA ZOSTANIE WZIĘTA „W TRZY OGNIE"?

KOMORY GAZOWE DOWODY SĄ NIEPODWAŻALNE

KS. WĄSOWICZ O KAROLU NAWROCKIM – KIBICU

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
30 (660) 2025
21–27 lipca 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 28 VII 2025 r.

TYLKO U NAS

CZY „NASI CHŁOPCY" SŁUŻYLI W WEHRMACHCIE? CZY GDAŃSK I WROCŁAW CHCĄ DO NIEMIEC?

GERMANIZATORZY

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY (dawniej upc)	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl 09487c1694

Żałosny donos Sikorskiego na mocny głos biskupów

Stare czasy wróciły szybciej, niż sądzono. Po wizytowaniu kościołów, nagrywaniu kazań i atakowaniu za nie księży, przyszedł czas na biskupów. Radosław Sikorski postanowił zrecenzować kazania jasnogórskie i złożyć w Watykanie donos na ich autorów. MSZ wysłało do Stolicy Apostolskiej „démarche w sprawie krzywdzącej i wprowadzającej w błąd treści kazania bp. Wiesława Meringa oraz wypowiedzi bp. Antoniego Długosza". List zawiera zuchwałe próby recenzowania homilii, uznając je za niezgodne z nauczaniem Kościoła. Są w nim groźby i stwierdzenia o naruszeniu konkordatu. Roi się w nim także od kompromitujących błędów. MSZ myli daty opisywanych wydarzeń, miesza zawarte w kazaniach cytaty z wypowiedziami, a nawet używa nazw instytucji, które nie istnieją: Ruch Obrony Granic nazywa Ruchem Obrony Pogranicza.

Donos resortu Sikorskiego do Watykanu czyta się tak, jakby pisał go najbardziej gorliwy pracownik IV Wydziału Służby Bezpieczeństwa. MSZ recenzuje kazania, formułując przekonanie, że „pozostają w głębokiej niezgodności z nauczaniem Kościoła katolickiego i historycznym doświadczeniem pojednania polsko-niemieckiego po II wojnie światowej". „Stanowczo potępiamy słowa homilii jako nieadekwatne do faktów historycznych i dezawuujące działania tych wszystkich, którzy dążyli i dążą do budowania mostów między Polską a Niemcami" — pisze resort Sikorskiego. Powołuje się na zapisy o „mowie nienawiści", grozi i apeluje o „wyciągnięcie stosownych konsekwencji" wobec biskupów. Jakże uderzająca proniemieckość.

Wnioski są jasne – Kościół ma milczeć, wiara ma być niewidoczna w życiu publicznym, a duchowni mają operować odrealnionymi alegoriami, nie dotykając spraw społeczno-politycznych. Wszystko zgodnie z zapowiedziami Sławomira Nitrasa, że „Kościół trzeba opiłować" na tyle skutecznie, by katolicy stanowili w Polsce mniejszość.

Gdyby trzymać się wytycznych zawartych w liście Sikorskiego, kłopoty mieliby wszyscy zatroskani o ojczyznę kapłani – od ks. Piotra Skargi poprzez prymasa Hlonda, prymasa Wyszyńskiego po św. Jana Pawła II. Na szczęście Kościół nie milczy. W homilii wygłoszonej podczas XXXIV Pielgrzymki Radia Maryja na Jasną Górę ks. bp Wiesław Mering wskazał na zagrożenia dla polskiej tożsamości i suwerenności płynące zarówno ze Wschodu, jak i z Zachodu oraz na działania rządu sprawiające, że Polska jest podporządkowywana niemieckim interesom. Z kolei ks. bp Antoni Długosz modlił się podczas Apelu Jasnogórskiego za obrońców granic (i mundurowych, i obywatelskich), podkreślając ich rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa kraju i odparciu nielegalnej imigracji.

Słowa biskupów, choć stanowcze, są prawdziwe i pełne troski. Tak bezpośredniego zagrożenia Polska nie doświadczała od lat, widzimy to na co dzień. Bezwolna wobec Niemiec polityka rządu sprawia, że niebezpieczeństwo narasta równie mocno, jak nieufność obywateli wobec władzy. Pakt migracyjny jest wprowadzany wbrew naszej woli, a każdy akt sprzeciwu jest kwitowany szantażem moralnym. Właśnie dlatego tak ważny pozostaje głos Kościoła. Bo przecież miłosierdzie nie oznacza otwierania drzwi każdemu, o czym przypomniał ks. bp Długosz, a zasada *ordo caritaris* narzuca obowiązek zatroszczenia się w pierwszej kolejności o najbliższą wspólnotę. A ta jest poważnie zagrożona przez drapieżną ingerencję zewnętrznych interesów. Widać to w postępujących procesach inwazji kulturowej, deformowaniu pamięci historycznej, nachalnej germanizacji, wypieraniu polskości i zawłaszczaniu kolejnych przestrzeni od edukacji po gospodarkę. Niestety próżno szukać adekwatnej reakcji rządu bazującej na głębokim rozumieniu polskiej racji stanu. Z listu Sikorskiego przebija większa troska o „poprawne relacje z Niemcami" niż o bezpieczeństwo Polski.

Księża biskupi mają rację. Czekaliśmy na ich stanowczy głos od dawna. Potrzebujemy jednoznacznego i mocnego stanowiska Kościoła wobec coraz bardziej zuchwałych i szkodliwych działań rządu Donalda Tuska wymierzonych w polskość, katolicyzm, tożsamość narodową, prawdę historyczną i suwerenność państwa. Ogromne zatem wyrazy wdzięczności dla ks. bp. Antoniego Długosza, ks. bp. Wiesława Meringa i o. dyrektora Tadeusza Rydzyka, a także nieustannie atakowanego ks. bp. Marka Jędraszewskiego za ich odwagę i nieustępliwość. Jako wierni stajemy za nimi murem.

Trwa walka o polskość, z której nie wolno zdezerterować. Najwyższa pora, byśmy pokazali jedność, siłę i moc Kościoła. Bądźmy razem i nie pozwólmy rozbroić naszej tożsamości.

Marzena Nykiel

Autopromocja

SIECI spis treści

24 Szkodnicy, cwaniacy, średniaki
Stanisław Janecki

35 Subiektywny przegląd rodzinnych parków rozrywki w Polsce
Maciej Wośko

58 Spokojny człowiek na nerwowe czasy
Michał Muzyczuk

NA POCZĄTEK

5 **AUTORYTETY PRAWNICZE III RP**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ICH CHŁOPIEC**
Krzysztof Feusette

9 **EKSPERYMENT NAD WISŁĄ I CIĄGŁE TESTOWANIE**
Samuel Pereira

9 **POLITYKA HISTORYCZNA POD WROGIM DOWÓDZTWEM**
Arkadiusz Mularczyk

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ROK Z KOMISJĄ EUROPEJSKĄ, CZYLI JAK BRUKSELA URATOWAŁA ŚWIAT... NA PAPIERZE**
Daniel Obajtek

13 **NARRACYJNA DEKONSTRUKCJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MACIEJA DOMINIKA**
Michał Korsun

16 **NAJLEPSI Z PRZESZŁOŚCI, NADZIEJA NA PRZYSZŁOŚĆ**
Jolanta Gajda-Zadworna, Michał Muzyczuk

18 **KRONIKA WAKACYJNA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **GERMANIZACJA PO NOWEMU**
Marek Pyza

KRAJ

24 **SZKODNICY, CWANIACY, ŚREDNIACY**
Stanisław Janecki

28 **GŁUCHY TUSK**
Konrad Kołodziejski

32 **WIWISEKCJA PORAŻKI**
Maciej Walaszczyk

35 **LUNAPARKI, LANDY I WORLDY, CZYLI SUBIEKTYWNY PRZEGLĄD RODZINNYCH PARKÓW ROZRYWKI W POLSCE**
Maciej Wośko

ŚWIAT

40 **POLSKA WZIĘTA W „TRZY OGNIE"**
Marek Budzisz

43 **CZY NIEMCY SFINANSUJĄ WOJNĘ?**
Jan Rokita

46 **ZEPSUTA HISZPANIA**
Dariusz Matuszak

OPINIE

49 **JESTEM CHŁOPAKIEM, KTÓRY WYCHOWAŁ SIĘ NA STADIONIE**
Z ks. Jarosławem Wąsowiczem rozmawia Goran Andrijanić

HISTORIA

52 **KOMORY GAZOWE – PRAWDA O NIEMIECKICH ZBRODNIACH**
Stanisław Płużański

SPORT

55 **POLSKA KRÓLOWA WIMBLEDONU**
Michał Muzyczuk

58 **SPOKOJNY CZŁOWIEK NA NERWOWE CZASY**
Michał Muzyczuk

NATURA DLA LUDZI

60 **KOT I LUDZIE, RAZEM I OSOBNO**
Przemysław Barszcz

SIECI KULTURY

63 **WOLNY Z WYBORU**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

68 **UNIEWAŻNIENIE GRZECHU**
Robert Tekieli

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI: JOAN DE DÉU PRATS**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **IGA – DEMOLKA, JAN – NADZIEJA**
Ryszard Czarnecki

74 **DALEJ POZA PRZEPYCH**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 09487c1694

BRONISŁAW WILDSTEIN

Autorytety prawnicze III RP

Ujawnienie zakulisowych działań premiera Tuska w celu blokowania prezydentury Nawrockiego powinno stać się politycznym trzęsieniem ziemi. Niestety wygląda na to, że sprawa, jak wszystkie skandale obecnego rządu, rozejdzie się po kościach.

Pretekstem do przesunięcia zaprzysiężenia prezydenta „na świętego nigdy" i przejęcie jego funkcji przez marszałka Hołownię miało być liczenie jeszcze raz głosów. Oficjalne wyniki kwestionowane są przez niezadowolonych. Każde demokratyczne wybory pozostawiają ich sporą grupę. Jeśli zastosują oni strategię Giertycha i zaczną zalewać sądy protestami, powód do ponowienia procedur zawsze się znajdzie. I zawsze pozostaną niejasności, bo taka jest ludzka rzeczywistość.

Pisałem wcześniej, że metoda Giertycha uderza w fundament demokracji. Okazuje się, że jest to metoda Tuska.

Konstytucja wylicza pięć powodów przejęcia przez marszałka obowiązków prezydenta. Nie ma wśród nich kolejnego liczenia wyborczych głosów. Tusk za wszelką cenę chciał jednak przepchnąć ustawy, których nie podpisaliby prezydenci Duda czy Nawrocki, m.in. niesławnej abolicji dla rządzących. Aby uniknąć odpowiedzialności za łamanie prawa, Tusk próbował je złamać raz jeszcze.

W pierwszym punkcie rozdziału konstytucji poświęconym prezydentowi czytamy: „Prezydent [...] jest gwarantem ciągłości władzy państwowej". Podstęp Tuska usiłował ciągłość tę naruszyć. Wyczerpuje to treść art. 128 Kodeksu Karnego poświęconego „zamachowi na konstytucyjny organ RP". „Kto w celu usunięcia przemocą konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej podejmuje działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności od lat 3 do 20".

Nie ma sensu rozwodzić się nad tym, że sprawa jest przemilczana lub marginalizowana przez dominujące media i ośrodki opiniotwórcze. To tylko kolejny dowód na to, że funkcjonują one jako front propagandowy rządzącej oligarchii.

Szczególnie znacząca w sprawie jest postawa „autorytetów prawniczych III RP". Ujawniając plan Tuska, Marcin Fijołek zwrócił uwagę, że stanowi on „scenariusz, który przedstawił prof. Andrzej Zoll". Rzeczywiście, czołowy autorytet prawny III RP, piastujący wcześniej stanowiska prezesa Trybunału Konstytucyjnego, Rzecznika Praw Obywatelskich czy przewodniczącego Państwowej Komisji Wyborczej, propagował w TVN zamach stanu. Towarzyszyły mu kolejne postacie odgrywające w Polsce podobne role.

W TVP identyczne propozycje składała była I prezes SN prof. Małgorzata Gersdorf.

Prof. Marek Safjan, dawniej również prezes TK i sędzia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej – wyliczenie jego zaszczytnych funkcji i tytułów nie zmieściłoby się w felietonie – w styczniu, gdy środowiska władzy pewne były, że wybory wygra Rafał Trzaskowski, mówił: „Nie jest tak, że wobec niepewności statusu Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych nowo wybrany prezydent nie będzie mógł podjąć swoich funkcji. Zgadzam się, że stwierdzenie ważności nie stanowi koniecznej przesłanki do złożenia ślubowania i objęcia urzędu przez prezydenta". Obecnie zmienił zdanie zasadniczo: „Trudno mi sobie wyobrazić, prawdę mówiąc, skuteczne zaprzysiężenie prezydenta w oparciu o fakt, który stwierdzałby ważność wyborów, a który pochodzi od nieuprawnionego organu sądowego".

Oto głos elity prawniczej III RP. Oto autorytety, do których dekadami odwoływały się media i ośrodki opiniotwórcze. To ich kompetencje i koherencja miały rozstrzygać podstawowe sprawy państwa. Eksperci, którzy w imię politycznych interesów kwestionują fundamenty prawa.

„Liberalna demokracja" uznawana jest za merytokrację, czyli władzę zasłużonych, elit, których wiedza, charakter i zasługi pozwalają im występować w pozycji politycznych arbitrów.

Środowiska takie zawsze zagrożone są degeneracją. Zaczynają szybko wierzyć w swoje szczególne posłannictwo i uznawać, że ich pozycja jest gwarantem właściwego ładu politycznego. Przyjmują, że to jej wszystko winno być podporządkowane. III RP potęguje ten stan rzeczy.

W aferze podsłuchowej z 2014 r. mogliśmy usłyszeć, jak wysłannik Tuska Bartłomiej Sienkiewicz namawia Marka Belkę, ówczesnego szefa NBP, aby przed wyborami zwiększył podaż pieniądza tak, aby Polacy odczuli złudne poczucie poprawy materialnego statusu. Przypisaliby to rządzącej wówczas PO i głosowali na nią. Belka zaakceptował propozycję i z pogardą wypowiadał się o ekonomicznych standardach, dla których nadzorowania NBP został powołany.

Sprawa nie została w ogóle przemyślana. Komentatorzy skupiali się na niecenzuralnych wypowiedziach rozmówców i nie dostrzegali, że strażnik narodowego pieniądza zgadza się go zepsuć dla doraźnych politycznych interesów oraz szydzi z zasad, których ma strzec.

Oto egzemplifikacja mechanizmu funkcjonowania „merytokracji" w liberalnym wcieleniu.

Ci, którzy mieli być strażnikami norm, swoją władzę uznają za normę najwyższą.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 09487c1694

Sygnalista nadaje

„Czekam na te lata, aż przypłynie tu grupa wyborców, [...] po prostu innych. I krajobraz, kultura, innowacyjność, wszystkie możliwe oblicza tego kraju zmienią się na pozytywne" – mówił szczerze ***Sławomir Sierakowski***, redaktor naczelny lewicowej „Krytyki Politycznej" na niedawnym panelu w Warszawie. To jego odpowiedź na pytanie, na kogo według niego będą głosowali migranci, którzy trafią do Polski. Sierakowski w euforii powtórzył to, co jest już dobrze znane na Zachodzie, czyli że imigranci w większości głosują na różne lewackie projekty, jakie właśnie prezentuje redaktor.

A co z falą przemocy, którą migranci przynieśli na Zachód, czego jesteśmy świadkami każdego dnia? Co tam, to tylko jakieś bajki, mówi Sierakowski. Nie mamy się czego bać. Trzeba nam jak najwięcej migracji, powtarza. Trzeba przyznać, że Sierakowskiemu nie sposób odmówić jednej rzeczy – szczerości. Marzy o dniu, kiedy Polska się „odmieni", a polskość – ta, by zacytować klasyka, „nienormalność" – w końcu z niej zniknie. I mówi o tym otwarcie.

Zarysujmy jeszcze trochę tę „zmienioną" Polskę, o której marzy Sierakowski. Na pewno jest w niej miejsce dla ministra ***Adama Bodnara*** – „obrońcy praworządności", a wulgarna i agresywna Katarzyna Augustynek (Babcia Kasia) odgrywa w niej rolę „aktywistki obywatelskiej". W rzeczywistości kobieta od kilku lat zachowuje się jak najgorsza, najbardziej bezwzględna chuliganka – wobec policji, ale przede wszystkim wobec wszystkich swoich oponentów. Ratują ją tylko dwie rzeczy: wiek i ochrona, jaką zapewnia jej salon III RP, widząc w niej swoją bohaterkę. Jaki salon, taka bohaterka.

Pomimo licznych udokumentowanych przypadków werbalnych i fizycznych ataków „Babci Kasi" na policję, kasta zawsze ją uniewinniała. Ta sama kasta nie miała natomiast żadnych skrupułów, aby skazać działacza patriotycznego ***Roberta Bąkiewicza*** za rzekome poturbowanie Augustynek, gdy brała ona udział w ataku na kościoły zorganizowanym przez feministki ze Strajku Kobiet. Bąkiewiczowi, który dziś jest głównym organizatorem Ruchu Obrony Granic, groziła nawet kara więzienia. W jego obronie stanął prezydent Andrzej Duda, który częściowo go ułaskawił, przez co lewicowo-liberalni politycy wpadli we wściekłość. „Andrzej Duda, jesteś najgorszym sk..., jakiego ziemia nosi. Obyś sczezł!", zareagowała w swoim prymitywnym stylu Augustynek, czym dała sobie najlepsze świadectwo.

W całej tej sprawie chodziło tylko o jedną rzecz – zablokowanie Ruchu Obrony Granic, którego Bąkiewicz jest jednym z głównych organizatorów. Ruch zjednoczył zwykłych ludzi, którzy po prostu chcą zrobić to, czego rząd Donalda Tuska nie robi – chronić rodziny i granicę przed nielegalnymi imigrantami, których Niemcy wciąż „przerzucają" na polską stronę. Ten spontaniczny ruch stanowi dla Tuska ogromną przeszkodę.

Liczy się także wsparcie Kościoła katolickiego i jego kapłanów. Najpierw bp Antoni Długosz, a potem również bp Wiesław Mering w kazaniach na Jasnej Górze ostrzegali przed niebezpieczeństwami na zachodniej granicy, po czym publicznie wsparli działania Ruchu. Jak zareagował rząd? Tak, że minister spraw zagranicznych ***Radosław Sikorski*** napisał list do Stolicy Apostolskiej, donosząc

eprasa.pl 09487c1694

na polskich hierarchów, żądając reakcji Watykanu, bo biskupi – uwaga! – „zagrażają godności człowieka i suwerenności Polski". Sikorski chyba uważa, że nadal żyjemy w czasach, kiedy władza nakazywała Kościołowi, co wypada mówić, a co nie. Ale ta strategia nie była skuteczna nawet w najgłębszym komunizmie, a ma być skuteczna teraz, w czasach demokracji? Sikorski chyba kompletnie stracił rozum.

Niestety podobna przypadłość dotknęła organizatorów skandalicznej wystawy w Gdańsku pt. „Nasi chłopcy", która ukazuje los Polaków wcielonych do Wehrmachtu podczas II wojny światowej, zorganizowanej przez Muzeum Gdańska i Muzeum II Wojny Światowej. „Nasi chłopcy" stali się więc tymi Polakami, których siłą zmobilizowano do zbrodniczych formacji wojskowych, a przygoda w Wermachcie – jak czytamy w tekście wystawy – była wspaniałą okazją do poznania nowych krajów!

„Czujemy łączność z naszymi przodkami, tymi, którzy ginęli za Polskę i walczyli za nasz kraj", powiedziała radna sejmiku wojewódzkiego Natalia Nitek-Płażyńska na proteście przeciwko wystawie, „z tymi, którzy Polskę odbudowywali. O tych Polakach w Gdańsku się nie dowiemy, o nich muzeum w Gdańsku nie mówi". A dlaczego się o tym nie mówi? Bo prawdziwi bohaterowie i patrioci nie wpisują się w politykę historyczną Niemców, którzy poprzez swoje marionetki mają niewyobrażalny wpływ na wszystko, co się dzieje w Gdańsku.

Sąd Rejonowy w Pszczynie nieprawomocnie uznał za winnych trzech lekarzy oskarżonych w związku ze śmiercią Izabeli, która będąc w ciąży, zmarła wskutek wstrząsu septycznego. Przypominamy – chodzi o tragiczny przypadek z września 2021 r., kiedy w szpitalu w Pszczynie zmarła kobieta będąca w zaawansowanej ciąży, a do szpitala zgłosiła się po tym, jak odeszły jej wody płodowe. Tragiczne zdarzenie było błędem medycznym, czego dowodzi niniejsza decyzja sądu. Jednak ówczesna „totalna opozycja", a dziś rządząca koalicja 13 grudnia wykorzystała śmierć kobiety do własnych celów politycznych i bez żadnych argumentów powiązała tragedię z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r., który zniósł aborcję eugeniczną. Cała ta histeria miała oczywiście jeden cel – skompromitować decyzję TK i rządzące wtedy Prawo i Sprawiedliwości. Tymczasem tragiczny los Izabeli stał się również elementem agendy europejskiego ruchu proaborcyjnego, a jej przypadek jest przywoływany w różnych inicjatywach mających na celu legalizację zabijania nienarodzonych dzieci. Co będzie teraz, gdy decyzja sądu dowodzi, że nie chodzi o żaden „wpływ orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego", lecz o błędną ocenę sytuacji i zaniechania lekarzy? Nic. Będą się upierać przy swojej narracji. Dowodem na to jest wpis rzecznika rządu Adama Szłapki, który nieustępliwie twierdzi – czemu daje wyraz na portalu X – że „PiS i Kaczyński ponoszą odpowiedzialność moralną" za śmierć Izabeli. „Najlepiej wychodzi wam taniec na trumnach i nieszczęściu ludzi... Nic innego nie potraficie" – dobrze podsumował to poseł PiS Rafał Bochenek.

Dowodem na to, że Tusk i jego towarzystwo naprawdę niczego nie potrafią, są również wydarzenia związane z nowym budżetem UE, który według wielu okaże się bardzo niekorzystny dla Polski. „To jest najgorszy budżet UE dla Polski w historii" – mówi były premier Mateusz Morawiecki, dodając, że w poprzednim planie, który sam negocjował, Polska była beneficjentem w wysokości ok. 120 mld euro łącznie. Teraz, ostrzega Morawiecki, suma dla Polska ma nie przekroczyć 50 mld! To o 70 mld euro mniej! Najwięcej ucierpią polscy rolnicy z powodu zmniejszenia finansowania wspólnej polityki rolnej. „Tusk został masakrycznie ograny" – mówi Morawiecki o premierze, który chwalił się kiedyś, że „w Europie nikt go nie ogra". Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie tragiczne dla nas wszystkich, którzy cierpimy z powodu jego niekompetencji i arogancji.

Pewnego dnia ktoś będzie musiał przeanalizować, jakie szkody koalicja 13 grudnia wyrządziła różnym instytucjom kulturalnym i naukowym w niecałe dwa lata. Jedną z nich jest z pewnością Instytut Pieleckiego. Placówka, którą poprzedni dyrektorzy Wojciech Kozłowski i Magdalena Gawin przekształcili w prawdopodobnie najważniejszą polską instytucję prezentującą naszą politykę historyczną za granicą, pod rządami nowego dyrektora prof. Krzysztofa Ruchniewicza, utraciła całą swoją jakość w nieco ponad rok. Szczytem okazał się jednak epizod wybielania historycznej winy za obławę augustowską por. Maksymiliana Schnepfa, ojca Ryszarda Schenpfa, dyplomaty z obozu koalicji 13 grudnia oraz teścia Doroty Wysockiej-Schnepf, głównej funkcjonariuszki propagandy partyjnej w neo-TVP. Po tym, jak Instytutowi zarzucili nieuwzględnienie w wystawie dotyczącej obławy augustowskiej por. Maksymiliana Schnepfa, instytucja opublikowała wpis w sieciach społecznościowych, w którym zbagatelizowała winę zbrodniarza. Jak się wytłumaczyli? W istocie chodzi o to, że jednostka kierowana przez Schnepfa zatrzymała „tylko" 22 osoby! Tak, to instytucja państwowa, szanowni państwo, za którą wszyscy płacimy. Nie do wiary!

Fot. Fratria, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 09487c1694

Ich chłopiec

Krzysztof Feusette

Kanclerz Merz: Halo? Herr polnische Premier?
Premier Tusk: Ja. To znaczy jawohl, herr Kancliren!
Kanclerz Merz: Pytanie jest proste – co zrobiłeś dla ojczyzny?
Premier Tusk: W jakim sensie?
Kanclerz Merz: Dobrze wiesz, w jakim.
Premier Tusk: Ale ojczyzny ojczyzny czy ojczyzny w sensie Heimat?
Kanclerz Merz: Nie rżnij głupa! Dobrze wiesz, o którą ojczyznę mi chodzi.
Premier Tusk: No więc tak. W Gdańsku...
Kanclerz Merz: Gdzie?!
Premier Tusk: W Danzig. Zrobiliśmy wystawę „Nasi chłopcy". O chłopakach Polakach, którzy trafili do Wehrmachtu.
Kanclerz Merz: Strasznie smutne święta mieli tam u was...
Premier Tusk: No wiem. Już wasz Onet o tym pisał.
Kanclerz Merz: Chyba „nasz" Onet?
Premier Tusk: No przecież mówię, że nasz. Wcześniej w Danzig jeździł tramwaj z podobizną Fritza Habera.
Kanclerz Merz: A kto to jest?
Premier Tusk: Wynalazca cyklonu B.
Kanclerz Merz: Wybitny naukowiec. A co planujecie na 1 września?
Premier Tusk: No, chcieliśmy z Danzig Queen Dulkiewicz zrobić radosny pochód i tańce. No i żeby wiceprezydent Grzelak powiedział, że II wojna światowa zaczęła się od złego słowa Polaka na Niemca. Ale to już raz nie przeszło. Polacy się połapali.
Kanclerz Merz: Szajse, tyle macie tam naszych mediów dla Polaków i mimo to się połapali? Straszny naród.
Premier Tusk: Nienormalny. A ile było krzyku, jak żeśmy teraz ściągnęli Pileckiego, o. Kolbego i Ulmów z wystawy w Muzeum II Wojny Światowej?!
Kanclerz Merz: Kim byli?
Premier Tusk: Pilecki poszedł do Auschwitz, żeby opisać zbrodnie, Kolbe oddał życie w obozie za współwięźnia, a Ulmów zamordowaliście za ukrywanie Żydów.
Kanclerz Merz: Nie my, tylko naziści! I po co ukrywali? Przed Polakami trzeba było ukrywać.
Premier Tusk: No wiem. Mamy już na szczęście nową szefową w Auschwitz...
Kanclerz Merz: Niemka?
Premier Tusk: Nie, jeszcze lepiej. Polka, która twierdzi, że Żydzi bardziej bali się Polaków niż was.
Kanclerz Merz: Was ist das „was"?! Już ci mówiłem, że to byli naziści!
Premier Tusk: Ale jakiej narodowości?
Kanclerz Merz: Nazista nie ma narodowości. Jak u nas chodzą marsze neonazistów, to jakiej oni są narodowości?
Premier Tusk: Polacy?
Kanclerz Merz: Część na pewno, ale reszta to bezpaństwowcy.
Premier Tusk: O mnie w kraju też tak mówią...
Kanclerz Merz: Z zawiści, że dostałeś tyle naszych odznaczeń. Angela bardzo cię ceniła.
Premier Tusk: Ale nie dała reparacji. Żartowałem.
Kanclerz Merz: Lepiej tak nie żartuj. Wiesz, ile musieliśmy wydać na ten głupi kamień pamięci?! Przecież to kosztowało co najmniej tyle, ile jakiś obraz albo inny antyk, które musieliśmy od was wywieźć, żeby uratować przed zniszczeniem. A co słychać w Breslau?
Premier Tusk: Wszystko jest na dobrej drodze. Most Grunwaldzki przerabiamy z powrotem na Cesarski. Żeby ludzie pamiętali.
Kanclerz Merz: Nareszcie. Widzę, że są tam jeszcze nasi chłopcy.
Premier Tusk: A co ma nie być. Przecież jako Platforma Obywatelska współrządziliśmy na Śląsku wspólnie z RAŚ.
Kanclerz Merz: Co to jest?
Premier Tusk: Ruch Autonomii Śląska Gorzelika.
Kanclerz Merz: Polak?
Premier Tusk: Cholera go wie. Mówi, że nie czuje się Polakiem, tylko Ślązakiem.
Kanclerz Merz: Swój człowiek. A z czego żyje?
Premier Tusk: Np. sprzedają koszulki z napisem: „Śląsk jest moją ojczyzną".
Kanclerz Merz: Po polsku?!
Premier Tusk: No skąd. Przecież tu chodzi o autonomię. Wyłącznie po niemiecku.
Kanclerz Merz: No i dobrze. Aha, żebym nie zapomniał – na granicy jacyś ludzie blokują nam przerzut migrantów. A umawialiśmy się inaczej.
Premier Tusk: No wiem. Już robimy z tym porządek. Bo porządek musi być.
Kanclerz Merz: Tak, porządek. Tylko co dalej? Bo ten wasz Ruch Obrony Granic bardzo przeszkadza w normalizacji stosunków. A ten Bąkiewicz...
Premier Tusk: Zajęliśmy się nim.
Kanclerz Merz: Po naszemu?
Premier Tusk: Bodnar odmroził mu wykonanie kary.
Kanclerz Merz: A za co?
Premier Tusk: Wyrwał jakiejś jędzy flagę.
Kanclerz Merz: Niemiecką?
Premier Tusk: No skąd. Tęczową. To go oskarżyliśmy o pobicie.
Kanclerz Merz: Bardzo dobrze. To są sprawdzone metody. I co, siedzi?
Premier Tusk: Niestety nie. Duda go ułaskawił.
Kanclerz Merz: Straszny człowiek. Dobrze, że to już tylko kilkanaście dni do końca tej haniebnej prezydentury. Odliczacie?
Premier Tusk: Już nie.
Kanclerz Merz: A czemu?
Premier Tusk: Bo wygrał Nawrocki.
Kanclerz Merz: Trzaskowski.
Premier Tusk: Nawrocki.
Kanclerz Merz: Ale przecież to Trzaskowskiemu dawaliśmy kasę na obozy!
Premier Tusk: Wiem. To nie wypaliło, herr Kancliren. Spokojnie, ogarnę temat.
Kanclerz Merz: Jak?!
Premier Tusk: No, możemy np. zdelegalizować styropian, to Polacy będą musieli budować na waszej wełnie, he, he...
Kanclerz Merz: Proponujesz mi wełnę zamiast prezydenta? Ech, żeby to były inne czasy, to bym ci szlabany w trzy sekundy wyłamał! Hände hoch! To znaczy, rozłączyć się! Natychmiast!
Premier Tusk: Jawohl...
Kanclerz Merz: Won!

eprasa.pl 09487c1694

Eksperyment nad Wisłą i ciągłe testowanie

Samuel Pereira

Gdzie kończą się granice władzy? Tam, gdzie postawią je obywatele. I nigdzie dalej. To nie banał – to fundament demokracji. Dlatego dziś jesteśmy testowani. My – społeczeństwo. Ale testowani są też oni – ministrowie, prokuratorzy, ludzie, którym Donald Tusk powierzył władzę i którzy go widzą, słuchają, obserwują i interpretują otrzymane możliwości jako zgodę na bezkarność. Granice człowieczeństwa, prawa, przyzwoitości są przesuwane każdego dnia. Eksperyment – jak nazwali to niemieccy dziennikarze w dniu zaprzysiężenia obecnego rządu – trwa. Eksperyment nad Wisłą.

Nie jest to eksperyment laboratoryjny, bez konsekwencji. Jego ofiary żyją – i umierają – wśród nas. Dominik, osadzony w areszcie chory człowiek, nie otrzymuje niezbędnego leku. Skutki? Utrata wzroku. Prokurator Zok zna dokumentację, zna diagnozy, ale nic nie robi. Bo Dominik tak jak inni przed nim ma „sypać". Nie musi mówić prawdy, ma się złamać, tak jak próbowano złamać Pawła Szopę, którego matce grożono, oraz Annę Wójcik, której autystyczne dziecko próbowało odebrać sobie życie, gdy siedziała w areszcie wydobywczym. Przypomnijmy: sąd jej nie skazał. Ale miała sypać. Za wszelką cenę.

To nie jest sprawiedliwość – to system represji. To nie „proeuropejska demokracja" – to system, w którym człowieka łamie się groźbą ślepoty. Tymczasem prokuratura Adama Bodnara, tak pryncypialna wobec politycznej opozycji, wykazuje się zadziwiającą łagodnością wobec sprawcy tragedii na A1, Sebastiana M. – temu człowiekowi grozi maksymalnie 8 lat więzienia za spalenie żywcem rodziny.

To nie jest normalne państwo z naszych snów. To nie jest uśmiechnięta Polska. To państwo, które przestało się bać własnych obywateli. Bo przestaliśmy stawiać granice. Jeszcze raz: władza może tyle, na ile my jej pozwolimy. Jeśli dziś nie zaprotestujemy, jeśli nie będziemy mówić, pisać, retweetować, krzyczeć, jutro ten eksperyment stanie się nową normą. A wtedy, gdy przyjdą po ciebie, nikt już nie zostanie, by się odezwać.

Póki możemy – mówmy. Póki widzimy – patrzmy. Póki nie jest za późno – reagujmy.

Polityka historyczna pod wrogim dowództwem

Ileż można? Już nie mogę uwierzyć, że po raz kolejny piszę dla państwa felieton *de facto* o tym samym. W Gdańsku, mieście symbolu początku niemieckiej agresji, wydarzyło się coś, co woła o pomstę do nieba. Pod patronatem ratusza zaprezentowano wystawę „Nasi chłopcy", która zrównuje żołnierzy niemieckiego Wehrmachtu z Polakami, ofiarami II wojny światowej.

To nie tylko moralna kompromitacja – to celowa, zorganizowana akcja zacierania granic między ofiarą a sprawcą. Chłopcy w mundurach Wehrmachtu – bez refleksji, bez tła, bez słowa o niemieckiej okupacji, o przymusie, o zbrodniach, o polskiej krwi przelanej z ich rąk – mają dziś być przedstawiani jako „nasi"? Nasi chłopcy leżeli rozstrzelani w Palmirach, zgładzeni w Auschwitz, powieszeni w Piaśnicy, zaduszeni w komorach Treblinki, zastrzeleni w egzekucjach ulicznych Warszawy i Lublina. To oni byli ofiarami. Ich oprawcami byli „chłopcy" w mundurach Wehrmachtu i SS.

Tymczasem gdański magistrat wspiera narrację, która wpisuje się w niemiecki sposób pisania historii: że wszyscy byli ofiarami, wszyscy cierpieli, więc nikt nie jest winny. To narracja wygodna dla Berlina.

Nie jest przypadkiem, że w tym samym czasie Instytut Pileckiego prowadzi z nadania Tuska człowiek z niemieckimi orderami – Krzysztof Ruchniewicz. Bohater Witold Pilecki, który walczył z Niemcami i komunistami, jest hańbiony. Instytucja jego imienia zamiast opowiadać światu o bohaterstwie narodu polskiego jest kolejnym ośrodkiem eksportującym relatywizm i obcą, wrogą wręcz politykę historyczną pisaną pod dyktando zagranicznych interesów.

To nie są błędy. To plan. Plan unieważnienia naszej historii. Zniszczenia pamięci o tym, kto był katem, a kto ofiarą.

Nie pozwolimy, by nasze narodowe dziedzictwo było deptane przez tych, którzy chcą zadowolić niemieckich mocodawców. Nie zgodzimy się, by hańba była wystawiana jako duma. Polska historia nie może być zabawką w rękach Tuskowych elit. To nasza tożsamość. A kto ją zdradza – zdradza Polskę.

Arkadiusz Mularczyk

eprasa.pl 09487c1694

Coraz mniej imigrantów

W pierwszej połowie tego roku znacznie spadła liczba wniosków o azyl w Niemczech – twierdzi tygodnik „Welt am Sonntag". Od stycznia do czerwca złożono ich łącznie 65 495 – o 43 proc. mniej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. Gazeta powołuje się na niepublikowane dotąd dane unijnej Agencji ds. Azylu. Tym samym Niemcy po raz pierwszy od lat nie są już europejskim liderem, jeśli chodzi o azyl.

W tym samym czasie w Hiszpanii złożono ponad 76 tys. wniosków o azyl, a we Francji ponad 75 tys. W Niemczech większość wnioskodawców pochodziła z Afganistanu, Syrii i Turcji. Minister spraw wewnętrznych Alexander Dobrindt uważa, że nowe dane potwierdzają słuszność zaostrzonej polityki migracyjnej, w tym kontroli granicznych. „To nasz sukces" – twierdzi polityk CSU.

Chadecja chce dalej iść w tym kierunku. „Aby mieć pewność, że liczba wniosków będzie spadać, europejski system azylowy musi zostać wzmocniony" – powiedział Alexander Throm z CDU. „Obecnie jest ku temu okazja.

Niemcy

Niemcy będą siłą napędową tych zmian" – dodał.

Dwa tygodnie temu ministerstwo spraw wewnętrznych opublikowało kolejne dane: w czerwcu złożono w Niemczech mniej niż 7 tys. wniosków o azyl – to najniższy poziom od ponad dekady. Według „Die Welt" oznacza to, że liczba osób ubiegających się o azyl może wkrótce spaść poniżej 100 tys. rocznie (dla porównania w 2023 r. odnotowano ponad 350 tys. wniosków). Szef MSW chce, aby imigranci zrozumieli, że „polityka azylowa Niemiec się zmieniła". Dlatego są zawracani na granicy, choćby z Polską.

Od wprowadzenia zaostrzonych kontroli 8 maja policja zarejestrowała 7960 nieautoryzowanych prób przekroczenia granicy Niemiec. 6193 osoby zostały zawrócone. Wśród nich było 285 osób, które złożyły wniosek o azyl. Berlin stara się również przekazywać niechcianych imigrantów innym krajom Unii w ramach procedury dublińskiej. Jak donosi „Die Welt", w pierwszym półroczu br. Niemcy złożyły 20 574 wniosków o readmisję, z czego do tej pory udało się odesłać 3109 imigrantów (15 proc.). Ilu z nich trafiło do Polski – nie wiadomo. Jest za to pewne, że Włochy nie przyjęły ani jednej osoby spośród ponad 3,8 tys., które chciał im wepchnąć Berlin.

Nie wszyscy w Niemczech widzą jednak powody do świętowania. Zdaniem opozycyjnych AfD i Sojuszu Sahry Wagenknecht (BSW) 100 tys. azylantów to „wciąż o wiele za dużo". I co za tym idzie, trzeba ten problem rozwiązać.

Aleksandra Rybińska

Pierwszeństwo dla bogatych ćpunów

Mieszkańcy Ibizy mają utrudniony dostęp do służby zdrowia w nagłych wypadkach. Lekarze tamtejszego pogotowia są bowiem zajęci ratowaniem turystów, którzy przedawkowali narkotyki.

Ibiza, dawna mekka hipisów, przyciąga dziś głównie klubowiczów. Od początku lat 80. na tej hiszpańskiej wyspie powstały dziesiątki klubów, dzięki czemu scena taneczna i narkotyki, które ją napędzają, stały się ważnym elementem lokalnej turystyki. Według danych za lata 2010–2016 na Ibizie odnotowano 58 zgonów z powodu przedawkowania – większość przypadków dotyczyła brytyjskich turystów. Problem jest poważny, bo narkotyki są łatwo dostępne i powszechnie zażywane przez spragnionych zabawy klubowiczów. To jednak rodzi liczne problemy nie tylko dla zdrowia turystów, lecz także dla mieszkańców wyspy.

Dane wskazują, że aż jedna trzecia interwencji pogotowia na Ibizie dotyczy wezwań do klubów. Zdaniem ratowników grozi to załamaniem usług medycznych na wyspie. Nic więc dziwnego, że korzystanie przez kluby z publicznej służby zdrowia wywołuje irytację miejscowej ludności, która często nie może liczyć na natychmiastową pomoc, ponieważ ekipy ratunkowe są akurat zajęte przywracaniem do życia naćpanych imprezowiczów. Co więcej, wielu z nich to bogaci ludzie, których stać na zabawę w klubach, gdzie bilet wstępu kosztuje niekiedy 100 euro, a najtańszy drink – 25 euro. Według niektórych statystyk Ibiza jest trzecim najdroższym miejscem na Morzu Śródziemnym, po Saint-Tropez i Capri. Trudno się więc dziwić, że mieszkańcy wyspy nie chcą finansować z własnej kieszeni leczenia bogatych ćpunów.

Ratownicy apelują do właścicieli klubów, aby korzystali z prywatnego pogotowia. „Nie do pomyślenia jest, aby firmy o rocznych przychodach rzędu milionów euro nie mogły wykupić tej usługi" – stwierdził szef lokalnego związku ratowników. „To niesprawiedliwe, że 161 tys. mieszkańców wyspy otrzymuje pomoc medyczną gorszej jakości ze względu na zapotrzebowanie 3,6 mln turystów rocznie" – dodał.

Taki jest jednak koszt patoturystyki, która – owszem – przynosi duże pieniądze, ale tylko nielicznym. Większość zysków trafia bowiem do firmy założonej przez byłego piłkarza i polityka Abla Matutesa, który jest właścicielem licznych hoteli i klubów na wyspie. Na razie nie wykazuje on większego zainteresowania postulatami tubylców.

Konrad Kołodziejski

Hiszpania

eprasa.pl 09487c1694

Francja

Państwo w państwie

Nowa Kaledonia, która w latach 1853–1946 była francuską kolonią, a następnie terytorium zamorskim, od 2003 r. mającym specjalny status, stanie się – jak zadeklarował Emmanuel Macron – państwem wchodzącym w skład Republiki Francuskiej.

Nie wiadomo, jak długo potrwa ten ustrojowy eksperyment, bo w 2026 r. ma się odbyć referendum w tej sprawie. Przewiduje on wprowadzenie nowokaledońskiego obywatelstwa, które będzie można łączyć z francuskim. Zmieniony status „państwa Nowej Kaledonii" ma być zapisany we francuskiej konstytucji.

Paryż ogłosił też kompleksowy program odbudowy gospodarczej obejmujący nakłady w wydobycie i przetwórstwo niklu, będącego największym bogactwem naturalnym wyspy. Inwestycje wydają się niezbędne, zwłaszcza jeśli Paryż myśli o uspokojeniu nastrojów wśród Kanaków, rdzennej ludności Nowej Kaledonii. Poziom ubóstwa wśród tej grupy wynosi 32,5 proc. i niezadowolenie z tej sytuacji stało się jedną z przyczyn ubiegłorocznych protestów. Bezpośrednim powodem buntu był plan reformy prawa wyborczego przewidujący, iż w głosowaniu będą mogli brać udział także długoletni mieszkańcy wyspy. Wywołało to wściekłość Kanaków, którzy obawiali się, że zostaną zmarginalizowani przez przybyszów z Francji i utracą wpływ na lokalne ustawodawstwo.

Teraz francuskie władze wybrały rozwiązanie salomonowe, bo prócz przyznania Nowej Kaledonii statusu „państwa w państwie" przewiduje się podobną reformę systemu wyborczego. Nie wiadomo, jak ta część reform zostanie przyjęta przez autochtonów i czy kontrola Paryża nad archipelagiem zostanie utrzymana. Już w ubiegłym roku podczas zamieszek pojawiły się we Francji głosy, iż „Pekin tylko czeka" na usamodzielnienie się wyspy i jest gotów dużo zainwestować w relacje z separatystami, aby zdobyć kontrolę nad Nową Kaledonią. Z punktu widzenia Chin tego rodzaju alians może mieć strategiczne znaczenie, wzmacniając obecność Pekinu na zachodnim Pacyfiku, ale nie mniej istotne mogą być też interesy ekonomiczne, bo prócz złóż niklu Nowa Kaledonia ma pokłady kobaltu, chromu, miedzi, manganu i złota, a zapotrzebowanie na nie ciągle rośnie.

Alcide Ponga, przedstawiciel profrancuskiej partii Zgromadzenie i od stycznia prezydent Nowej Kaledonii, podkreślił, że dotychczasowy model rządów Francji na archipelagu był już nie do utrzymania. Jeszcze w ubiegłym roku Ponga, mając na myśli radykalne nastroje w miejscowym ruchu niepodległościowym, mówił, że wieloletnia polityka Paryża doprowadziła do „narodzin potwora, który chce być szefem". Czy nowa umowa wystarczy, by okiełznać „potwora", a nawet go zintegrować, okaże się dopiero w najbliższych latach.

Marek Budzisz

Brazylia

Cła jako broń polityczna

Donald Trump straszy nałożeniem wysokich ceł na te kraje, które mają z USA nadwyżkę handlową. Do takich państw z pewnością nie należy Brazylia, która importuje ze Stanów Zjednoczonych więcej, niż eksportuje. Gdy w kwietniu Biały Dom rozpoczął wojnę celną z całym światem, potraktował Brazylijczyków łagodnie, nakładając na ich towary cło w wysokości 10 proc. Ostatnio jednak Waszyngton zmienił zdanie i zagroził Brazylii aż 50-proc. cłami. Więcej na świecie mają płacić jedynie Chińczycy, uznani za wroga numer jeden.

Skąd ta zmiana? Otóż stoi za nią osobista decyzja Trumpa. Prezydent USA postanowił przyjść z pomocą Jairowi Bolsonaro, który rządził Brazylią w latach 2019–2023. Po przegranych wyborach duża część jego elektoratu uznała, że elekcja została sfałszowana, a zwycięstwo ukradzione. 8 stycznia 2023 r. grupa zwolenników prawicy wdarła się do gmachów parlamentu i Sądu Najwyższego, nie akceptując wyniku wyborów. Z tego powodu Bolsonaro został oskarżony o zamach stanu, pozbawiono go praw wyborczych, a teraz grozi mu długoletnie więzienie.

Trump odnajduje siebie w losach Bolsonaro. Też jest przekonany, że zwycięstwo w 2020 r. zostało mu skradzione przez Bidena. Po wtargnięciu demonstrantów na Kapitol 6 stycznia 2021 r. oskarżono go o sprowokowanie tamtych zajść i grożono prawnym wykluczeniem z życia politycznego. Tak jak Bolsonaro uważa siebie za ofiarę lewicowych elit i skrajnie upolitycznionego sądownictwa. Grozi więc Brazylii nałożeniem olbrzymich ceł, domagając się położenia kresu „polowaniom na czarownice" i uniewinnienia Bolsonaro.

Działania Trumpa spotykają się ze sceptycyzmem w jego własnym obozie, jednak nie tyle z powodu motywacji politycznej, ile stosowanych środków. Wielu republikanów uważa, że w przypadku Brazylii należałoby sięgnąć raczej po sankcje niż podnosić cła. Boją się, że zmiana zasad w handlu międzynarodowym z powodów politycznych może podważyć zaufanie inwestorów do Ameryki.

Grzegorz Górny

Fot. Jazzmany/Shutterstock.com Fot. Focus Pix/Shutterstock.com Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 09487c1694

Rok z Komisją Europejską, czyli jak Bruksela uratowała świat... na papierze

Komisja Europejska spędziła ostatni rok na planowaniu przyszłości, którą trudno będzie przetrwać

Minął pierwszy rok pracy nowej Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego. Upał w Europie, jednak w Brukseli jakoś chłodno – od klimatyzacji i faktów. Bo gdy rzeczywistość przeszkadza w idei, zawsze można ją zmienić rozporządzeniem.

Zacznijmy od sztandarowego projektu. Zielony Ład – niczym dobry serial z Netfliksa, który mimo braku logiki, trwa. Nowość? Cel redukcji CO_2 o 90 proc. do 2040 r. Unia nie wie, jak to osiągnąć, nie ma na to technologii ani pieniędzy – ale ma plan. Bo plan to rzecz święta, szczególnie gdy nie wymaga efektów. To trochę jak odchudzanie polegające wyłącznie na tworzeniu planów dietetycznych i treningowych. Zadziała? Niech państwo sami sobie odpowiedzą.

Rolnicy? Ach, ci wredni przeciwnicy klimatu. Bruksela im pomaga... podpisując umowę Mercosur, która otwiera rynek dla wołowiny, kurczaków, jajek i soi z Ameryki Południowej. Bo wiadomo, że krowa z Brazylii ma bardziej ekologiczne poglądy. Europejski rolnik ma natomiast produkować mniej, zarabiać mniej, ale za to być bardziej wdzięczny. A najlepiej przekwalifikować się na instalatora paneli słonecznych.

Dalej: pakt migracyjny. Gdy problemy z migracją narastają, Komisja odpowiada zgodnie z zasadą „dziel i mnóż". Dziel migrantów po równo, mnóż koszty. Polska, która miała być wolna od przymusowych relokacji, nagle się dowiaduje, że może je „dobrowolnie zrealizować za opłatą". Brukselski klasyk: Nie chcesz? Zapłać. Chcesz? Też zapłać. Solidarność w wersji unijnej to obowiązkowe uczestnictwo w cudzych błędach.

I teraz sedno: wieloletnie ramy finansowe 2028–2034. Kwota? Ok. 2 bln euro. Brzmi imponująco, ale warto zajrzeć do przypisów. Bo tym razem to już nie tylko pieniądze. To narzędzie. Komisja otwarcie wzmacnia mechanizm warunkowości, czyli możliwość wstrzymywania środków krajom „niepraworządnym". Kryteria? Nieostre. Decyzje? Polityczne. Ostateczna instancja? Komisja Europejska. Tak rodzi się nowa zasada: pieniądze za posłuszeństwo. Nie spełniasz „wartości europejskich"? Nie licz na fundusze. Suwerenność? Tylko w teorii. Decyzyjność przenosi się do urzędów i gabinetów, których nikt nie wybiera, ale wszyscy muszą słuchać.

W tym wszystkim polska prezydencja w Radzie UE. Cóż, została zauważona – w tym sensie, że się odbyła. Choć trudno się oprzeć wrażeniu, że głównym celem było nie przeszkadzać, nie zadawać pytań i grzecznie trzymać tabliczkę z nazwą kraju. Ani jednego poważnego głosu o reformie Zielonego Ładu, ani oporu wobec migracyjnego automatyzmu. Kiedyś mówiliśmy o Europie ojczyzn. Dziś mamy Europę instrukcji obsługi.

Tak mija pierwszy rok kadencji, w którym Unia jeszcze raz uratowała świat – w prezentacjach, dokumentach i konferencjach. Przyniósł też wszystko, czego mogliśmy się obawiać. Centralizację decyzji, ideologiczne priorytety, presję fiskalną i dyscyplinowanie państw. Komisja wie lepiej, kto zasługuje na pieniądze, wołowinę i prawo do głosu. Gospodarka? Ciągle się dusi. Rolnictwo? W zadyszce. Społeczeństwo? Zmęczone. Ale klimat? Klimat jest szczęśliwy. Albo przynajmniej tak wynika z Excela.

Podsumowując: Komisja Europejska spędziła ostatni rok na planowaniu przyszłości, którą trudno będzie przetrwać. Za to z pełną zgodnością z taksonomią zrównoważonego rozwoju. Bruksela już wie, co będzie za 15 lat. Szkoda tylko, że nie wie, co zrobić jutro.

Wesołych wakacji – zanim wprowadzą limity CO_2 na wyjazd nad morze.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 09487c1694

Narracyjna dekonstrukcja

Marta Kaczyńska-Zielińska

Przeszłość zajmuje centralne miejsce w naszym życiu. Historia wpływa na teraźniejszość i nadaje jej sens. Pamięć historyczna stanowi fundament naszej tożsamości, a polityka historyczna jest narzędziem podtrzymującym ją w sferze wewnętrznej – krajowej oraz zewnętrznej – międzynarodowej.

Jednym z ważnych sposobów konceptualizacji pamięci zbiorowej w psychologii jest postrzeganie jej jako formy myślenia społecznego, czyli sposobu rozumienia świata społecznego, w którym żyjemy. Pamięć zbiorowa wpływa na to, jak reprezentujemy grupy społeczne, do których należymy, a także jak myślimy o relacjach społecznych w ogóle – poprzez dostarczanie przykładów tego, jak przebiegały one w przeszłości.

Narracje historyczne są wykorzystywane do nadawania sensu nowym wydarzeniom i ideom w społeczeństwie poprzez łączenie ich z przeszłością lub odróżnianie ich od niej. Narracja historyczna staje się zasobem we współczesności, pozwalając nam zrozumieć teraźniejszość, a także strategicznie dopasowując wybrane wątki przeszłości do celów politycznych.

W wyniku upowszechniania edukacji narracje historyczne stały się instrumentami sprawczości politycznej. Przykłady historycznego rewizjonizmu, opowiadania historii na nowo mogą służyć wspieraniu istniejącego porządku społecznego, gospodarczego i politycznego lub jego burzeniu.

Rozważanie historii jako źródła tożsamości społecznych i zbiorowych wiąże się ze zrozumieniem, jak historia kształtuje znaczenie tożsamości grupy i zakorzenia to znaczenie w przeszłości, łącząc je z teraźniejszością i projektując na przyszłość. Naukowcy zainteresowani tym, jak historia kształtuje tożsamości społeczne, badali znaczenie postrzeganej ciągłości zbiorowej lub społecznych reprezentacji historii, które zapewniają jednostkom jako członkom grupy poczucie pozytywnego szacunku społecznego i przywiązania do grupy.

Koncepcja postrzeganej ciągłości zbiorowej została podzielona na dwa podwymiary: esencjalizm i narratywizm. Pierwszy z nich to wersja ciągłości osiąganej poprzez nacisk na stabilność „esencji" grupy, jej podstawowych cech, takich jak wartości, normy i inne wyznaczniki kulturowe, które definiują tożsamość, podczas gdy drugi to wersja ciągłości osiąganej poprzez łączenie wydarzeń historycznych w celu stworzenia spójnej narracji o historii grupy. Biorąc pod uwagę rolę ciągłości w utrzymywaniu poczucia pozytywnego przywiązania do grupy własnej, stwierdzono, że postrzeganie nieciągłości wywołuje zbiorowy niepokój związany z potencjalną utratą wartości, norm i tradycji grupy. Znaczenie ciągłości w odniesieniu do przeszłości zależy od niesionych przez nią wartości – jeśli historia grupy własnej jest postrzegana jako negatywna, ciągłość historyczna staje się coraz bardziej zagrażająca jej tożsamości, a historyczna nieciągłość staje się preferowana, aby uwolnić ludzi w teraźniejszości od ciężaru negatywnej przeszłości.

Postrzegana ciągłość może się stać zarówno źródłem pozytywnej identyfikacji, jak i zagrożeniem dla pozornie pozytywnej tożsamości grupy własnej w teraźniejszości. Ciągłość esencjalistyczna zaspokaja potrzebę ciągłości jednostki, a zatem wzmacnia identyfikację z grupą wewnętrzną lub chroni ją w obliczu zagrożenia.

Jeśli historia jest tak potężnym zasobem nadającym znaczenie i ciągłość tożsamości grupy, należy przyjąć, że ci, którzy potrafią kształtować i przepisywać historię, będą w pozycji władzy, by kształtować nie tylko to, kim „jesteśmy", lecz także co powinniśmy pamiętać z przeszłości i jakie konsekwencje ma to dla naszych relacji z innymi w teraźniejszości. Polityka historyczna nie jest więc archaizmem, jak usiłowano nam wmawiać.

Zważywszy na fundamentalną rolę pamięci historycznej jako budulca tożsamości narodowej i jednostkowej próby podważenia prawdy historycznej, z którymi w ostatnim czasie mamy do czynienia, należy traktować jako element wojny hybrydowej zmierzającej do dekonstrukcji narodu i osłabiania państwa polskiego.

REKLAMA

13/0625/F

eprasa.pl 09487c1694

Walizka Macieja Dominika

męża, ojca, architekta, fotografa, amatora przyrody

Zawodowo jestem architektem, na co dzień pracuję z linią, przestrzenią i proporcją, ale to wśród drzew i trzcin, z aparatem w ręku, naprawdę łapię oddech. Fotografia ptaków to moja pasja, ucieczka od ekranów, harmonia między uważnością a zachwytem. Marzy mi się porządna walizka na kółkach, najlepiej 20-kilogramowa, która pomieściłaby cały sprzęt. Ale rzeczywistość fotografa, nawet amatora, wymusza kamuflażowy plecak, który zawsze mam na barkach. Ręce zajęte: w jednej czatownia z parasola i siatki, w drugiej lekkie krzesełko. Na szyi aparat i lornetka, bo w obserwacji ptaków najważniejsza jest gotowość. Natura nie uprzedza, kiedy pokaże coś niezwykłego. Trzeba być cichym, cierpliwym i pokornym – wtedy dopuszcza nas bliżej.

Robinek, mój zaprzyjaźniony rudzik, który mieszka w moim ogrodzie w okresie jesienno-zimowym, przypomina mi, że to, co najpiękniejsze, przychodzi wtedy, gdy po prostu jesteśmy obecni. Pokochała go cała moja rodzina – żona i trójka dzieci.

Historię naszej przyjaźni i moją pasję do fotografii przyrodniczej można śledzić na Instagramie: @md_wildlife_photo.

STRÓJ

Ubieram się w kamuflaż od czapki po spodnie, często noszę wodery, a twarz zakrywam szalem snajperskim. Dzięki temu mogę podejść bliżej ptaków i uchwycić ich naturalne zachowania.

SPRZĘT

Aparat z zapasem baterii i kart pamięci jest niezbędny, ale przekonałem się, że to nie sprzęt robi najlepsze zdjęcia, tylko fotograf i jego cierpliwość.

LORNETKA I ATLAS

Lornetka i miniatlas ptaków to mój duet do szybkiej identyfikacji i precyzyjnej obserwacji w terenie. Dzięki nim mogę dostrzec detale nawet z daleka i od razu sprawdzić, z kim mam do czynienia.

KAWA

Kawa w termosie to mój stały towarzysz na wyprawach – gorąca i aromatyczna, dodaje energii i pomaga zachować koncentrację. To moja druga pasja, którą celebruję nawet w lesie, często z przyjaciółmi Wojtkiem i Markiem.

eprasa.pl 09487c1694

KALENDARZ Z ROBINKIEM

To już dwa lata, odkąd rudzik mieszka zimą w moim ogrodzie, a nasza relacja przerodziła się w coś wyjątkowego. Co roku tworzę kalendarze z nim, a cały dochód z ich sprzedaży przekazuję fundacjom, które ratują życie dzikich zwierząt. Dzięki niemu fotografia nabrała głębszego sensu.

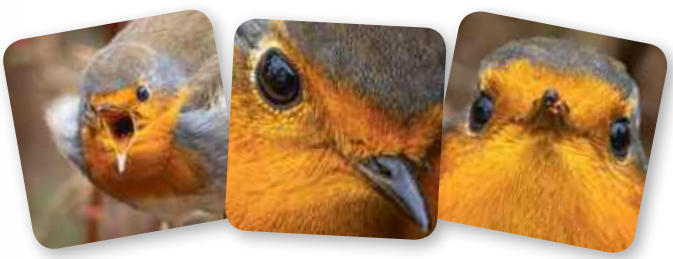

PORTRETY ROBINKA

Bardzo lubię portretować Robinka z bliska – tak bliska, że widać każdy detal jego piór, subtelne przejścia kolorów i refleksy w oku. Za każdym razem zachwycam się na nowo, jak doskonale i z jaką precyzją został stworzony. To czysta przyjemność patrzeć na niego przez obiektyw.

MUCHOŁÓWKA Z TUNEZJI

Siedziałem nieruchomo przez kilkanaście minut, aparat wycelowany dokładnie w to miejsce, pełen nadziei, że muchołówka zdecyduje się tam usiąść. W takich momentach natura uczy mnie cierpliwości, która jest kluczem do uchwycenia niepowtarzalnych chwil.

ZIMORODEK

To wyjątkowy ptak o niezwykłym charakterze i urodzie. Żyje nad wodą – przy strumieniach, potokach – wszędzie, gdzie może polować na ryby i wykopać norę w piaszczystej skarpie. Ciekawostką jest to, że gdy w pobliżu pojawi się nowy patyk czy konar, ma wręcz potrzebę, by na nim usiąść – jakby od razu musiał go przetestować.

KRASKA Z TANZANII

Podczas safari w Tanzanii sfotografowałem kraskę, zwaną przez miejscowych melodyjnie lola. W Polsce to bardzo rzadki gatunek, pojawia się jedynie sporadycznie podczas migracji, dlatego spotkanie z nią w Afryce było dla mnie wyjątkowe.

GRUBODZIÓB

Niezwykle majestatyczny i dostojny ptak. Kiedy pojawia się w ogrodzie, mam wrażenie, że inne natychmiast robią mu miejsce, jakby instynktownie czuły do niego respekt. Jego potężny dziób i spokojna pewność siebie robią wrażenie nawet na mnie.

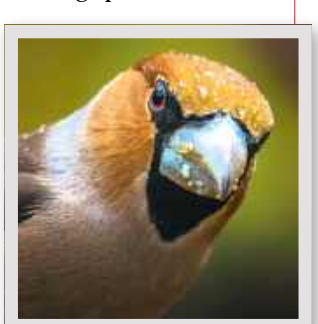

ROBIN

Rudzik – ptaszek, który odmienił moje spojrzenie na przyrodę. Od listopada do kwietnia mieszka w moim ogrodzie, codziennie przylatuje na parapet i czeka na słoiczek z masłem orzechowym. Gdy go zawołam, siada mi na palcu i wykonuje swój słynny taniec „umcyk, umcyk". Śmiało mogę powiedzieć, że to on oswoił mnie.

SÓJKA

Sójka to bardzo sprytny i spostrzegawczy ptak, który zdaje się rozpoznawać człowieka nawet w kamuflażu. Tym bardziej jestem dumny z portretu, który udało mi się zrobić z bardzo bliskiej odległości.

Wysłuchał Michał Korsun

Fot. Maciej Dominik

eprasa.pl 09487c1694

Najlepsi z przeszłości, nadzieja na przyszłość

Z Michałem Listkiewiczem, byłym prezesem PZPN, międzynarodowym sędzią piłkarskim, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jan Urban został nowym trenerem piłkarskiej reprezentacji Polski. Przed nim trudne mecze z Holandią i Finlandią. Dojdzie też pewnie stres związany z częstą ostatnio wymianą selekcjonerów. Dlaczego tak się działo?

Michał Listkiewicz: Jest ogromna presja opinii publicznej, w tym mediów. Wszyscy Polacy uważają się za specjalistów od trenowania. Mamy 38 mln trenerów i lekarzy, w tym chyba czujemy się najmocniej. Sam to przeżywałem. Gdy byłem prezesem, przez dziesięć lat zmieniłem czterech trenerów. Wtedy wydawało się to dużo, dzisiaj już nie. Poza tym moi trenerzy – w większości – mieli wyniki. Co ciekawe, nawet premierzy i ministrowie wypowiadają się na temat prowadzenia reprezentacji Polski, jakby byli w tym specjalistami i działacze często ulegają tej presji – dla świętego spokoju.

A tu nie chodzi o święty spokój, tylko o wyniki?

No tak, ale mamy przykłady irracjonalnych decyzji. Np. zwolnienie Jerzego Brzęczka po odniesieniu wielkiego sukcesu, czyli awansie do finału Mistrzostw Europy, tak więc nie zawsze wynik tu decyduje. Niestety również piłkarze mają na to wpływ. Doszło do sytuacji nie do pomyślenia w czasach Kazimierza Górskiego czy Antoniego Piechniczka, najwybitniejszych polskich trenerów, że piłkarze wypowiadają się, kto ma być ich trenerem. To tak, jakby uczeń w szkole mówił, że pani od matematyki jest głupia i trzeba ją zmienić.

Jaki powinien być trener na miarę dzisiejszych czasów?

Przede wszystkim musi być doskonałym psychologiem, umieć zarządzać grupą, bo samo trenowanie ma dziś najmniejsze znaczenie. Mówię tu o reprezentacji. Kiedyś piłkarze przebywali ze sobą bardzo długo, po dwa, trzy tygodnie i trener mógł wykonać określoną pracę szkoleniową – to była tajemnica sukcesu epoki Górskiego i Piechniczka – natomiast dzisiaj są to pojedyncze treningi. Piłkarze przyjeżdżają trzy dni przed meczem, odbędą jeden, dwa treningi i się rozjeżdżają. Muszą więc przede wszystkim ufać trenerowi – że to, co on im przekazuje – czyli skład, który wybiera, i taktyka – jest dobre.

To zupełnie inna praca niż trenera klubowego, który dzień po dniu ma zawodników do dyspozycji i przeprowadza dziesiątki treningów w ciągu miesiąca.

Musi być jak generał, który poprowadzi wojsko różnych formacji?

Kazimierz Górski

To za jego kadencji zaczęła się złota era polskiego futbolu. Nie bez powodu jest nazywany trenerem tysiąclecia, a wspaniałą reprezentację z lat 70. określa się mianem Orłów Górskiego. Zdobył złoty (1972) i srebrny (1976) medal igrzysk olimpijskich, a przede wszystkim zajął trzecie miejsce na Mistrzostwach Świata w 1974 r. rozgrywanych w Niemczech. Był lubiany przez piłkarzy, a na boisku nie lubił filozofii. Bo przecież „piłka jest okrągła, a bramki są dwie", więc „albo my wygramy, albo oni".

Fot. PAP

Antoni Piechniczek

Za jego pierwszej kadencji Polska dwa razy grała w mistrzostwach świata. W 1982 r. w Hiszpanii Piechniczek wywalczył brąz, cztery lata później w Meksyku drużyna zatrzymała się na jednej ósmej finału. Były czasy, kiedy taki wynik był rozczarowaniem… Druga kadencja Piechniczka przypadła na tragiczne dla polskiej piłki lata 90., więc spuśćmy na nią zasłonę milczenia. Trener gawędziarz, który dawał upust krasomówczej pasji jako ekspert telewizyjny. Nadawał wprost sprzed rozpalonego kominka w beskidzkiej chacie.

Fot. PAP

Jerzy Engel

Autor pierwszego od lat 80. awansu na mistrzostwa świata i posiadacz słynnego wąsa. Po osiągnięciu tego wyniku wydał autobiograficzną książkę zatytułowaną charakterystycznie „Futbol na tak". Tytuł nieco przewrotny, biorąc pod uwagę grę reprezentacji na przełomie wieków. W reprezentacji brylował wtedy Emmanuel Olisadebe, pierwszy w historii kadry „farbowany lis". Na turnieju organizowanym w Azji w 2002 r. Polacy nie wyszli z grupy, ale Engel pozostaje największym orędownikiem swoich własnych sukcesów.

Fot. MaciejGillert/Shutterstock.com

Wydaje rozkaz, wystawia jednego dowódcę na tym skrzydle, drugiego na innym, wie, kto z kim dobrze współpracuje. I musi jeździć po świecie, oglądać spotkania. Niewiele też zrobi bez kredytu zaufania ze strony zawodników. Żaden trener nie wygra, gdy ma przeciwko sobie szatnię.

Wymienił pan Kazimierza Górskiego i Antoniego Piechniczka. Co stało za ich sukcesem?

W przypadku Górskiego przede wszystkim stosunek do zawodników – z jednej strony ojcowski, ale z drugiej – bardzo konsekwentny i wymagający. Nigdy nie podnosił głosu, ale kilka razy pokazał, co się stanie, jak ktoś przekroczy wyznaczone przez niego granice. Po spóźnionych powrotach czy jakimś piwku nie było przebacz. Z kolei Piechniczek, bardzo elokwentny, świetnie wykształcony trenersko jak na tamte czasy, kiedy zawodnicy często nie mieli takiej wiedzy, był prawdziwym autorytetem.

Kto jeszcze mógłby dołączyć do najlepszych trenerów naszej reprezentacji?

Leo Beenhakker, którego zatrudniłem. Jego wielkim atutem było doświadczenie. Trener Realu Madryt, trener reprezentacji Holandii. Najwyższa liga. Beenhakker umiał przekonać naszych zawodników, że są lepsi, niż im się wydaje. Teraz jest odwrotnie. Dzisiaj zawodnicy – nie mówię o Lewandowskim – uważają, że są już wielkimi gwiazdami, że trenerzy robią im krzywdę, że ich nie wstawiają, że się uwzięli. Natomiast Leo wydobywał piłkarzy nieoczywistych, którzy myśleli, że reprezentacja jest poza ich zasięgiem, a on ich motywował. Potem świetnie wkomponowywali się w reprezentację, bo uwierzyli trenerowi, że ich stać, że mogą.

Czy Jerzy Engel mógłby się znaleźć na liście „wspaniałych"? Jakie miał atuty?

Przede wszystkim wprowadził zupełnie nową filozofię. U niego każdy zawodnik przed kolejnym spotkaniem wiedział, co ma robić. Miał rozpisane zadania, jak nuty. O przeciwniku, z którym spotykał się na boisku, wiedział wszystko. To była ogromna praca Engela i jego sztabu. I jeszcze Adam Nawałka, który był uczniem Beenhakkera. Holender zostawił wielką spuściznę, właśnie uczniów. Nie był jak inni zagraniczni trenerzy w Polsce, którzy przywozili swoje sztaby. Wokół niego skupili się zdolni polscy trenerzy młodego pokolenia. Byli wśród nich Nawałka, Dziekanowski czy Urban, który teraz przejął ster reprezentacji.

Jak pan ocenia ten wybór?

Na dzisiejsze czasy optymalny. To człowiek, który świetnie grał w piłkę w Hiszpanii, w Polsce. Podobnie jak Górski tłumaczy, a nie krzyczy. Na pewno będzie miał respekt u zawodników. Ja wierzę w Jana Urbana. Już kilka lat temu mówiłem, że to świetny kandydat na trenera. Jestem przekonany, że pod jego wodzą nastąpi pozytywny przełom.

Czy wierzy pan, że zagramy w kolejnych mistrzostwach świata?

Trudno, żebym nie wierzył, skoro jest to zarówno moja drużyna, reprezentacja, jak i każdego Polaka. Nie bezpośrednio, ale drogą baraży, w których pokonamy rywala i pojedziemy na mistrzostwa w USA, Kanadzie i Meksyku, czyli miejscach, gdzie – szczególnie w tych dwóch pierwszych krajach – jest bardzo liczna Polonia. Oni bardzo czekają, żebyśmy tam zagrali. Daliby się pokroić za tę reprezentację.

Leo Beenhakker

W 2006 r. siwy Holender został pierwszym obcokrajowcem zatrudnionym na pełen etat w roli selekcjonera. Zasłynął przede wszystkim z pierwszego w historii awansu na mistrzostwa Europy. Beenhakker był niezwykle utytułowanym trenerem, dzięki czemu wniósł do skostniałego świata polskiej piłki powiew świeżości, zachodniego luzu i profesjonalizmu, największego wroga polskiej myśli szkoleniowej. Mistrz ciętej riposty, który już zawsze będzie kojarzony z cytatem z reklamy banku: „Leo, why?".

Fot. ADAM NIOGON/East News

Adam Nawałka

Myślisz – Nawałka i widzisz heroiczne obrazki z mistrzostw świata w 2016 r. we Francji, kiedy Polacy po raz pierwszy od 1982 r. doszli do ćwierćfinału. Wydobywał z przeciętnych piłkarzy ponad 100 proc. normy i wpajał im żelazną dyscyplinę taktyczną, co pozwalało na osiąganie przez kadrę wyników lepszych, niż można się było spodziewać. Miłośnik surowych zasad, dbałości o detale i usypiania dziennikarzy. Chciał poprawić grę reprezentacji zarówno „w ofensywie, jak i w defensywie". Zwolennik niskiego pressingu.

Fot. Maciej Gillery/Shutterstock.com

Jan Urban

Jego historia z reprezentacją zacznie się pisać 4 września meczem z Holandią w eliminacjach do mistrzostw świata. Przeszedł wszystkie szczeble trenerskiej kariery, odnosił sukcesy w szkoleniu juniorów, zdobywał zawodowe szlify w Hiszpanii, jako asystent Leo Beenhakkera poznał reprezentacyjną kuchnię, od lat jest stale obecny w polskiej piłce klubowej. Na papierze kadra pod wodzą Urbana może wyglądać nieźle, ale jego poprzednicy z ostatnich paru lat nie zawiesili mu zbyt wysoko poprzeczki.

Michał Muzyczuk

Fot. Marcin Kadziolka/Shutterstock.com

O kulisach wyboru Jana Urbana s. 58–59

Kronika wakacyjna

1. Dzięki międzyrządowym umowom bilateralnym trwa przerzut afrykańsko-azjatyckich migrantów przez naszą zachodnią granicę. Gdy państwo zawodzi, pojawiają się inicjatywy oddolne (np. Ruch Obrony Granic). Pacyfikacja ROG przez władze budzi sprzeciw społeczeństwa. Również frustrację obywateli zatrudnionych w Straży Granicznej, wojsku i policji. I pewnie dlatego już za chwilę braki kadrowe w służbach mundurowych będziemy uzupełniać obcokrajowcami.

2. W trosce o turystów z Niemiec Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku przygotowało wystawę zdjęć „Nasi chłopcy w Wehrmachcie". Młode, uśmiechnięte twarze folksdojczów w niemieckich mundurach (podobno siłą wcielonych do armii) przeczą narracji o spowodowanej tym traumie. Mój dziadek Teofil Makowiecki (z ziemi dobrzyńskiej włączonej do III Rzeszy) został zamordowany za odmowę podpisania folkslisty. Całą rodzinę wysiedlono i zesłano do obozu. Być może z domu wyrzucali ich „nasi chłopcy" z muzealnej wystawy. Nim sami zamarzli pod Stalingradem.

3. Gdy „państwo teoretyczne" nie działa, a ludziom dzieje się krzywda, tworzą się oddolne mechanizmy obronne: objawia się jakiś lokalny Robin Hood, Janosik, powstaje namiastka AK, NSZ itp. W powieści „Ojciec chrzestny" funkcję stróża prawa i sędziego przejął Don Corleone, szef mafii. Ciekawe, jaki model sprawiedliwości przyjmie się docelowo w naszym kraju.

4. Deszczowa aura nie zatrzymała fali pożarów w Polsce. Jeśli jakieś tragiczne zdarzenia nie mieszczą się w statystycznej normie, budzi to podejrzenie o wrogie działania (wojna hybrydowa?). Sytuacja jest rozwojowa, bo istnienie Rzeczypospolitej przeszkadza naszym sąsiadom. Zarówno tym ze wschodu, jak i z zachodu.

5. Mimo niespokojnych czasów, rosnącej inflacji, drożyzny i kryzysu Polacy biorą kredyty i tłumnie ruszają na wczasy! Niegdyś rodzice przekazywali dzieciom majątek wypracowany przez całe życie. Obecni wręcz przeciwnie, zadłużają nawet swe wnuki. Zapewne dlatego rodzi się coraz mniej dzieci.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PATRYK KOSMIDER/SHUTTERSTOCK.COM, ANDREAS WOLOCHOW/SHUTTERSTOCK.COM, ARCHIWUM PRYWATNE, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI x2, MATERIAŁY PRASOWE ENERGYLADNIA, SHUTTERSTOCK x6

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl 09487c1694

Subskrypcja wPolityce.pl Premium + i SIECI

CAŁE LATO czytasz

za 9,90 zł / 3 miesiące

Cena 9,90 zł za pierwsze 3 miesiące, następnie 44,90 zł co 3 miesiące i możesz zrezygnować, kiedy chcesz

Oferta ograniczona czasowo

Przez całe wakacje czytaj:

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 09487c1694

Wystawę „Nasi chłopcy" prezydent Andrzej Duda nazwał „moralną prowokacją"

Fot. A. Grabowska/Muzeum Gdańska

Germanizacja po nowemu

Być może władze zarówno w Warszawie, jak i w Berlinie wiedzą, że rząd Donalda Tuska to tylko epizod, którego schyłek już widać. Czy dlatego, że mają tak mało czasu, tak bardzo walczą z polską tożsamością?

MAREK PYZA

Gdy w 2005 r. Donald Tusk szykował się do przejęcia władzy po postkomunistach, chciał zgarnąć całą pulę. Platforma Obywatelska miała wygrać wybory parlamentarne, a dwa tygodnie później jej lider miał zostać prezydentem. Jak wiemy, stało się inaczej. Tuskowi nie pomógł nawet zabieg z wydaniem książki „Solidarność i duma", obficie promowanej w czasie kampanii za pieniądze Janusza Palikota (a może jego byłej żony?).

Przypominamy tamte wydarzenia, bo dziś warto sięgnąć do tego skromnego wydawnictwa. Jego drugi rozdział jest zatytułowany „Moja pierwsza ojczyzna".

Zaczyna się on od słów: „Naszą ojczyzną jest Polska. Powie tak każdy Polak. I każdy pomyśli równocześnie o matce, o podwórku, gdzie spędził swoje dzieciństwo, z dumą wspomni o swoim mieście". Lecz ten pierwszy akapit jest tylko po to, by postawić po nim wielki przecinek i dopowiedzieć to, co dla przyszłego premiera wydaje się ważniejsze i nad czym rozwodzi się na kolejnych siedmiu stronach, poczynając od wyznania: „Moją ojczyzną są Kaszuby, Gdańsk, Sierpień 1980 i Solidarność".

Kolejne dwie dekady dostarczyły nam aż nadto dowodów, by uważać, że to dla Tuska ważniejsze. Fakt bycia Kaszubem, Pomorzaninem, wreszcie: gdańszczaninem ma większe znaczenie od bycia Polakiem.

Ta „gdańskość" ma jednak zabarwienie czarno-czerwono-złote. To irracjonalna duma z miasta tak chętnie odwołującego się do antypolskiego okresu Wolnego Miasta Gdańska, to sentyment do bohaterów pokroju Güntera Grassa (nieprzymusowego członka Waffen SS, do czego przyznał się dopiero w 2006 r., kilka lat przed śmiercią), to skłonność do relatywizowania zarówno historii prywatnej, jak i całego państwa. To wszystko jak w soczewce skupia diabelski pomysł nazwania wystawy o mieszkańcach Pomorza wcielonych do niemieckiej armii „Nasi chłopcy".

Skandal w Muzeum Gdańska ma dużo większy ciężar gatunkowy niż tylko związany z pewnym epizodem w historii tego regionu. Trzeba nań spojrzeć szerzej i zmierzyć się z pytaniem o współczesną germanizację oraz udział w niej części polskich elit sprawujących dziś władzę.

NOWA EKSPANSJA

Po otwarciu wystawy zawrzało. Prezydent Andrzej Duda stwierdził, że „przedstawianie żołnierzy III Rzeszy jako »naszych« to nie tylko fałsz historyczny, to moralna prowokacja", dodał, że „Gdańsk – miejsce, gdzie zaczęła się

eprasa.pl 09487c1694

II wojna światowa – nie może być sceną dla narracji, które rozmywają odpowiedzialność sprawców" i spuentował: „Kto relatywizuje zbrodnie, ten rozbraja sumienie narodu".

Na czym polega to relatywizowanie? Ot, choćby na stawianiu znaku równości między tymi, którzy do Wehrmachtu byli wcielani na siłę, oraz tymi, którzy ochoczo wstępowali do niemieckich formacji. Wrzuceni są tu do jednego wora, a opisani m.in. tak: „Gdy wyjeżdżali z rodzinnych miejscowości, towarzyszył im strach, przygnębienie, ale nierzadko też ekscytacja wywołana nowymi doświadczeniami, możliwością zobaczenia nieznanych dotąd stron". W zasadzie odwiedzający muzeum turysta może pomyśleć, że ci „nasi chłopcy" świetnie się bawili w niemieckich mundurach, zwiedzali świat, poznawali kochanki.

W rozmowie z portalem wPolityce.pl jeden z najwybitniejszych żyjących polskich intelektualistów, prof. Andrzej Nowak, mówi o „przyjęciu niemieckiego punktu widzenia" i „służeniu niemieckiej polityce historycznej". Badacz ubolewa, że mamy do czynienia z konsekwentną polityką lokalnych władz, tak zapatrzonych w okres Wolnego Miasta Gdańska: „Ten sztuczny twór, utworzony na podstawie traktatu pokojowego w Wersalu, miał częściowo zaspokoić niemieckie apetyty na utrzymanie kontroli nad Gdańskiem. W istocie nie zaspokoił woli ludności niemieckiej, która chciała po prostu wrócić do Rzeszy, nawet z Adolfem Hitlerem. Jeżeli w Polsce w 2025 r. mamy czcić, czy choćby szanować ten punkt widzenia, to znaczy, że włodarze miasta Gdańska oraz odpowiedzialni za tę wystawę bardzo różnie rozumieją prawdę historyczną i polską rację stanu, niż ja ją rozumiem".

Elity WMG były antypolskie, a nasi rodacy stanowili poniżej 4 proc. mieszkańców. To tu NSDAP osiągała najlepsze wyniki w wyborach (cieszyła się większym poparciem niż w Republice Weimarskiej), to ulice „wolnego miasta" były obwieszone swastykami. A jednak dziś mieszkańcy Gdańska z sentymentem odnoszą się do tego okresu, wykupują rejestracje swoich samochodów np. o treści GO WMG z ramką ozdobioną nazwą „Freie Stadt Danzig". Jest w Gdańsku osiedle Wolne Miasto, jest Rondo Wolnego Miasta Gdańska, jest też z pompą odsłonięty w 2016 r. dawny słup graniczny pomiędzy Polską a WMG.

Jakby to nie zabrzmiało, mamy tu do czynienia z pewnym efektem germanizacji. Bo przecież to pojęcie nie odnosi się wyłącznie do brutalnych niemieckich praktyk z okresu zaborów czy okupacji. Podobnie jak nie jest prawdą, że po II wojnie światowej Niemcy zaprzestały agresywnej polityki względem innych państw, zwłaszcza Polski. Owszem, zmieniły metody, lecz nie cele.

Aby zrozumieć, na czym polega problem germanizacji przełomu XX i XXI w., trzeba się cofnąć do lat 80. i 90. oraz wspomnieć dokumenty z tego okresu. Wówczas pojmiemy, że niemieckie apetyty dominacji nad naszym krajem (i nie tylko) nie zniknęły w 1945 r., lecz zostały jedynie przeprojektowane. Ekspansję terytorialną zastąpiła gospodarcza.

> Skandal w Muzeum Gdańska ma dużo większy ciężar gatunkowy niż tylko związany z pewnym epizodem w historii tego regionu. Trzeba nań spojrzeć szerzej i zmierzyć się z pytaniem o współczesną germanizację oraz udział w niej części polskich elit

Kilka lat temu „Der Spiegel" opisał materiały dowodzące, że Helmut Kohl (kanclerz lansowany na wielkiego przyjaciela Polski) nie chciał rozszerzenia NATO na Wschód, niepodległości Ukrainy i państw bałtyckich, a rozpad ZSRR nazywał katastrofą. Prof. Bogdan Musiał ujawnił przed kilkoma laty szyfrogram z 1990 r., w którym oficer polskiego wywiadu przekazuje do centrali wiadomości pozyskane od niemieckiego źródła: „Korzystnym z punktu widzenia RFN jest rozbicie politycznych ugrupowań w Polsce, brak dominującej partii i podziały w Solidarności", bo „dla Niemiec tworzy to szansę gospodarczej ekspansji". W rozmowie z tygodnikiem „Sieci" badacz opisywał znalezione przez siebie w archiwach notatki z rozmów z niemieckimi przedsiębiorcami, którzy dostawali wytyczne od decydentów w Berlinie, gdzie ulokować pieniądze, pod co przygotowano już grunt. Jako najpewniejsze kierunki wskazywano Śląsk i Pomorze ze szczególnym uwzględnieniem Gdańska, bo „tam będzie korzystny klimat". W tym kontekście wspominał m.in. o finansowaniu przez niemiecką CDU powstającego Kongresu Liberalno-Demokratycznego.

Udział Niemiec w bandyckich prywatyzacjach, przejmowanie całych segmentów rynku (w handlu czy produkcji) przeszły gładko, w postkolonialnej Polsce lat 90. były sprzedawane jako otwarcie na Zachód. Dziś już nie idzie jak z płatka, coraz więcej Polaków widzi cynizm i bezduszność (zwłaszcza w kontekście unijnych zaklęć o solidarności) Niemców w traktowaniu Polski. My mamy zamykać kopalnie, podczas gdy Niemcy je otwierają. Odra ma się stać naturalnym ciekiem otoczonym parkami krajobrazowymi, a regulować pod żeglugę można tylko rzeki niemieckie. Rozbudowa portów stanowi zagrożenie ekologiczne wyłącznie na polskich wodach, na niemieckich alles ist gut. Narzucana nam polityka klimatyczna ma być rezerwuarem dla niemieckiego przemysłu produkującego pompy czy wiatraki.

Polskie miasta sprowadzają tabor komunikacji miejskiej (Poznań kilka miesięcy temu zakupił 30-letnie składy z Niemiec, w Gdańsku tramwaje z Zagłębia Ruhry nazywane są pieszczotliwie dortmundami, do nich jeszcze wrócimy), a włodarz stolicy nawet drzewa ściąga zza zachodniej granicy, twierdząc, że w Polsce takich nie ma (choć są, i to czterokrotnie tańsze). Deutsche Post czeka na upadek Poczty Polskiej, a Deutsche Bahn coraz mocniej rozpycha się na polskich torach.

Aby jednak ekspansja ekonomiczna mogła się dokonać w pełni, potrzebne jest coś jeszcze, coś systemowego. Musi się dopełnić operacja rozmywania największych niemieckich grzechów – zbrodni

eprasa.pl 09487c1694

Most Grunwaldzki we Wrocławiu zostanie po remoncie przyozdobiony m.in. dwoma naczółkami z koroną cesarską z herbem Hohenzollernów, którzy uczestniczyli w rozbiorach Polski

II wojny światowej. Tą odpowiedzialnością trzeba się podzielić. Dlatego w niemieckiej prasie co rusz pojawiają się artykuły jak ten z ubiegłego tygodnia w „FAZ", w którym czytamy: „To, że Polacy dopuścili się współwiny w prowadzonym przez Niemców Holokauście, to trudny temat, zwłaszcza dla PiS".

Do tej operacji Niemcy potrzebują w Polsce pomocnych elit. Takich, które nie będą z oburzeniem reagować na relatywizowanie historii, lecz same włączą się w ten haniebny proces. Takich, których minister edukacji będzie się „przejęzyczać", że „na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy". Ten okres właśnie powrócił.

FÜR DEUTSCHLAND

Polska z władzą zorientowaną na suwerenność i zakorzenioną w tysiącletnich wartościach stanowi zagrożenie, bo będzie przypominać o nierozliczeniu się sąsiadów ze zniszczeń, morderstw i grabieży. Bo będzie się domagać za to odszkodowania, stale podnosić na agendzie dwustronnych stosunków temat reparacji. A to Niemcom bardzo psuje klimat do interesów i przeszkadza w ulubionym narzucaniu swojej woli innym państwom. Owszem, mogą wypłacić jakąś rekompensatę Namibii, ale na historyczną sprawiedliwość wobec Polski już się nie zdobędą, bo kosztuje zbyt dużo – pozycję hegemona na kontynencie. Nie chcą pamiętać, że to nasz kraj wycierpiał z ich rąk najwięcej. Tak więc układają programy nauczania w swoich szkołach, by kolejne pokolenia coraz bardziej rozmytych w multikulturowości Niemców nie wiedziały, co się wydarzyło przed ośmioma dekadami. Polakom musi wystarczyć 30-t kamień pamięci rzucony gdzieś w Berlinie, choć więcej ważyły same dzieła sztuki zrabowane nam przez Niemców w czasie wojny (było ich co najmniej 516 tys.).

To nasz kraj jest najbardziej zagrożony fałszowaniem historii II wojny światowej i to nasze władze zawsze powinny być na to wyczulone oraz zdecydowanie się temu przeciwstawiać.

> Aby ekspansja ekonomiczna mogła się dokonać w pełni, musi się jeszcze dopełnić operacja rozmywania największych niemieckich grzechów – zbrodni II wojny światowej

„Tożsamość wyrastająca z prawdziwego doświadczenia, z niezafałszowanej pamięci jest źródłem siły, która pozwala przetrwać zawieruchy i opresje". Kto to napisał? Ten sam Donald Tusk (w tej samej książce „Solidarność i duma"), którego system próbuje wymazywać tę tożsamość.

Nie jest przypadkiem, że właśnie dziś most Grunwaldzki we Wrocławiu zostanie po remoncie przyozdobiony m.in. dwoma naczółkami z koroną cesarską z herbem Hohenzollernów (dynastii, która uczestniczyła w rozbiorach Polski), a także pięknym napisem „Kaiserbrücke" („most Cesarski"). W tym samym mieście z uniwersyteckiej Auli Leopoldina po remoncie przed trzema laty zniknęło polskie godło, a teraz pojawił się m.in. portret króla Pruskiego Fryderyka II, współsprawcy upadku I Rzeczypospolitej.

W Gdańsku mamy to od lat. Tramwaje (malowane w barwy Freie Stadt Danzig) otrzymują tam patronów w rodzaju Adolfa Butenandta (członek NSDAP, którego podpis znajduje się pod przysięgą niemieckich profesorów na wierność Hitlerowi), Jana Jerzego Forstera (przyrodnika, podróżnika i pisarza upowszechniającego ksenofobiczne stereotypy o Polakach) czy Ericha Volmara (kierował wielką akcją konserwatorską mającą na celu przywrócenie Gdańskowi historycznego wyglądu jako „odwiecznie niemieckiego miasta" i usunięcie śladów historycznej polskości, co doprowadziło do znikania polskich orłów z niektórych reprezentacyjnych budowli czy wizerunków polskich królów z Dworu Artusa).

Miasto nad Motławą jest najlepszym dowodem oddawania Niemcom polskich zasobów. To tam tuż po remoncie sieci ciepłowniczej sprzedano przedsiębiorstwo GPEC... miastu Lipsk. Cena? 183,5 mln zł, czyli wielkość niespełna czteroletniej dywidendy spółki. Dzięki temu od ponad dwóch dekad mieszkańcy Gdańska, płacąc rachunki za ogrzewanie i ciepłą wodę, nabijają kabzę władzom i mieszkańcom miasta w Saksonii.

Fot. Polonia, Shutterstock

eprasa.pl 09487c1694

Niemcy potrzebują w Warszawie takich ludzi jak Donald Tusk, by zatrzymać polską politykę historyczną prowadzoną przez instytucje pokroju Instytutu Pileckiego. Nie bez powodu jego prezesem został Krzysztof Ruchniewicz. Niedługo po nominacji kazał odwołać zaplanowaną w Berlinie konferencję o zrabowanych w Polsce dziełach sztuki, bo czas polskiej prezydencji w UE miał nie być odpowiedni do podejmowania tematów trudnych dla Berlina.

Jego zastępca Łukasz Mieszkowski w czasie majowej debaty w Muzeum POLIN wygłaszał bzdury, jakoby ratujący Żydów bardziej bali się Polaków niż Niemców, a co do postaci rtm. Pileckiego trzeba „troszkę zniuansować ten kontekst jego kryształowej, jednoznacznej odwagi", bo „on w misję do Auschwitz został w jakimś stopniu wrobiony".

Inny z Tuskowych nominatów w obszarze (nie)pamięci to dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku prof. Rafał Wnuk, który zasłynął opiłowywaniem z wystawy stałej rtm. Pileckiego, św. o. Maksymiliana Kolbego czy bł. rodziny Ulmów. W lipcu znów stało się o nim głośno, gdy uczestniczył w imprezie organizowanej w Instytucie Pileckiego, w czasie której Peter Oliver Loew (niemiecki historyk specjalizujący się w dziejach Gdańska, Pomorza i Śląska) przekonywał, że o historii trzeba mówić z różnych perspektyw – również tej dotyczącej kolaboracji Polaków z nazistami czy udziału naszych rodaków w Holokauście. Prof. Wnuk, zamiast oponować, milcząco przytakiwał.

CO KIERUJE TUSKIEM?

Niemcy potrzebują wreszcie Donalda Tuska w KPRM, by móc z naruszeniem wszelkich procedur zasypywać nas nielegalnymi migrantami, czyli minimalizować straty wynikające z własnej samobójczej polityki.

Premier nie tylko okłamuje opinię publiczną w sprawie tego, co się dzieje na granicy (dane o skali tego procederu uzyskują polscy dziennikarze w niemieckich urzędach lub posłowie w ramach przysługujących im interwencji, np. w Straży Granicznej), lecz także zachowuje się niczym niemiecki namiestnik w Warszawie.

Zamyka przejścia graniczne (wiele miesięcy za późno) nie po to, by mieć lepszą kontrolę nad czymkolwiek, lecz aby ograniczyć krytykę rozsierdzonych sytuacją migracyjną obywateli oraz przepędzić ze strefy przygranicznej wolontariuszy z Ruchu Obrony Granic. Wymierzona w nich akcja ma dużo szerszy zakres. To również włączenie przejść do katalogu infrastruktury krytycznej oraz zakaz latania tam dronami, co ma utrudnić dokumentowanie niemieckich praktyk. To też podjęta przez Adama Bodnara próba odwieszenia wyroku prac społecznych, jaki na lidera ROG Roberta Bąkiewicza nałożyli działacze Iustitii za zniesienie

> Tusk nigdy nie ujął się za polską mniejszością w Niemczech (zresztą nieuznawaną przez władze w Berlinie), nie uderzył pięścią w stół, gdy nasi zachodni sąsiedzi próbowali blokować planowane przez Polskę inwestycje

po schodach chorej z nienawiści (by użyć terminologii spopularyzowanej przez Jacka Kuronia) Katarzyny Augustynek.

To Tusk i jego partyjni towarzysze ciepło patrzą na separatystów z Ruchu Autonomii Śląska, wchodzą z nim w koalicje, lobbują za uznaniem śląskiego za język regionalny, nawet wbrew stanowisku językoznawców (ustawę w tej sprawie zawetował prezydent Duda). Z przymrużeniem oka patrzą na takie wyskoki, jak niedawny europosłanki AfD Irmhild Bossdorf, która na sesji plenarnej europarlamentu domagała się możliwości nauczania w szkołach na Śląsku i Opolszczyźnie języka niemieckiego i dwujęzycznych tablic z nazwami miejscowości w tych regionach. Nie protestowali ani eurodeputowani z KO, ani ci z Konfederacji (zasiadający w jednej frakcji z AfD). Tylko Arkadiusz Mularczyk z PiS przypomniał, że ponad milion Polaków ciężko pracuje w Niemczech na tamtejszą gospodarkę i pytał, czy mają oni prawo do nauki polskiego w szkołach, a także kiedy Niemcy zwrócą majątek polskich organizacji zrabowany na mocy dekretu Göringa.

Donald Tusk nigdy nie zdobył się na podobną ripostę, nie ujął się za polską mniejszością w Niemczech (zresztą nieuznawaną przez władze w Berlinie), nie uderzył pięścią w stół, gdy nasi zachodni sąsiedzi próbowali blokować planowane przez Polskę inwestycje albo zamykać ważne dla naszej gospodarki zakłady (*vide*: Turów). W takich przypadkach przyjmuje on optykę przeciwnika (by nie powiedzieć: wroga).

Dlaczego? Czy należy to tłumaczyć sięgającą jeszcze lat 90. zależnością (polityczną i finansową) od niemieckich chadeków? Czy może biografią premiera, którego matka zaczęła się uczyć języka polskiego w wieku 11 lat, a babka – 38 (była Niemką, sam premier przyznawał, że w jego domu kolędy śpiewało się po niemiecku)? Albo zawiłym losem dziadka, wcielonego w 1944 r. do Wehrmachtu?

Niektórzy tym ostatnim faktem tłumaczą całą treść i tytuł wystawy „Nasi chłopcy" (na jej końcu znajdziemy okładki gazet z 2005 r., gdy ta sprawa w kampanii wyborczej stała się publiczną). Według tej tezy miałaby ona być próbą rozmycia historii Józefa Tuska i sprawienia wrażenia, że tacy „dziadkowie z Wehrmachtu" to powszechne doświadczenie w polskich rodzinach.

Nie, nie jest powszechne. A Polacy dobrze wiedzą, kim w czasie oblężenia niemiecko-sowieckiej barbarii byli „nasi chłopcy".

Na koniec warto przytoczyć jeszcze jeden fragment z „Solidarności i dumy". Tusk wyrzuca w niej postkomunistom: „Teraz z ich powodu nie mówi się Polska, tylko »ten kraj«. Mówi się o swoim państwie jako czymś obcym i wrogim". Pamiętajmy te słowa, ilekroć usłyszymy sformułowanie „ten kraj" od samego premiera bądź członków jego partii. W ten tyleż błahy, co symboliczny sposób malowniczo uwidacznia się przejście Donalda Tuska na inną stronę – tych, dla których Polska jest obca i wroga. Oczywiście zakładając, że kiedyś stał gdzie indziej.

eprasa.pl 09487c1694

Szkodnicy, cwaniacy, średniacy

Ranking ministrów przed rekonstrukcją

STANISŁAW JANECKI

Najlepszą formą zapowiadanej od wielu miesięcy rekonstrukcji rządu byłaby jego dymisja. W gabinecie Donalda Tuska tylko jedna osoba zasłużyła na uznanie, a dwie można uznać za pozytywne. Pozostałym 24 ministrom (i pełnomocnikom) z premierem na czele natychmiast powinno się uniemożliwić niszczenie Polski. Ranking ministrów rządu Tuska przed rekonstrukcją sytuuje dziewięcioro z nich poniżej zera. W kilku przypadkach łącznie z premierem chodzi o zbliżanie się do zera bezwzględnego. Oznacza to, że tak złego, a wręcz beznadziejnego rządu jeszcze po 1989 r. nie było.

NAJGORSZY

Donald Tusk

Premier jest najsłabszym ogniwem rządu i największym szkodnikiem. To jego „zasługa", że na koniec I kwartału 2025 r. państwowy dług publiczny wyniósł ponad 1,7 bln zł, co oznacza wzrost o 101,7 mld zł (+6,3 proc.) w porównaniu z końcem 2024 r. Dług sektora instytucji rządowych i samorządowych (dług EDP liczony według metodologii unijnej) wyniósł 2,1 bln zł, co oznacza wzrost o 111,2 mld zł (+5,5 proc.) w stosunku do końca 2024 r. Planowany deficyt budżetu państwa na 2025 r. wynosi 289 mld zł, co stanowi 7,3 proc. PKB. Jest to rekordowy poziom w historii Polski po 1989 r. Koszty obsługi długu publicznego w 2025 r. są szacowane na ok. 103 mld zł.

Poza dewastacją budżetu premier zniszczył fundamenty państwa prawa. Złamał aż 35 artykułów konstytucji oraz przepisy co najmniej 16 ustaw. To on miał naciskać na marszałka Sejmu Szymona Hołownię, by nie dopuścić do zaprzysiężenia nowego prezydenta Karola Nawrockiego, co można uznać za podżeganie do przestępstwa z art. 128 par. 1 Kodeksu karnego (usunięcie przemocą konstytucyjnego organu RP), a za co grozi od 3 do 20 lat więzienia. W krótkim czasie Tusk zapracował na status *persona non grata* w USA, był regularnie upokarzany i deprecjonowany przez byłego i obecnego kanclerza Niemiec – Olafa Scholza i Friedricha Merza. Berlin kompletnie się z nim nie liczy, m.in. przepychając do Polski nielegalnych imigrantów.

SZKODNICY

Adam Bodnar

Miał naprawić wymiar sprawiedliwości, ale konsekwentnie go rujnuje, m.in. prowadząc bezsensowną wojnę o status sędziów. Zaangażował się w działania mające udowodnić fałszerstwa wyborcze, chcąc przeliczać głosy w tysiącach komisji i nie uznając za sąd Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. I sam się skompromitował, występując przed tym niesądem. W odpowiedzi na słowa prezydenta Andrzeja Dudy, który krytykował sędziów za angażowanie się w spory polityczne, wystosował list otwarty, w którym zarzucił podważanie zasad niezależności sądownictwa i konstytucji. Ale to on najbardziej podważył niezależność sądów i niezawisłość sędziów. Ręcznie steruje sędziami. Przygotował tzw. ustawę bezkarnościową, która miała chronić osoby związane z obecną władzą.

Barbara Nowacka

Minister edukacji wprowadziła edukację zdrowotną obejmującą elementy edukacji seksualnej, co nazwano „nauką masturbacji" i promocją „LGBT+ i aborcji" w szkołach. Usunęła z podstawy programowej odniesienia do rzezi Woli, rzezi wołyńskiej, postaci takich jak Witold Pilecki czy Maksymilian Kolbe. Zlikwidowała prace domowe w szkołach podstawowych, co oznacza kurs na „fabryki nieuków". Powszechne potępienie wzbudziła jej wypowiedź z 27 stycznia 2025 r. podczas obchodów 80. rocznicy wyzwolenia Auschwitz-Birkenau, gdzie stwierdziła, że „na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy".

Izabela Leszczyna

W 2024 r. podlegający jej Narodowy Fundusz Zdrowia zamknął rok budżetowy z dziurą 6,1 mld zł niezapłaconych szpitalom, w tym 1,6 mld zł za tzw. nadwykonania. Do utrzymania płynności w ochronie zdrowia brakuje ok. 20 mld zł. Ograniczyła dostęp do rehabilitacji, likwiduje oddziały ginekologiczne.

eprasa.pl 09487c1694

Katarzyna Sójka, była minister zdrowia, nazwała Leszczynę „chorobą toczącą system ochrony zdrowia". Jest krytykowana za zamykanie szpitali w mniejszych miejscowościach oraz przydzielanie zerowych limitów na kierunki lekarskie na niektórych uczelniach. Wydała rozporządzenie umożliwiające przerywanie ciąży do dziewiątego miesiąca, m.in. na podstawie zaświadczenia od psychiatry.

Hanna Wróblewska

Minister kultury bez sensu i wyobraźni, czyli siejąc panikę, ujawniła plany ewakuacji najważniejszych polskich dzieł sztuki (obrazów, rzeźb, rzadkich książek i instrumentów muzycznych) z ok. 160 instytucji na wypadek rosyjskiej agresji. Wzięła udział w odsłonięciu w Berlinie tymczasowego pomnika (tzw. Kamień dla Polaków) upamiętniającego ofiary niemieckiej okupacji. Uznano to za „hańbę" i wyraz „polityki na kolanach" wobec Niemiec, zwłaszcza w kontekście braku reparacji wojennych. Szczególną uwagę zwrócono na jej strój (trampki), który uznano za niestosowny i obraźliwy wobec ofiar.

Paulina Hennig-Kloska

Minister klimatu i środowiska wbrew deklaracjom nie zrobiła nic, by zatrzymać wprowadzanie zabójczych dla Polski elementów Zielonego Ładu. Projekt liberalizacji zasad budowy farm wiatrowych okazał się „wrzutką legislacyjną" w ustawie o mrożeniu cen energii, a oznaczał skrócenie minimalnej odległości wiatraków od budynków mieszkalnych z 700 do 300 m. Opozycja zarzucała jej faworyzowanie interesów zagranicznych firm wiatrowych. Zarzuca się jej niekompetencję, zwłaszcza w kontekście opóźnień w wypłatach z programu „Czyste Powietrze", które doprowadziły małe firmy do bankructwa.

Katarzyna Kotula

Minister ds. równości promuje liberalizację prawa aborcyjnego, możliwość przerywania ciąży do 12. tygodnia, wprowadzenie związków partnerskich oraz dekryminalizację pomocy w aborcji. Przez pięć lat podawała nieprawdziwą informację o posiadaniu tytułu magistra filologii angielskiej, choć ukończyła jedynie studia licencjackie. Kotula twierdziła, że był to „błąd" na stronach Sejmu i jej prywatnej, który skorygowano. Od ponad roku nie wprowadziła istotnych zmian w kwestii dyskryminacji mężczyzn w wieku emerytalnym.

Andrzej Domański

Minister finansów nie panuje nad rosnącym długiem i deficytem, godząc się na pogarszanie sytuacji budżetu dla osiągnięcia politycznych celów przez Donalda Tuska. Dochody podatkowe w okresie styczeń–czerwiec 2025 r. wyniosły 237,2 mld zł, co oznacza spadek o 38,9 mld zł (14,3 proc.) w porównaniu z 2024 r. Minister zapowiedział wprowadzenie nowego podatku od odsetek od rezerwy obowiązkowej utrzymywanej przez banki w NBP. Faworyzuje interesy rządu kosztem sektora prywatnego, co widać po wynikach spółek Skarbu Państwa, które były znacznie lepsze za rządów PiS. Łamie prawo, odmawiając wypłaty subwencji dla Prawa i Sprawiedliwości po uchwale PKW.

Marcin Kierwiński

W imieniu rządu nadzoruje działania związane z odbudową infrastruktury i wsparciem dla poszkodowanych po powodziach we wrześniu 2024 r. Ogłaszając jego nominację, premier podkreślił, że Kierwiński został wybrany ze względu na wykształcenie techniczne. Ale z odbudową infrastruktury i wsparciem wciąż jest źle. Według „Notes from Poland" w Kłodzku do połowy listopada 2024 r. nie wypłacono odszkodowań na odbudowę domów, a tylko 27 z 130 gmin w regionie zakończyło jakiekolwiek procesy kompensacyjne. Opozycja krytykuje go za opóźnienia w wypłatach odszkodowań i niekompetencję. A ironiczne komentarze, np. o „zalaniu Kłodzka", podważają jego wiarygodność.

CWANIACY

Radosław Sikorski

Minister spraw zagranicznych deklaruje wsparcie dla Ukrainy, podkreśla konieczność utrzymania sankcji na Rosję oraz politycznego, gospodarczego i militarnego wsparcia dla Kijowa. W marcu 2025 r. apelował o odblokowanie negocjacji akcesyjnych z Ukrainą

Fot. KPRM

eprasa.pl 09487c1694

przez Węgry. W exposé o polityce zagranicznej rządu w 2025 r. stwierdził, że „dopóki NATO jest efektywnym sojuszem, Rosja z nami nie wygra", ale wydatki państw członkowskich na obronę dopiero mają wzrosnąć. Aktywował współpracę w ramach Trójkąta Weimarskiego (Polska, Niemcy, Francja), choć jego realna rola jest niewielka. Jest krytykowany za „nieokrzesanie", co podważa jego dyplomatyczne kompetencje. Zarzuca mu się skłócenie Polski z USA. Szef MSZ Węgier Péter Szijjártó nazwał go „jednym z najbardziej zdeprawowanych prowojennych polityków w Europie".

Krzysztof Gawkowski

Jako minister cyfryzacji miał monitorować nielegalne przepływy środków z zagranicy na kampanie wyborcze, a w 2024 r. odnotowano 23-proc. wzrost incydentów naruszających cyberbezpieczeństwo. Wprawdzie reagował na patologie w trakcie kampanii prezydenckiej, np. reklamy na Facebooku wspierające Rafała Trzaskowskiego, a zwalczające Karola Nawrockiego i Sławomira Mentzena, ale efekt był marny. Jego deklaracja w RMF FM (9 lipca 2024 r.) o rozważaniu wyłączenia w Polsce platformy X została powszechnie uznana naruszającą wolność słowa i wprowadzającą cenzurę.

Tomasz Siemoniak

Minister spraw wewnętrznych i administracji oraz koordynator służb specjalnych w odpowiedzi na falę pożarów wskazał, że Straż Pożarna bada potencjalne akty dywersji. Podkreślił skuteczność Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w zapobieganiu próbom destabilizacji ładu społecznego, jednak uznano to za pustosłowie. W lipcu 2025 r. to on realizował polecenia Tuska o wprowadzeniu tymczasowych kontroli na granicach z Niemcami i Litwą, motywując to koniecznością walki z nielegalną migracją, przestępczością zorganizowaną i przemytem ludzi. Kontrole nie zapobiegły przysyłaniu imigrantów z Niemiec. Wraz z ministrem Bodnarem powołał komisję do zbadania nadużyć władzy w latach 2015–2023, w tym inwigilacji aktywistów przy użyciu systemu Pegasus, co jest działaniem czysto propagandowym i elementem zemsty.

Sławomir Nitras

Minister sportu przygotował nowelizację ustawy o sporcie, która miała wprowadzić zrównoważoną reprezentację płci w zarządach związków sportowych (co najmniej 30 proc. kobiet w zarządach liczących ponad pięciu członków i minimum jedna kobieta w mniejszych zarządach). Projekt uzależniał finansowanie związków od spełnienia tych wymogów, co jest sztuczne i nacechowane ideologicznie. Zapowiedział modernizację 2 tys. boisk typu Orlik i budowę 1 tys. nowych do końca kadencji rządu (2027 r.), co zawsze było priorytetem premiera Tuska, ale niekoniecznie się sprawdziło. Środowisko sportowe uważa, że nie rozumie on specyfiki zarządzania sportem. W maju 2025 r. został oskarżony o opłacanie reklam wyborczych Rafała Trzaskowskiego z prywatnego konta na Facebooku, co wzbudziło podejrzenia o naruszenie zasad finansowania kampanii.

Marzena Okła-Drewnowicz

Pełniąca funkcję ministra ds. polityki senioralnej jest promotorką bonu senioralnego, który ma wspierać opiekę nad osobami starszymi, szczególnie po 85. roku życia, oraz formalizować pracę opiekunów, głównie kobiet po 60. roku życia, działających w szarej strefie. W styczniu 2025 r. zapowiedziała, że ustawa o bonie senioralnym wejdzie w życie 1 stycznia 2026 r., choć pracuje nad nim od grudnia 2023 r. W maju 2025 r. premier Tusk polecił jej i ministrowi Bodnarowi pilne przygotowanie rekomendacji prawnych chroniących seniorów przed wyłudzeniami mieszkań, co było próbą uderzenia w Karola Nawrockiego, a nie faktycznym rozwiązaniem problemu.

Jan Grabiec

Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów formalnie jest odpowiedzialny za koordynację pracy rządu, deregulację legislacyjną i komunikację polityczną, ale żadnego z tych zadań nie realizuje dobrze. Ogłaszając jego nominację, premier podkreślił, że ma on zapewnić „wyższy poziom legislacyjny" i wyeliminować „niechlujstwo legislacyjne". Nic takiego nie nastąpiło. W lipcu 2025 r. Grabiec skrytykował publiczną dyskusję prezydenta Andrzeja Dudy o nuclear sharing, stwierdzając, że „nie służy naszemu bezpieczeństwu", choć służyła. Krytycy oskarżają Grabca o rozpowszechnianie fake newsów.

Maciej Berek

Minister, członek Rady Ministrów oraz przewodniczący Stałego Komitetu Rady Ministrów, odpowiada za weryfikację i koordynację wszystkich projektów legislacyjnych rządu, ich zgodność z prawem i priorytetami rządu. Nie wywiązuje się z tych zadań. W maju 2024 r. zapowiedział, że gabinet skupi się na „niewielkiej liczbie ustaw, które rozwiązują prawdziwe problemy", zamiast produkować ich setki. Ale tylko w ciągu pierwszych pięciu miesięcy rządu zgłoszono 150 projektów ustaw. W grudniu 2024 r. zanegował istnienie Trybunału Konstytucyjnego.

Adriana Porowska

Minister ds. społeczeństwa obywatelskiego forsuje zlecanie zadań publicznych organizacjom pozarządowym. Zapowiedziała wsparcie finansowe dla NGO na projekty integracyjne dla cudzoziemców w Polsce. Skrytykowała Ruch Obrony Granic, sugerując, że jego członkowie „bili kobiety" i nosili kamizelki z napisem „Police", co błędnie zinterpretowała jako próbę podszywania się pod policję (napis dotyczył miejscowości). Poparła film „Zielona granica" Agnieszki Holland, uznając, że pokazuje „dylematy moralne".

ŚREDNIACY

Dariusz Klimczak

Minister infrastruktury deklaratywnie wspiera kontynuację projektu CPK, ale tak okrojonego, że podważa to zasadnicze cele tego przedsięwzięcia. Zapowiedział program rozbudowy dróg krajowych, w tym autostrad i dróg ekspresowych, w ramach projektu Tarcza Wschód, ale na razie są to tylko ogólniki. Wprowadził bezpośrednie połączenie kolejowe z Chorwacją, co okazało się kompletnym niewypałem, gdy chodzi o jakość usług. Podwyższył stawki opłaty paliwowej na 2024 r.

eprasa.pl 09487c1694

Krzysztof Paszyk

Minister rozwoju i technologii kontynuuje program „Klucz do mieszkania", zakładający obniżenie oprocentowania kredytów hipotecznych z ok. 8 proc. do 3–4 proc., co ma zmniejszyć raty o 1–1,5 tys. zł miesięcznie. Program ma wykluczać wsparcie dla deweloperów. Ale projekt nie został wpisany do wykazu prac legislacyjnych rządu. Jest krytykowany za brak fachowej wiedzy w zakresie technologii i rozwoju. Partia Razem zarzuca mu „nieróbstwo" i faworyzowanie interesów deweloperów, szczególnie w kontekście programu „Pierwsze klucze".

Marcin Kulasek

Minister nauki i szkolnictwa wyższego chwali się, że w budżecie na 2025 r. przeznaczono 1,75 mld zł dla Narodowego Centrum Nauki na badania podstawowe oraz 638 mln zł na współpracę międzynarodową, co jest uznawane za niewystarczające. Zapowiedział likwidację Akademii Kopernikańskiej i Szkoły Głównej Mikołaja Kopernika bez podstaw, nazywając je „pisowskimi kuźniami kadr". Dziennikarz Patryk Słowik zarzucił mu ignorowanie szykanowania pracowników uczelni i faworyzowania znajomych na dobrze płatnych stanowiskach.

Jakub Jaworowski

Pełniący funkcję ministra aktywów państwowych przejął resort po Borysie Budce z zadaniem kontynuacji „czyszczenia" spółek Skarbu Państwa po okresie rządów PiS. Ogłosił rezygnację z projektu NABE zainicjowanego przez Jacka Sasina, który miał przejąć aktywa węglowe od spółek energetycznych. Górnicy i związkowcy wyrazili obawy o przyszłość sektora węglowego. Krytycy przypomnieli incydent z 2015 r., kiedy negocjując z górnikami w imieniu rządu PO-PSL, miał ich nazwać „pajacami", co doprowadziło do zerwania rozmów po bankructwie Kompanii Węglowej. Związkowcy nazwali wówczas rządowych negocjatorów „gówniarzerią".

Czesław Siekierski

Minister rolnictwa uczestniczył w negocjacjach dotyczących handlu produktami rolnymi z Ukrainą, ale nowe regulacje nie są korzystne dla Polski. Wprowadził zakaz importu rosyjskich ogórków udających ukraińskie, co miało chronić rynek unijny przed nielegalnym handlem. Opozycja krytykuje go za zbytnią uległość wobec UE w negocjacjach z Mercosur. Środowiska rolnicze (np. na portalu cenyrolnicze.pl) zarzucają mu zbyt wolne tempo reform, szczególnie w uproszczeniu biurokracji WPR.

Adam Szłapka

Minister ds. Unii Europejskiej (a od 1 lipca 2025 r. także rzecznik rządu) mocno przecenia rolę Polski w takich inicjatywach jak Tarcza Wschód i Bałtycka Linia Obrony. Na półmetku polskiej prezydencji w UE ogłosił jej sukces, choć to Francja i Wielka Brytania przejęły inicjatywę w kwestiach bezpieczeństwa i wsparcia Ukrainy, organizując szczyty w Paryżu i Londynie. W marcu 2025 r. wzbudził oburzenie, śmiejąc się podczas debaty w Parlamencie Europejskim o kryzysie humanitarnym w Strefie Gazy. W kwietniu 2023 r. potrącił 16-letnią rowerzystkę na przejeździe rowerowym w Warszawie, powodując u niej uraz głowy i złamanie kości nosowych.

Marzena Czarnecka

Minister przemysłu to swego rodzaju eksperyment i działanie propagandowe – choćby przez siedzibę resortu w Katowicach, a nie w Warszawie. Chce ewolucyjnego wygaszania kopalń, wskazując na przykład Wałbrzycha, gdzie szybkie zamknięcia doprowadziły do bezrobocia i „biedaszybów". Promuje wizję transformacji energetycznej „od węgla do atomu", podkreślając rolę Śląska jako centrum tego procesu, ale w tym względzie niewiele od niej zależy. Wsparła plan „przypisania" kopalń do elektrowni węglowych spółek energetycznych, choć decyzje o wydzieleniu elektrowni nie zostały podjęte.

POZYTYWNI

Władysław Kosiniak-Kamysz

Minister obrony chwali się zwiększeniem wydatków na obronność (o 67 proc. w porównaniu do ostatniego roku rządów PiS), ale to kontynuacja planu wydatków poprzedników oraz korzystanie z „pozostawionych" przez nich pieniędzy. Zapowiadana budowa Tarczy Wschód nie ma zagwarantowanego finansowania ze środków UE, gdyż Polska w minimalnym stopniu będzie o tym decydować. Zasadne są jego działania na rzecz budowania dumy narodowej i pozytywnego wizerunku wojska. Miał możliwość zmiany układu rządzącego łącznie z objęciem funkcji premiera, ale nie skorzystał. Na plus trzeba mu zapisać warunek rozwiązania kwestii ekshumacji ofiar rzezi wołyńskiej przed integracją Ukrainy z UE.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk

Minister rodziny, pracy i polityki społecznej wprowadziła rentę wdowią – program wspierający seniorów po stracie współmałżonka. Zaproponowała podwyżkę płacy minimalnej na 2026 r. o 390 zł brutto – do 5020 zł. Promuje ideę skróconego tygodnia pracy za to samo wynagrodzenie. Jej resort wprowadził programy wspierające mieszkalnictwo, takie jak finansowanie tanich mieszkań na wynajem (5 mld zł w 2025 r., z planowanym wzrostem o 1 mld zł rocznie do 2030 r.).

NAJLEPSZA

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz

Minister funduszy i polityki regionalnej odegrała kluczową rolę w odblokowaniu 600 mld zł z Krajowego Planu Odbudowy (KPO) i Funduszy Europejskich, co przypisuje sobie Tusk. Była inicjatorką ustawy zobowiązującej deweloperów do ujawniania cen mieszkań. Zaproponowała podatek od posiadania trzech lub więcej mieszkań jako rozwiązanie kryzysu dostępności lokali. Jest zwolenniczką odpartyjnienia spółek Skarbu Państwa. Podkreśla konieczność wzmocnienia sfery publicznej i wyraża sprzeciw wobec likwidacji takich instytucji jak TVP. Zaproponowała podatek od nadmiarowych zysków banków, wskazując na ich wielkie dochody z powodu wysokiego oprocentowania kredytów. Środki z podatku byłyby przeznaczone na obronność lub służbę zdrowia. Popierała przedłużenie mrożenia cen energii na cały 2025 r. W lipcu 2025 r. skrytykowała próby nacisku na Szymona Hołownię w sprawie zaprzysiężenia Karola Nawrockiego.

eprasa.pl 09487c1694

Głuchy Tusk

Jest coraz więcej sygnałów świadczących o tym, że reżim Tuska zaczyna gnić od środka. I nie chodzi tylko o fatalną jakość jego dotychczasowych rządów, ale o coś znacznie ważniejszego, choć może mniej uchwytnego – o złą atmosferę, jaką roztacza wokół siebie Tusk

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Donald Tusk stracił nie tylko kontakt ze swoimi posłami, lecz także ze zwykłymi ludźmi – pisze „Gazeta Wyborcza", cytując niewymienionego z nazwiska posła koalicji rządowej. „Przestał jeździć po Polsce, rozmawia tylko z innymi politykami, nie wie, co się dzieje w kraju. Jest coraz większym obciążeniem naszego obozu, z niejasnych powodów stracił słuch społeczny, ale też polityczny" – czytamy. „Postarzał się? Zmęczył? Znudził? Uwierzył w swój geniusz?" – pyta w tytule autor artykułu Arkadiusz Gruszczyński.

Tekst wzbudził sporo zamieszania. Najbardziej wściekli byli fiksaci z sekty ośmiu gwiazdek. No bo jak to? Nawet „Wyborcza" już zdradziła? Jednak nie o zdradę tutaj chodzi. Sekciarze są zbyt tępi i owładnięci żądzą zemsty, aby zauważyć, że ogarnięty swoimi obsesjami Tusk odkleił się już od rzeczywistości i konsekwentnie zmierza ku samozagładzie. Ale jego otoczenie, beneficjenci obecnych rządów, nie zamierzają mu w tym dłużej asystować.

Trudno się więc dziwić, że redakcja z Czerskiej jest poważnie zaniepokojona złą kondycją bliskiego jej reżimu. Tusk popełnia coraz więcej błędów, nie daje sobie rady i jeśli pewnego dnia zatonie, to pociągnie ze sobą na dno całą swoją koalicję. A wtedy PiS i prawica będą miały otwartą drogę do władzy. To byłby najgorszy scenariusz dla liberalnej mafii pociągającej dziś za wszystkie sznurki w Polsce. Lepiej więc zawczasu rozpocząć poszukiwania nowego kapitana. Póki nie jest za późno.

ZŁA ATMOSFERA

Artykuł w „Wyborczej" nieprzypadkowo zbiega się w czasie z przesileniem wewnątrz obecnego obozu władzy. Jest coraz więcej sygnałów świadczących o tym, że reżim Tuska zaczyna gnić od środka. I nie chodzi tylko o fatalną jakość jego dotychczasowych rządów, ale o coś znacznie ważniejszego, choć może mniej uchwytnego – o złą atmosferę, jaką roztacza wokół siebie Tusk. Coraz mniej Polaków podziela jego fobie i mało kto wierzy już w poprawę sytuacji.

Wielu ludzi boi się o przyszłość. Niektórzy z nich dwa lata temu oddali swój głos na partie obecnej koalicji w złudnej nadziei, że zmiana władzy przyniesie im spokój i stabilizację. Nic takiego nie nastąpiło. I oczywiście nie mogło nastąpić, skoro wskutek wyborów władza w Polsce znalazła się w rękach awanturników i hejterów. Dorwawszy się do stołka, Tusk do reszty stracił kontrolę nad własnymi obsesjami i ku uciesze najbardziej zapamiętałych wariatów zaczął dewastować państwo.

Realizowana przez premiera polityka jest podporządkowana dwóm głównym celom: pierwszy z nich to zniszczenie pisowskiej opozycji, a drugi to zwasalizowanie Polski przez Niemcy. Oba te cele są ze sobą wzajemnie powiązane, bo bez likwidacji PiS nie ma przecież mowy o pełnym podporządkowaniu Polski Niemcom. To dlatego Berlin naciskał na powrót Tuska do władzy. Jego obsesyjna żądza zemsty miała zagwarantować udaną pacyfikację polskiej sceny politycznej i w efekcie wzięcie Polski pod niemiecką kuratelę.

Jednak coś w tym planie nie wyszło. Pierwszym problemem był sam Tusk, którego zgubiła jego własna zawziętość. Być może bezprawie, którego się dopuszczał wobec opozycji, uszłoby mu na sucho, gdyby potrafił jednocześnie zadbać o standard życia Polaków i wywiązał się z obietnic złożonych im podczas wyborów. On jednak potraktował ludzi po platformersku – jak nierozumne bydło. Chciał – tak jak kiedyś – odwracać uwagę Polaków od pogarszającej się sytuacji propagandowymi sztuczkami i politycznymi igrzyskami. Ta metoda jednak nie zadziałała.

Poparcie, którego udzielono mu w 2023 r., okazało się warunkowe. Polacy, przyzwyczajeni za rządów PiS do niezłych warunków życia, zaczęli dostrzegać, że wiedzie im się coraz gorzej, pieniędzy i miejsc pracy ubywa z każdym miesiącem, a szef rządu nawet nie udaje, że go to obchodzi. Dla niego liczyło się tylko jedno: rozprawa z opozycją i przyjmowanie sugestii płynących z Berlina.

eprasa.pl 09487c1694

Drugie źródło problemu znajdowało się właśnie w Berlinie. Niemcy, pozbawieni już jakichkolwiek zahamowani, zaczęli brutalnie egzekwować własne interesy. Zaczęło się od uderzenia w polską gospodarkę. Po kolei padały wielkie projekty infrastrukturalne poprzedniej ekipy, takie jak CPK, budowa terminali kontenerowych, elektrowni jądrowych czy przywracanie żeglugi śródlądowej. Z kolei forsowany właśnie Zielony Ład wkrótce doprowadzi do katastrofy polskie rolnictwo i przetrzepie portfele większości Polaków.

Jakby tego było mało, Polska stała się miejscem dożywotniej zsyłki dla niechcianych imigrantów z Niemiec. Berlin okazał się tak niecierpliwy, że nie czekał nawet na oficjalne uruchomienie paktu migracyjnego i już teraz zaczął nam podrzucać nachodźców z całego świata. To właśnie niebywała buta Niemców panoszących się na granicy i wjeżdżających do Polski jak do własnej stodoły zrodziła wśród wielu ludzi przekonanie, że w najlepszym razie Tusk nad niczym nie panuje, a w gorszym – że jest po prostu namiestnikiem realizującym cudze interesy.

UTRATA KONTROLI

Pojawienie się „inżynierów" na ulicach polskich miast stało się momentem otrzeźwienia dla dużej grupy Polaków. Nagle poczuli, że ich bezpieczeństwo i relatywnie spokojne życie zostało wystawione na szwank. A wszystko to dzieje się za cichą zgodą obecnego reżimu.

Co więcej, ten rząd nie ma nic do powiedzenia w żadnej innej ważnej społecznie sprawie. Tuska nie obchodzą rosnące koszty życia ani zapaść w służbie zdrowia, nie przejmuje się deficytem budżetowym oraz uciekającymi miejscami pracy i w ogóle nie wie, jak się zachować wobec wojny trwającej za naszą wschodnią granicą. Jego dalsze rządy budzą w wielu Polakach obawy o przyszłość, nawet część elektoratu obecnego reżimu czuje się zagubiona i zdezorientowana.

Według niedawnego sondażu IBRiS dla Radia ZET aż 54,2 proc. ankietowanych uważa, że Tusk nie radzi sobie z zadaniami szefa rządu (tego zdania jest nawet większość badanych wyborców Trzeciej Drogi). A „Gazeta Wyborcza" – tym razem w artykule Jana Radomskiego – pisze, że rząd Tuska dostał czerwoną kartkę. „Polki i Polacy po prostu już nie chcą, żeby krajem rządziła ta koalicja" – czytamy. „Wiele badań pokazywało to już od jakiegoś czasu, ale wyniki wyborów [prezydenckich] były ostatecznym potwierdzeniem tego, że Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Nowa Lewica straciły społeczną legitymację do sprawowania władzy. Owszem, wciąż tę władzę politycznie sprawują, ale tylko dlatego, że jesteśmy jeszcze przed połową kadencji parlamentu".

Nic więc dziwnego, że pojawiają się pęknięcia w reżimowej koalicji. Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz mają twardy orzech do zgryzienia, bo trwanie w obecnym układzie prowadzi ich ku politycznej śmierci, ale wyjście z niego – choć byłoby korzystne dla Polski – pozbawia ich stanowisk i apanaży. Próbują więc prowadzić własną grę z Tuskiem, aby przynajmniej nie dać się całkowicie upodlić.

O słabości Tuska może świadczyć postawa Hołowni, który według pierwotnego zamysłu premiera miał być malowanym marszałkiem Sejmu, miękką fujarą, którą w razie potrzeby łatwo będzie zastraszyć. Ale gdy ta potrzeba się pojawiła i Tusk, według relacji mediów, chciał zmusić Hołownię do zablokowania zaprzysiężenia Karola Nawrockiego (czyli *de facto* zamachu stanu), marszałek mu się postawił i odmówił. Jeszcze rok temu taka niesubordynacja byłaby nie do pomyślenia. Tusk był ofensywny i zdawał się trząść wszystkim. Dziś może jedynie wpaść w pustą furię i zakulisowo obmyślać kolejne intrygi.

Hołownia spotkał się także z Jarosławem Kaczyńskim, co wzbudziło erupcję dzikiej nienawiści ośmiogwiazdkowych furiatów. Ważniejsze jest jednak co innego – że kontakty Hołowni z opozycją zostały pozytywnie ocenione aż przez 68 proc. ankietowanych Polaków. A to oznacza, że ludzie są spragnieni normalności, spokoju i przewidywalności. Chcą porozumienia, a nie wojny. I że mają już dość obsesjonatów u władzy.

„Ogólny obraz wygląda źle: premier nie panuje nad koalicjantami, rząd nie dowozi, ma fatalną komunikację, ministrowie boją się wyjść poza szereg, a Trzaskowski, czyli murowany kandydat na prezydenta, przegrał z politycznym nowicjuszem" – podsumowuje „Gazeta Wyborcza" w artykule Arkadiusza Gruszczyńskiego.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 09487c1694

CZŁOWIEK ZE SKAZĄ

Tusk co jakiś czas próbuje maskować swoje porażki. Najwyraźniej jednak nie rozumie, że czasy się zmieniły. I Polacy również są inni. Niektórzy twierdzą, że przełomem okazał się spór o przyszłość CPK. Był to papierek lakmusowy pokazujący prawdziwe intencje Tuska i obecnej władzy. Gdyby premierowi rzeczywiście zależało na przyszłości państwa i dobrobycie jego obywateli, nie zablokowałby w interesie Niemiec największego projektu infrastrukturalnego w Polsce. Lojalność wobec unijnych patronów oraz chęć zemsty na poprzednikach stały się jednak silniejsze od dbałości o interesy własnego państwa.

Od tamtej pory skaza na i tak nie najlepszym wizerunku Tuska stale się pogłębiała. Każda jego kolejna decyzja była niejako potwierdzeniem wcześniejszych domysłów: że ten człowiek swoją polityką szkodzi Polsce i jej obywatelom. I żaden stary trik już tego nie zmieni.

Dlatego dziś na nikim nie robią wrażenia fotografie premiera bawiącego się ze swoimi wnuczkami. Podobnie jak propagandowe ujęcia Tuska, gdy – rzekomo zapracowany – wbiega w ostatniej chwili na posiedzenie rządu z kubkiem parującej kawy w ręku. To wszystko było już grane setki razy i powtórzone po raz kolejny zaczyna być dla większości ludzi żenujące. Zwłaszcza że chaos w kraju ciągle się pogłębia.

A nowych pomysłów najwyraźniej brakuje. Czasem premier rzuci jakieś nic nieznaczące hasło w rodzaju „deregulacji", o którym po chwili zapomni, innym razem jego propagandyści ogłoszą „wielkie wydarzenie", jakim jest uruchomienie „ekspresu" wlokącego się do Chorwacji 19 godzin. Widać, że ten reżim nie ma już nic do zaoferowania ludziom. Kiedyś było jeszcze Euro i Pendolino, teraz jest już tylko całkowita niemoc.

Ostatnio Tusk nieustannie siedzi przed wielkim telewizorem i ogląda – niby wspólnie ze wszystkimi Polakami – najważniejsze wydarzenia. Jednak jego wyreżyserowana ekscytacja lotem Polaka w kosmos lub dopingowanie polskich sportowców mało kogo obchodzi i zaczyna wszystkich drażnić. „Czy my mamy jeszcze premiera, czy już tylko komentatora telewizyjnego?" – zapytał szyderczo Janusz Korwin-Mikke.

Podobnie jest z innymi stałymi trikami z repertuaru Tuska. Nikt nie wierzy, że zupę szczawiową, którą jadł podczas powodzi, przygotowała jego żona, a suchy makaron z truskawkami, który pokazał internautom podczas meczu Igi Świątek, wzbudził jedynie salwy śmiechu i zażenowanie. „Mnie zastanawia jedno: jak dziad, który nie ma ani jednego zęba, je surowy makaron? Połyka w całości? Memła dziąsłami? No nie wiem" – drwił z Tuska Zygfryd Czaban, jeden z najbardziej popularnych komentatorów na platformie X.

Do legendy, ale raczej w negatywnym znaczeniu, przeszły występy nieogolonego Tuska podczas polowych narad w trakcie ostatniej powodzi na Dolnym Śląsku. Podobnie jak jego – wzorowane na Putinie – operatywki z członkami rządu, a zwłaszcza ta, w trakcie której prosił „Czesława" (Siekierskiego – ministra rolnictwa), aby natychmiast „pojechał do resortu i rozstrzygnął sprawę". Oczywiście „Czesław" nie rozstrzygnął żadnej sprawy, chodziło tylko o pokazanie sprawczości i siły Tuska: że niby wystarczą dwa słowa i ministrowie biegną w popłochu, aby wypełnić jego wolę. Do niedawna wielu ludziom w Polsce taki spektakl w zupełności wystarczał, ale to się już zmieniło.

GURU FURIATÓW

O ile momentem otrzeźwienia dla większości Polaków stało się pojawienie imigrantów wepchniętych do naszego kraju z Niemiec, o tyle początkiem upadku Tuska staną się zapewne niedawne wybory prezydenckie.

Wygrana Rafała Trzaskowskiego miała domknąć system i zabetonować obecny reżim. Tusk i jego ludzie podporządkowali absolutnie wszystko temu celowi, jakakolwiek alternatywa nie wchodziła w grę. I być może udałoby im się wykonać ten plan, gdyby nie sam premier, który zniecierpliwiony słabymi notowaniami Trzaskowskiego postanowił na koniec wejść do kampanii. To był błąd, który być może zaważył na wynikach wyborów.

> Tusk stracił słuch społeczny. Odkleił się od rzeczywistości, nie rozumie otaczającego go świata, nie wie, kto jest kim oraz co jest dla ludzi ważne. I postanowił wszystkim pokazać te ułomności

Polacy dostrzegli wówczas, że głosując na Trzaskowskiego, tak naprawdę wybierają Tuska. Starego, sfiksowanego obsesjonata, który w kluczowym momencie kampanii ośmieszył siebie i Trzaskowskiego, podpierając się „autorytetem" Jacka Murańskiego, człowieka, który wśród młodych ludzi uchodzi za mitomana i który z tego powodu zrobił z siebie pośmiewisko w internecie. Tak, „Wyborcza" ma tutaj rację: Tusk zupełnie stracił słuch społeczny. Odkleił się od rzeczywistości, nie rozumie otaczającego go świata, nie wie, kto jest kim oraz co dzisiaj jest dla ludzi ważne. I postanowił wszystkim pokazać te ułomności.

Trudno powiedzieć, z czego to wynika. Może rzeczywiście ogłuchł, a może brakuje mu dobrych doradców. Pewne jest jednak, że jak przystało na każdego stetryczałego dyktatora, otacza się samymi niekompetentnymi karierowiczami, potakiwaczami oraz zwykłymi wariatami, podobnie jak on ogarniętymi obsesją „rozliczeń".

Niektórzy twierdzą, że Tusk stał się zakładnikiem Silnych Razem. To nieprawda. On nie jest ich zakładnikiem, lecz współtwórcą tej sekty i jej najwyższym guru. Przez 20 lat, odkąd wypowiedział wojnę PiS, zaraził swoją nienawiścią dziesiątki tysięcy osób. I wygląda na to, że teraz ta nienawiść go zgubi.

eprasa.pl 09487c1694

Fot. DyziO/Shutterstock.com

2025 r. Rokiem Spółdzielczości

Remedium na korporacyjny porządek świata i zanik realnych więzi międzyludzkich

2025 r. został ogłoszony Międzynarodowym Rokiem Spółdzielczości. To symboliczne przypomnienie o sile modelu gospodarczego, który – mimo że nierzadko marginalizowany – ma ogromny potencjał. Spółdzielczość to nie tylko jeden z wariantów prowadzenia działalności gospodarczej. To całościowa filozofia działania bazująca na współpracy, solidarności i odpowiedzialności. W Polsce, kraju o bogatej tradycji spółdzielczej, ten model odgrywa szczególnie ważną rolę – zwłaszcza w dobie wyzwań, z jakimi mierzy się współczesna gospodarka, społeczeństwo i kultura

W całym kraju działa obecnie ponad 10 tys. spółdzielni dających zatrudnienie setkom tysięcy ludzi. Ich znaczenie jest nie do przecenienia, zwłaszcza w regionach, gdzie rynek komercyjny się wycofuje, a potrzeby mieszkańców pozostają aktualne. Dzięki lokalnemu zakorzenieniu spółdzielnie tworzą stabilne miejsca pracy, wspierają lokalnych producentów i reinwestują wypracowane nadwyżki w rozwój regionu. W przeciwieństwie do korporacyjnych modeli bazujących na ekspansji i zysku spółdzielnie są nastawione na trwałość i wzajemność w osiąganiu korzyści.

Szczególne znaczenie mają spółdzielnie pracy, które integrują osoby wykluczone – z niepełnosprawnościami, długotrwale bezrobotne czy wychodzące z życiowych kryzysów. W tym sensie spółdzielczość staje się nie tylko narzędziem gospodarczym, lecz także elementem realnej polityki społecznej.

KULTURA I TOŻSAMOŚĆ – NIEWIDZIALNY KRĘGOSŁUP WSPÓLNOTY

Jednak spółdzielczość to coś więcej niż ekonomia – to także głęboko zakorzeniona troska o kulturę, dziedzictwo i wspólnotę. W przeszłości ruchy spółdzielcze w Polsce odgrywały istotną rolę w podtrzymywaniu i promowaniu lokalnych tradycji poprzez wsparcie dla domów kultury, klubów osiedlowych, zespołów ludowych czy kół gospodyń wiejskich. Ta tradycja nie zanikła – przeciwnie, dziś zyskuje nowe formy i znaczenie.

W miastach, miasteczkach i wsiach to właśnie spółdzielnie, fundacje i związane z nimi stowarzyszenia wciąż wspierają festyny, koncerty, warsztaty czy konkursy, które kształtują lokalną tożsamość i budują przestrzenie integracji społecznej. Często są jedynymi instytucjami, które – z poczucia odpowiedzialności, a nie dla zysku – finansują i organizują wydarzenia kulturalne, wspierają lokalnych twórców i zachowują pamięć o przeszłości.

FUNDACJA IM. FRANCISZKA STEFCZYKA – W SŁUŻBIE PAMIĘCI I PRZYSZŁOŚCI

W szczególny sposób należy wspomnieć Fundację im. Franciszka Stefczyka – organizację inspirowaną postacią jednego z ojców polskiej spółdzielczości. Fundacja ta, od lat związana z Kasą Stefczyka, stała się znaczącym mecenasem inicjatyw edukacyjnych i kulturalnych. Wspierała m.in. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej w Pelplinie, Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów czy liczne projekty wydawnicze, które dokumentują pamięć o ważnych postaciach i wydarzeniach z historii lokalnych społeczności.

Dzięki jej działaniom możliwe było także zrealizowanie warsztatów dla dzieci i młodzieży, promowanie sztuki ludowej, rękodzieła, a także inicjatyw mających na celu przekazywanie tradycji kolejnym pokoleniom. Bo dziedzictwo kulturowe – tak jak wartości spółdzielcze – żyje tak długo, jak długo jest świadomie pielęgnowane i przekazywane.

FUNDACJA STEFCZYKA

Artykuł sponsorowany | 04/0325/F/ZAL

eprasa.pl 09487c1694

Wiwisekcja porażki

Opowiadanie o sobie samym było błędem. Brak męskiego wizerunku także. Przyznaje to sam Rafał Trzaskowski, który zaczyna rozumieć, że przegrał, bo ludzie nie akceptują jego narcyzmu. Choć wciąż oczekuje, że będzie podziwiany

MACIEJ WALASZCZYK

Już po przegranych wyborach w 2020 r. było jasne, że kierownictwo Platformy Obywatelskiej, czy szerzej – Koalicji Obywatelskiej, nie potrafiło zrozumieć, jak powinien wyglądać profil zwycięskiego kandydata. Ani tego, w jaki sposób ma on mówić do ludzi o sprawach dla nich trudnych lub kontrowersyjnych. A więc bez szyderstw, wzbudzania kompleksów, wywyższania się i kiepskiego elitaryzmu, dalekiego od etosu polskiego inteligenta. Pamiętajmy, że chwilę wcześniej kandydatem tej formacji była Małgorzata Kidawa-Błońska, która z tych samych powodów (wnuczka prezydenta II RP z wysokich sfer) wręcz przebojem podążała ku politycznej katastrofie.

Jednak po tamtej porażce – choć oficjalnie forsowano narrację o „ukradzionych wyborach", która podobnie jak dziś była jedynie pożywką dla najbardziej agresywnych zwolenników – tylko część polityków PO uświadomiła sobie jej powody. Teraz nawet z kart książki pt. „Rafał", której wydanie i treść znakomicie tłumaczą tę klęskę, wynika, że jego otoczenie podpowiadało mu, by na czas kampanii schował opowieści o sobie samym, a zamiast przechwałek o znajomości kilku języków obcych po prostu znalazł właściwy sposób komunikacji z większością Polaków. Tak się jednak nie stało.

Dodatkowo jako patron parad równości i hosteli dla tzw. społeczności LGTB+ w stolicy rozpaczliwie próbował się przedstawiać jako ktoś zupełnie inny niż w rzeczywistości, a więc konserwatysta, zwolennik narodowych tradycji, patriota i przeciwnik imigracji. W skali „taktycznej", by posłużyć się żargonem wojskowym, to Donald Tusk, kiepska polityka jego rządu oraz brutalna próba uczynienia Karola Nawrockiego człowiekiem ze świata przestępczego stały się gwoździmi do trumny kampanii Trzaskowskiego.

Jednak „strategiczną" przyczyną tej porażki był sam kandydat wraz z jego nieznośnym narcyzmem. Jeszcze teraz na pytanie, czy spotka się z prezydentem Karolem Nawrockim, odpowiada: „Nie wiem właściwie, o czym mielibyśmy rozmawiać".

KSIĄŻKA TO BŁĄD

Choć Trzaskowskiemu trudno zapanować nad własnym temperamentem, świadomość przyczyn klęski chyba do niego dotarła. W ostatnich dniach w jednej z warszawskich księgarni odbyło się spotkanie zorganizowane przy okazji promocji książki „Rafał", która ukazała się przecież jeszcze w czasie kampanii wyborczej. Choć przypominało ono raczej spotkanie zawiedzionych fanek z ulubioną gwiazdą, jego przebieg świadczy o tym, że środowisko polityczne Trzaskowskiego wciąż zastanawia się nad przyczynami bolesnej porażki.

Otwarcie postawione pytanie brzmi, czy ta książka pomogła, czy zaszkodziła. „Z pewnością – jak mówi sam Trza-

04/0425/FZAL

eprasa.pl 09487c1694

skowski – dała politycznym rywalom bardzo dużo amunicji do ręki". Chodziło oczywiście o ton, w jakim opisywał on w niej np. spotkanie oko w oko z rekinem podczas nurkowania i inne podobne historie, wyliczając liczbę przeczytanych książek, ulubionych autorów, miejsca, które odwiedził, i ludzi, których znał on i jego rodzina. Prowadząca spotkanie Agata Passent zapytała więc wprost, czy jej wydanie było błędem. Okazuje się, że jak najbardziej i dziś przyznaje to także Trzaskowski.

DRAPIEŻNOŚĆ ZWYCIĘŻYŁA CHŁOPIĘCĄ NIEDOJRZAŁOŚĆ

Problemem okazuje się też model męskości, który tak w przypadku Donalda Trumpa, a także wiceprezydenta J.D. Vance'a, zatriumfował w wyborach amerykańskich oraz w Polsce w osobie Karola Nawrockiego. Charakterystyczne, że indagująca Trzaskowskiego dziennikarka opowiada o tym w sposób pretensjonalny, wybrzydzając na facetów „z bicepsami" i kowbojów. Jednak widać, że ludzie otaczający prezydenta Warszawy mają problem z jego chłopięcą niedojrzałością i syndromem Piotrusia Pana.

Ten wizerunek okazał się słabością mającą konsekwencje polityczne. Mówiąc wprost: przegrał rywalizację o głosy z facetem, który uprawia sport i zdobył doktorat, potrafi się bić i ma za sobą epizod bycia kibicem piłkarskim biorącym udział w ustawkach z ekipami wrogich klubów. „Mój ojciec był typowym samcem alfa i ja przez całe życie też w związku z tym chciałem temperować w sobie ten pierwiastek, który odziedziczyłem w genach" – odparował Trzaskowski.

Przyznał jednak, że jednym z powodów jego porażki był brak budowy męskiego wizerunku polegającego na pokazaniu – jak robił to Karol Nawrocki – aktywności sportowej i pewnej drapieżności. Kandydat prawicy relacjonował swoje wizyty w sali treningowej, siłowni, informował o porannych przebieżkach, pokazując wyborcom oblicze sprawnego i wysportowanego mężczyzny, głowy rodziny i polityka kontrastującego z obrazem pretensjonalnego męskiego aktywisty walczącego o prawa kobiet. „Przyznaję, trzeba było robić te pompki" – oświadczył Trzaskowski, a teraz żałuje, że w czasie kampanii nie pokazał ludziom swoich fascynacji jazdą na rowerze, nurkowaniem i narciarstwem.

Co więcej – przyznał, że w dzisiejszych czasach młodzi mężczyźni w wieku 20–30 lat głosują na ugrupowania prawicy dlatego, że czują się coraz bardziej dyskryminowani. Wini za to m.in. media i sfeminizowaną szkołę, która nie bierze pod uwagę tego, w jaki sposób chłopcy się rozwijają i wchodzą w dorosłość. Mówi o braku męskich autorytetów, którymi niegdyś byli trenerzy, instruktorzy harcerscy czy mądrzy księża albo po prostu ojcowie. „To lekcja, do której zacząłem dojrzewać nie tyle w ostatnich latach, ile ostatnich

REKLAMA

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

miesiącach" – wyznał Trzaskowski ku zdziwieniu prowadzącej spotkanie. Co więcej, prezydent Warszawy przyznał, że głos młodych, którzy poparli Mentzena i Brauna, to nie tyle opowiedzenie się za twardymi regułami wolnego rynku i prawem silniejszego, ile raczej bunt przeciw politycznej poprawności, forsowaniu inkluzywności jako dominującej narracji elit, która stała się normą.

UTRATA KONTAKTU Z RZECZYWISTOŚCIĄ

To wszystko dowodzi utraty przez jego sztabowców kontaktu z rzeczywistością, pragnienia imitowania obcych wzorców, braku orientacji w tym, co naprawdę myślą ludzie. A w efekcie błędnym założeniem prowokowania wyłącznie polaryzacji, przyjęcia postawy „anty-PiS", wygrażania rozliczeniami, gdy po 2,5 roku rządów Donalda Tuska uwaga Polaków przesunęła się na zupełnie inne problemy. Choć co charakterystyczne, ze strony prowadzącej nie padło ani jedno pytanie o ocenę rządów koalicji i współodpowiedzialność Tuska za porażkę. Passent zaskoczyła jednak, gdy szczerze przyznała, że o ile telewizja publiczna za czasów Jacka Kurskiego była stronnicza (w rozumieniu ówczesnego prezesa równoważyła siłę mediów wspierających opozycję), o tyle obecnie jest tym samym, tzn. nie jest obiektywna ani uczciwa.

Co jednak najbardziej zaskakujące, mimo klęski Rafał Trzaskowski wygląda dziś lepiej niż podczas kampanii. Jest, co sam przyznaje, zrelaksowany, wypoczęty i – powiedzmy wprost – uwolniony od ciężaru politycznej rywalizacji. Zdaje się, że on po prostu nie chciał tej prezydentury i wszystkiego, co się z nią wiąże. „Mam poczucie, jakbym uwolnił się od tej wielkiej kuli u nogi" – wyznaje. Rzeczywiście, nie znosi presji, odpowiadania na trudne pytania, odpierania ataków, medialnych zaczepek, łapania za słowa, prześmiewczych narracji czy konfrontacji z tłumem i problemami. Dobrze się czuje wśród swoich, za kulisami, ale niekoniecznie podczas kampanii i demokratycznej walki o władzę, która niesie masę komplikacji.

NIE ZASŁUŻYLIŚMY NA RAFAŁA?

Jest też niekonsekwentny, bo zapewnia, że analizę błędów zaczyna od siebie, ale co rusz szuka ich u innych. Zwala winę na okoliczności lub „polskie podejście do sprawy", np. wrzucając sugestię, że kampania została położona przez sztabowców, podczas gdy on jest świetny i nic na to nie poradzi. Podobno w czasie pandemii mówili mu, że „za dobrze wygląda", a on po prostu w terenie szybko się opala. Że za dużo się uśmiecha, ale ma takie usposobienie, zbyt często opowiada o tym, że czyta „15 książek naraz" oraz licznych hobby. Jest fajnym facetem, którego nie wszyscy chcą zaakceptować.

> „Przyznaję, trzeba było robić te pompki" – oświadczył Trzaskowski, który uznał, że jednym z powodów jego porażki był brak budowy męskiego wizerunku polegającego na pokazaniu – jak robił to Karol Nawrocki – aktywności sportowej i pewnej drapieżności

Przypomina to trwające od 35 lat narzekania środowiska „Gazety Wyborczej" na niedojrzałość Polaków do demokracji, która oznacza po prostu wybieranie kandydatów wskazanych przez dziennik z Czerskiej. Winna jest też ich rzekoma zazdrość, zawiść i kult skromności. Zdaniem Passent problemem jest to, że jesteśmy przyzwyczajeni do tego, iż ludzie – w tym politycy – powinni być raczej powściągliwi, skromni, milczący i niechwalący się swoimi sukcesami. Trafiła w czuły punkt.

W rozmowie z Donatą Subbotko w książce „Rafał" Trzaskowski nie odpowiada na żadne trudne pytania, mówi niemal wyłącznie o sobie, swojej rodzinie, swoich upodobaniach, namiętnościach, sukcesach i przewagach. Mówi dużo, chętnie, a podobno – jak teraz tłumaczy – i tak starał się być powściągliwy. Tak postawioną sprawę podchwytuje Trzaskowski: „Rzeczywiście, nie mamy takiej tradycji, żeby szczerze o sobie opowiadać. Nie jest specjalnie dobrze odbierane, gdy ktoś mówi o sobie, a jeśli mówi o sobie dobrze, to już w ogóle". „Czy było warto?" – pyta Passent. Okazuje się, że poważnie zastanawiano się nad sensem wydania książki i takie wątpliwości miał on sam. Jednak nad politycznym instynktem zwyciężył Rafał, a pokusa chętnej i szczerej gawędy o sobie samym zatriumfowała nad polityczną kalkulacją, a więc publikacją kampanijnego, choć „nudnego manifestu politycznego".

Dziś wiceszef Platformy tłumaczy, że chciał osobiście „podjąć ryzyko opowieści o sobie", pragnął się przedstawić, gdyż polityczni przeciwnicy próbowaliby to zrobić za niego. I podczas spotkania ze swoimi zwolenniczkami właśnie to interesowało go najbardziej. Wyznał m.in., że wchodził do polityki po to, by zawsze stać po stronie słabszych i dyskryminowanych. Nigdy jednak nie stanął po stronie lokatorów wywłaszczonych w ramach reprywatyzacji. W końcu zawdzięcza polityczną karierę silnym i wpływowym, a do tego pogardzającym ofiarami transformacji gospodarczej. Zarówno jego narcystyczna książka, jak i kolejna opowieść „o sobie samym" jest na to kolejnym dowodem.

„Nic na to nie poradzę, że potrafię patrzeć na rzeczywistość z pozytywnej strony" – mówi i do tego odgraża się, że przyjdzie czas, gdy stanie się lepszą wersją Krzysztofa Stanowskiego i sam zacznie „kręcić bekę" z polityków, bo jego prześmiewcy byli bez polotu i finezji. „Można to robić 17 razy lepiej. Czekam na moment, kiedy będę mógł zrobić to naprawdę profesjonalnie" – zapowiada. Został wyśmiany nie za to, że lubi czytać i nurkować, ale za to, że oczekuje za to podziwu. Ale tego już nie zrozumiał.

eprasa.pl 09487c1694

Lunaparki, landy i worldy, czyli subiektywny przegląd rodzinnych parków rozrywki w Polsce

Kiedy mainstreamowe media przekonują, że wakacje z dziećmi to koszmar i najlepiej zostawić je w domu, żeby spokojnie odpocząć, my proponujemy miejsca, w których można się bawić z dziećmi. Ba, z całą rodziną! Bez względu na wiek

Parki rozrywki, lunaparki czy zyskujące na popularności wszelkiego rodzaju „landy" wyrastają jak grzyby po deszczu. I zapraszają na kapitalną zabawę, w której obecność dzieci pozwala dorosłym skorzystać z wyjątkowych atrakcji, o których zawsze marzyli, ale głupio się było przyznać. Zapraszamy na subiektywny przegląd parków rozrywki w Polsce.

MACIEJ WOŚKO

NAJNOWSZY HOSSOLAND

Długo wyczekiwane otwarcie najnowszego w Polsce parku rozrywki nastąpiło w czerwcu br. Hossoland w miejscowości Brojce w powiecie gryfickim (woj. zachodniopomorskie) z pewnością jest atrakcyjną alternatywą dla nudnego plażowania nad Bałtykiem. Strefy tematyczne parku nawiązują do mitologii nordyckiej i postaci z legend wikingów. Jest zatem i Thor, i Loki, są też bałtyckie syreny, Poseidon, rybackie łodzie i Galleon. To wszystko nazwy parkowych atrakcji – rollercoasterów, zjeżdżalni, karuzel, huśtawek, diabelskich młynów. Na terenie parku można też zobaczyć spektakle o historii wikingów i smokach, a nad wszystkim góruje wielka latarnia morska.

Jak zapewniają pracownicy Hossolandu, na terenie parku turyści znajdą 50 atrakcji w czterech krainach tematycznych: Mieście Syrenki, Królestwie Baltambrya, Krainie Wikingów oraz Smoczej Dolinie Kopalni. Największe zainteresowanie budzą oczywiście rollercoastery Thor i Aurora. To miejsce z pewnością będzie nabierało mocy, choć od początku cieszy się ogromnym zainteresowaniem turystów wypoczywających nad polskim morzem.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 09487c1694

STORYTELLING

To oczywiście banał, ale przy okazji wycieczek do parków rozrywki poznajemy historię i zdobywamy wiedzę w różnych dziedzinach – od paleontologii i archeologii przez geografię po oceanografię, a dzieciaki mają szansę dowiedzieć się czegoś naprawdę nowego. Storytelling w parkach rozrywki stał się już nową branżą w projektowaniu takich atrakcji. Doskonale wiedzą to ci, którzy choć raz odwiedzili jakiś park dinozaurów. Powstawały one już wiele lat temu na fali popularności pierwszego filmu „Jurassic Park" z 1993 r., a potem całej serii produkcji o odrodzeniu świata ziemskich olbrzymów pod marką Jurrasic World. Ponieważ do kin trafiła właśnie kolejna część opowieści, może warto odwiedzić któryś z najpopularniejszych w Polsce juraparków i wybrać się do Bałtowa, Solca Kujawskiego lub Krasiejowa?

Jurapark w Bałtowie, a właściwie Bałtowski Kompleks Turystyczny w powiecie ostrowieckim (woj. świętokrzyskie), nie jest zwykłym parkiem rozrywki. Tradycyjne atrakcje w stylu megahuśtwki czy górskiej kolejki są tylko dodatkiem do kilku ciekawych tras spacerowych i wycieczek. Potężny jak na polskie warunki Safari Park (Zwierzyniec Bałtowski) czy park miniatur, a także robiące spore wrażenie muzeum jurajskie z kinem 5D i zabawą z wykorzystaniem gogli VR pozwalają spędzić w Bałtowie niezwykle aktywny dzień. Wszystkiego dopełniają opowieści o czarownicach w Sabatówce, Prasłowianach i zielarkach z Łysej Góry. Warto.

OLBRZYMY I MINIATURY

Jeśli Świętokrzyskie nie znajduje się na trasie naszych wakacyjnych wojaży, drugi jurapark jest ulokowany w połowie drogi między Bydgoszczą a Toruniem, dokładnie w Solcu Ku-

eprasa.pl 09487c1694

jawskim w powiecie bydgoskim (woj. kujawsko-pomorskie). To przede wszystkim doskonałe miejsce na spacer okazałą ścieżką dydaktyczną w lesie, ciekawe odkrycia archeologiczne i paleontologiczne w Muzeum Ziemi oraz dobrą imprezę na placu zabaw. Komu nie znudzi się w kinie – choć seanse są kilkuminutowe – może ruszyć w stronę kolejnej atrakcji wakacyjnej Polski – parku miniatur.

Parki miniatur, a więc ścieżki przy których umieszczono niewielkie repliki znanych, ważnych i ciekawych budowli z Polski lub całego świata, stały się już niemal obowiązkową atrakcją wakacyjnych wyjazdów rodzinnych. Rzecz jasna parki i miniatury są różne – czasem zawodzą jakością, innym razem sposobem prezentacji architektonicznych cudów świata. Ten w Solcu Kujawskim (w ramach juraparku) polecamy fanom twierdz i warowni, bo „Polska w miniaturze" koncentruje się na prezentacji najbardziej okazałych zamków w naszym kraju. Jest więc krzyżacki Malbork, zamek w Grudziądzu, w Gniewie, w Toruniu i oczywiście Zamek Królewski w Warszawie – łącznie 23 budowle.

Jeśli jednak mowa o miniaturach, nie sposób nie wymienić Kaszubskiego Parku Miniatur w Stryszej Budzie koło Mirachowa (woj. pomorskie), w którym można zrobić wakacyjną fotkę przy paryskim Łuku Triumfalnym, krzywej wieży w Pizie czy berlińskiej Bramie Brandenburskiej, a także poznać najciekawsze zabytki Kaszub i wszystkie latarnie polskiego wybrzeża – od Krynicy Morskiej po Świnoujście. Park od lat rozbudowuje się o kolejne atrakcje, jak choćby Park Gigantów czy skansen starych pojazdów – Kaszubski Gracik. Zabawa na cały dzień dla całej rodziny.

JAZDA NA CAŁEGO

Gdy pada pytanie o największe, najbardziej znane i pożądane parki rozrywki – zarówno dla najmłodszych, jak i nieco starszych nastolatków oraz najstarszych „dzieci" – dwa miejsca w Polsce są wymieniane jednym tchem. Oba to prawdziwy przemysł rozrywki, który Amerykanie określają mianem entertainment industry. Tu klient nie chodzi bez celu, nie spaceruje, nie ma prawa nudzić się ani minuty. Oba parki dzieli jednak pomysł na zapewnienie rozrywki – Energylandia dostarczać ma adrenalinę, a Suntago endorfiny. Prosto z powietrza lub z wody.

Małopolski Zator to niewielkie miasteczko (ok. 3,5 tys. mieszkańców) w powiecie oświęcimskim, ale rocznie odwiedza go 2 mln gości. Dlaczego? Bo działająca tam Energylandia to polski Disneyland i Legoland w jednym. Wymienianie atrakcji, jakie przygotowano dla wielbicieli rollercoasterów, huśtawek, zjeżdżalni, podnośników, byłoby jak przypominanie tytułów największych przebojów ABBY. Hyperion, Zadra, Frida, Tidal Wave Twister, Abyssus, Boomerang, Mayan, Viking – to tylko część z kolejek, które dostarczą każdemu wielbicielowi prędkości, wysokości, skrętów i wykrętów sporej radości. Wśród fanów rollercoasterów przejażdżka najszybszym w Polsce, bo osiągającym prędkość 142 km/h, a jednocześnie najwyższym megacoasterem w Europie, jakim jest Hyperion, to jazda obowiązkowa. W Energylandii znajdziemy łącznie 133 atrakcje w siedmiu strefach tematycznych (w tym 20 rollercoasterów) przeznaczonych dla wszystkich grup wiekowych.

Sprawa wygląda poważnie, gdy zajrzymy na stronę z ofertą – pobyty dwu-, a nawet trzydniowe cieszą się sporym zainteresowaniem, choć trzeba przyznać, że zabawa w Zatorze nie należy do tanich. Plus jest taki, że w cenie biletu są wszystkie atrakcje bez limitów: rollercoastery, karuzele, kina, widowiska, pokazy, Strefa Sweet Valley, Smoczy Gród, Strefa Bajkolandii, Strefa Familijna, Strefa Ekstremalna, Aqualantis oraz Water Park.

DO WODY NA MAZOWSZU?

Dla ochłody można wybrać atrakcje innego rodzaju – tu zastrzeżenie, że nie ulży to portfelom rodziców pragnących zapewnić pociechom radosne wakacje. Bo choć boom na aquaparki mamy już za sobą, a ich liczba w Polsce jest szacowana na ok. 150, to znajdujące się w miejscowości Wręcza pod Mszczonowem (woj. mazowieckie) w odległości ok. 60 km od Warszawy Park of Poland

PARKI ROZRYWKI
Ceny biletów jednodniowych

Bilety warto kupić wcześniej poprzez stronę internetową, pamiętając o rezerwacji miejsca parkingowego. Większość parków oferuje zniżki na zakup biletów online, rabaty z Kartą Dużej Rodziny, a także bilety dwudniowe i opcje na poszczególne atrakcje, tzw. fastpass, czyli wejście poza główną kolejką. Ceny biletów pochodzą ze stron internetowych parków.

HOSSOLAND
www.hossoland.pl
- bilet normalny – 169 zł,
- bilet ulgowy (do 120 cm) – 149 zł,
- bilet dla dziecka (do 85 cm) – 1 zł.

JURAPRAK BAŁTÓW
www.juraparkbaltow.pl
Kompleksowy normalny:
- w kasie – 155 zł, • online – od 109 zł.

Kompleksowy ulgowy:
- w kasie – 143 zł, • online – od 99 zł.

Kompleksowy dla malucha (poniżej 3. roku życia) – 5 zł.

JURAPARK SOLEC KUJAWSKI
www.juraparksolec.pl
Kompleksowy normalny:
- w kasie – 119 zł, • online – od 89 zł.

Kompleksowy ulgowy:
- w kasie – 109 zł, • online – od 79 zł.

Kompleksowy dla maluszka (poniżej 3. roku życia): • 5 zł.

KASZUBSKI PARK MINIATUR PLUS
www.kaszubskiparkminiatur.pl
- normalny – 59 zł,
- ulgowy – 49 zł,
- dzieci do 3. roku życia – za darmo.

ENERGYLANDIA
www.energylandia.pl
- normalny – 219 zł,
- ulgowy (dzieci do 140 cm/senior 65+) – 179 zł.

Park of Poland SUNTAGO
www. parkofpoland.com/pl
Strefa Jamango dla wszystkich grup wiekowych.
- normalny – 150 zł,
- ulgowy – 120 zł,
- dzieci do 90 cm – 1 zł.

MAGICZNE OGRODY JANOWIEC
www.magiczneogrody.com
- rodzinny (3 osoby) – 329 zł,
- normalny (15–60 lat) – 119 zł,
- ulgowy (do 14 lat i pow. 60 lat) – 109 zł,
- dla maluszka (do 100 cm) – 15 zł.

MAJALAND WARSZAWA, GDAŃSK
www.majaland.pl
- osoby o wzroście powyżej 85 cm (mierzone w butach) – 104,90 zł,
- osoby o wzroście poniżej 85 cm (mierzone w butach) – 1,00 zł,
- bilet dla seniora 65+ – 80,40 zł.

Fot. Materiały prasowe Energylandia

eprasa.pl 09487c1694

i tropikalny park wodny Suntago są miejscami, w którym sformułowanie *sanus per aquam*, czyli popularne SPA, nabiera zupełnie nowego znaczenia.

Zjeżdżalnie wodne, których nazwy budzą nadzieje na totalną przejażdżkę – Zig Zag i Anaconda – to dopiero początek, bo Viper, Kraken i Drop55 są oznaczone dopiskiem extreme. Baseny, sauny, strefa relaksu wellness i spa oraz symulator sztucznej fali Surf Air – zapewniają wodną rozrywkę na cały dzień. Warto dodać, że z Warszawy i Łodzi w wakacje kursują specjalne autobusy dowożące do Suntago spragnionych wodnych atrakcji klientów. Bilety warto skonfigurować na stronie internetowej, bo ich cena ostatecznie zleży od wielu elementów (strefa, termin rezerwacji, wzrost i wiek), a część stref rezerwowana jest dla osób 16+.

SWOJSKO

Skoro już jesteśmy w centralnej Polsce, warto zajrzeć w okolice Janowca nad Wisłą. Tu w niewielkich Trzciankach w 2014 r. powstał pierwszy polski rodzinny park tematyczny – Magiczne Ogrody. Trzeba przyznać, że wrażenie robi już sam dojazd, bo oto w szczerym polu ponad 10 lat temu udało się zorganizować park, w którym postawiono na wspólną rodzinną zabawę. Są zatem drewniane karuzele napędzane siłą ojcowskich mięśni, wózeczki pchane radośnie przez mamy. Uciecha najmłodszych jest bezcenna i organizatorzy atrakcji w Rodzinnym Parku Tematycznym Magiczne Ogrody Janowiec (woj. lubelskie) doskonale to zrozumieli.

MAJĘ ZNACIE I KOCHACIE

Z myślą o najmłodszych projektowano też majalandy – mamy ich w Polsce już trzy, a w planach jest otwarcie czwartego obiektu, który najwyraźniej gra na emocjach dzisiejszych 50-latków, którzy Maję znają i kochają od najmłodszych lat. Najnowszy majaland otwarto rok temu w Gdańsku-Osowej. Parki z uśmiechniętą pszczółką i smerfami znajdziemy też pod Warszawą (Góraszka, tuż przy trasie S17, woj. mazowieckie) oraz w Kownatach (przy autostradzie A2, na wysokości Sulęcina, woj. lubuskie). Majalandy do perfekcji opanowały pomysł na całodniową, atrakcyjną wycieczkę na dobrze wyposażone place zabaw. Choć to raczej zabawa dla najmłodszych pociech, którym rodzice chcą zapewnić ciekawy i radosny sposób spędzenia czasu w trakcie urlopu.

LICZY SIĘ POMYSŁ I… PORTFEL

Sposobów na spędzenie wakacji z dziećmi jest tyle, ilu rodziców i maluchów. Każdy jest dobry. Czy będzie to park dinozaurów, lunapark, aquapark, czy ciekawe muzeum lub park miniatur, przejażdżka po parku safari albo szaleństwa na rollercoasterach – zależy od woli i… oczywiście zasobności portfeli rodziców.

Jak wynika z badań przeprowadzonych dla serwisu Parkmag.pl, skupiającego ekspertów i pasjonatów związanych z branżą, w tym roku do parku rozrywki planuje wybrać się 16 proc. Polaków, a 21 proc. rozważa taką możliwość. Niestety dla 25 proc. respondentów bilety do parków rozrywki są zbyt drogie. Jednocześnie z badania wynika, że dla 28 proc. wyprawa do lunaparku to tradycja, którą praktykują raz w roku. 23 proc. trzydziesto- i czterdziestolatków deklaruje, że na pewno wybierze się do parku rozrywki. Najczęściej są to osoby, które wybierają się do parku z myślą o zapewnieniu atrakcji swoim dzieciom. I właśnie dla nich cena staje się dość kluczowym zagadnieniem. 21 proc. badanych przez agencję ARC Rynek i Opinia wskazało, że są gotowi zapłacić za bilet do parku rozrywki 100–149 zł. Kolejne 20 proc. osób wskazało, że kwotę 50–99 zł, 13 proc. – 150–199 zł, a 9 proc. – 200–249 zł.

Jednak najważniejsze to spędzać wakacje razem mimo wszechobecnej promocji „odpoczynku bez dzieci i od dzieci". Polecamy. Gdziekolwiek, jakkolwiek…

Fot. Soft Light/Shutterstock.com

Reklama | 05/0725/F

eprasa.pl 09487c1694

VacationClub.pl

Lato 2025

Last Minute

Turcja
7 NOCY
od 1899 PLN os.

Grecja
7 NOCY
od 1899 PLN os.

Egipt
Hurghada
7 NOCY
od 1899 PLN os.
★★★★★

Polska
Kołobrzeg
7 NOCY
od 499 PLN os.
★★★★★

Bułgaria
Złote Piaski
7 NOCY
od 1999 PLN os.
★★★★★

Rejsy statkiem
7 NOCY
od 1699 PLN os.
Morze Śródziemne

Wycieczki objazdowe
7 NOCY
od 1999 PLN os.
Europa & Azja

Ponad **100 000** + ofert na wakacje marzeń

TOP DESTYNACJE

Hiszpania • Portugalia • Madera • Albania • Chorwacja • Cypr • Malta • Tunezja • Maroko • Polska
Zanzibar • Seszele • Malediwy • Sri Lanka • Tajlandia • Wietnam • Meksyk • Dominikana

+48 **58 58 58 058** VacationClub.pl **rezerwacja**@vacationclub.pl

eprasa.pl 09487c1694

Polska wzięta „w trzy ognie”

MAREK BUDZISZ

Może się okazać, że po zakończeniu wojny na Ukrainie Polska będzie sąsiadować z państwami o największych zdolnościach wojskowych – w Unii Europejskiej (Niemcy), w systemie sojuszniczym Zachodu (Ukraina) i w Eurazji (Rosja)

Dziennik „Die Welt” informuje o nowych planach niemieckiego resortu obrony. Do końca tego roku Bundestagowi ma zostać przedstawiony do zatwierdzenia gigantyczny program zakupu sprzętu wojskowego. Berlin chciałby kupić 1 tys. nowych czołgów i 2,5 tys. transporterów opancerzonych. Jak informują dziennikarze, ma to kosztować niemieckiego podatnika nawet 25 mld euro, ale tak gigantyczne zamówienia będą ożywiać tamtejszą gospodarkę, bo mają one być plasowane w Rheinmetall i KDNS, czyli wyłącznie w niemieckich firmach. Przy okazji ten pierwszy koncern ma się stać największym podmiotem produkującym różnego rodzaju platformy bojowe w Europie. Armin Papperger, prezes Rheinmetallu, powiedział w jednym z wywiadów, że jego firma już buduje 10 nowych fabryk, ale on nie widzi przeszkód – może poza brakiem zamówień o odpowiedniej skali – aby zbudować 15 nowych zakładów produkcyjnych.

„GERMANY FIRST”

Kwestie zamówień ma „załatwić” nowy program rządu Friedricha Merza, który przewiduje sformowanie siedmiu nowych brygad sił lądowych i wydanie na broń w ciągu najbliższych lat ponad 500 mld euro. Jak oświadczył niemiecki kanclerz, chce on, aby „Niemcy miały największą armię w Europie” i nie poskąpią na to środków.

W tym kontekście warto pamiętać, że Berlin jest przeciwny „europejskiemu zadłużeniu”, pieniądze z którego miałyby zostać przeznaczone na bezpieczeństwo państw członkowskich. Merz chce wydawać więcej na bezpieczeństwo, ale wyłącznie własne. Europejski dług, finansowany w niemałej części przez Berlin – bo Niemcy są największym płatnikiem netto w Unii – który miałby pomóc sfinansowaniu nakładów na wschodniej flance, nie mieści się w tym modelu, który można roboczo określić mianem „Germany First”.

Pewien polski polityk, bardziej znany z medialnych bon motów niż pozytywnych efektów długoletniej pracy na stanowiskach ministerialnych, powiedział przed laty, że „bardziej boi się bezczynności Niemiec, niż ich zaangażowania”. W modelu lansowanym, ale również realizowanym przez rząd Merza – co wyraźnie widać na przykładzie tego, jak Berlin rozwiązuje swój kryzys migracyjny, wypychając niechcianych przybyszów do Polski – niemiecki kanclerz i cała klasa polityczna mają w pierwszym rzędzie dbać o niemieckie interesy, a dopiero później, o ile to będzie dla nich korzystne, przyjąć „perspektywę europejską”.

To ważna zmiana, bo może się okazać, iż w sytuacji konfliktu interesów, kiedy będziemy mieć inne zdanie niż nasz sąsiad, Berlin zacznie zwiększać presję wobec Warszawy, a nie wsłuchiwać się w nasze argumenty. Nie ma lepszego narzędzia nacisku jak silna i znacząca w systemie obrony wschodniej flanki armia.

Niemcy chcą też przekonać Waszyngton, iż to oni są ich najlepszym w Europie sojusznikiem i w ramach „podziału obowiązków”, także w związku z perspektywą wycofania części sił amerykańskich z naszego kontynentu, to oni powinni przejąć większość zadań. W ubiegłym tygodniu rozmawiał o tym w Waszyngtonie Boris Pistorius, niemiecki minister obrony, i z tym podejściem jest związana jego deklaracja o gotowości zakupienia przez Berlin amerykańskich wyrzutni pocisków rakietowych Typhoon, które są zdolne do rażenia celów na dystansie 2 tys. km. Bo to Niemcy, a nie Polska miałyby dysponować głównymi narzędziami konwencjonalnego odstraszania Rosji. Nie mniej ważne jest to, że Pistorius pojechał do Stanów Zjednoczonych jako lider „koalicji chętnych” – grupy państw złożonej z Wielkiej Brytanii, Szwecji, Finlandii, Dani i Kanady, które chcą pomagać Ukrainie, finansując zakupy sprzętu obrony przestrzeni powietrznej, w tym systemów Patriot. Nietrudno dostrzec, że nie ma w tym gronie Polski – może dlatego, że nasz rząd jest zajęty wewnętrznymi sporami i walką z opozycją. Pistorius, występując w Waszyngtonie w roli lidera grupy państw europejskich, pokazał też Amerykanom, że ewentualne szukanie przez nich strategicznej alternatywy w postaci inwestowania w relacje z państwami Morza Bałtyckiego kosztem pozycji Berlina jest niemożliwe, bo to oni uczestniczą i liderują w tym formacie, a Polski – państwa, bez zaangażowania którego niczego się nie zbuduje – w nim nie ma.

„DOBROCZYŃCA” UKRAINY

Niemcy metodycznie, kosztem naszej pozycji inwestują też w relacje z Ukrainą, chcąc się stać głównym „dobro-

eprasa.pl 09487c1694

czyńcą" Kijowa, a także partnerem dla tamtejszego szybko rozwijającego się przemysłu obronnego. Wróciłem właśnie z Ukrainy i tam jeden z przedsiębiorców z sektora zbrojeniowego, z którym miałem sposobność rozmawiać – a nie jest to „garażowy" biznesmen, tylko właściciel trzech fabryk na Ukrainie, jednej w Polsce, budujący nowe zakłady w Czechach, Danii i Niemczech, a nawet w Indiach – zadał mi retoryczne pytanie: „Dlaczego mam inwestować w Polsce?". Jego doświadczenia są nie tyle złe, ile wręcz fatalne. Nadmierna regulacja, wtrącanie się polskich służb specjalnych do wszystkiego, co jego zdaniem – a jest to biznesmen mający przecież doświadczenie działania na Ukrainie – przypomina praktyki związane z wymuszeniami albo blokowaniem biznesu, oraz brak elementarnej infrastruktury niezbędnej, aby „pracować" z materiałami wybuchowymi – bo nikt w państwie polskim, mimo ponad trzech lat wojny, nie podjął decyzji o podstawowych inwestycjach – wręcz odstręczają go od myślenia o budowie kolejnych fabryk w Polsce.

Dodatkowo wielu moich rozmówców mówiło o pogarszającej się atmosferze społecznej w naszym kraju, narastającym negatywnym nastawieniu do Ukraińców, co przejawia się choćby w tym, że byle żul pod Żabką obrzuca obelgami kierowcę samochodu na ukraińskich numerach, bo nie podoba mu się, że to przybysz z Kijowa jeździ audi, a nie on.

Dlaczego to jest istotne? Z kilku powodów. Ale najważniejszym jest ten, że firmy zbrojeniowe tworzą ludzie, wysokiej klasy inżynierowie, którzy opracowują nowe konstrukcje. Ukraina – wymusiła to wojna – zbudowała taki przemysł, a pracujący w nich konstruktorzy zarabiają po kilkanaście tysięcy dolarów miesięcznie i to o ich sprowadzenie do siebie zabiegają Amerykanie, Niemcy, Czesi i Duńczycy. Konkurencja w przemyśle obronnym nie odbywa się dziś na polu kapitałów czy infrastruktury, choć oczywiście są one ważne. Rywalizuje się o umysły, naukowców, inżynierów, doświadczonych specjalistów. Oni, jak powiedział mi jeden z rozmówców, muszą chcieć mieszkać w Polsce wraz z rodzinami, dobrze się tu czuć, a nie na każdym kroku liczyć się z werbalną, medialną i być może fizyczną agresją.

Różnice? Bardzo proszę. W Polsce, jak słyszałem z wielu ust na Ukrainie, trudno się dogadać z władzą w jakiejkolwiek sprawie, a nawet jeśli odbywają spotkania na szczeblu rządowym, to do niczego nie prowadzą, bo nasi ministrowie nie są w stanie przełamać blokad naszego „deep state", czyli w praktyce weta służb specjalnych. W takich realiach trudno o transfer technologii, wiedzy i rozpoczęcie współpracy.

Biznesmen, z którym rozmawiałem, podał mi jako alternatywę przykład Bawarii, najbogatszego niemieckiego landu, którego władze budują klaster wysokich technologii wojskowych. Tam zaproponowano mu „od zaraz" kilka tysięcy metrów kwadratowych przygotowanych za pieniądze Niemców hal produkcyjnych, a kiedy pojawił się problem związany ze zgodami i licencjami, to biznesowy partner ukraińskiej firmy, notabene duży prywatny koncern zbrojeniowy, doprowadził do tego, że w ciągu 30 min do rozmów dołączył premier Bawarii i problemy zniknęły.

Może dlatego w Bawarii ma siedzibę firma Helsing, specjalizująca się w nowoczesnych technologiach wojskowych, która jest dzisiaj jednym z najlepiej wycenianych na giełdzie europejskich przedsiębiorstw zbrojeniowych, mimo że powstała dopiero w 2021 r. Zainwestował w nią m.in. Daniel Ek, założyciel Spotify, a firma rozpoczęła też współpracę ze szwedzkim Gripenem.

Niemcy chcą być nie tylko najsilniejsi wojskowo w Europie, lecz także metodycznie dążą do zajęcia pozycji lidera w nowych technologiach. Dlatego współpracują z Ukrainą – jak ujawnił

Fot. Mo Photography Berlin/Shutterstock.com

eprasa.pl 09487c1694

kilka dni temu dziennik „Die Welt", powołując się na dokumenty, które Kijów przekazał centrali NATO w Brukseli, tamtejszy przemysł nowych technologii wojskowych rośnie jak na drożdżach. Do 2030 r. Ukraina wyda na produkcję dronów 22,5 mld dol., co przełoży się na budowę 18 mln systemów dziś decydujących o tym, kto może uzyskać przewagę na froncie.

Jakow Bengo, generał sił lądowych Izraela, w specjalnym raporcie poświęconym znaczeniu dronów FPV na współczesnym polu walki, napisał ostatnio, że „każdy, kto przystąpi do następnej wojny bez wdrożenia rewolucji FPV [drony First Person View], przegra przez nokaut, a nie na punkty". Tylko do 2026 r. ma zostać zbudowanych na Ukrainie ok. 8 mln dronów służących zarówno do rozpoznania, obserwacji i namierzania celów, jak i do ataku. To stawia ten kraj w światowej czołówce. Już obecnie ukraińskie firmy z tego sektora mogłyby zacząć eksport, bo wykorzystują 30 proc. swoich mocy produkcyjnych, a do ich drzwi codziennie pukają setki zainteresowanych inwestorów i kupców.

Jeśli Ukraina przetrwa i nie upadnie, to wyjdzie z wojny nie tylko z najsilniejszą (nie licząc rosyjskiej), lecz także najbardziej doświadczoną armią. Z siłami zbrojnymi, które potrafią walczyć według nowych zasad, w których mniej liczą się czołgi i transportery opancerzone. W tej sytuacji można zadać pytanie: po co Niemcy chcą inwestować właśnie w te systemy? Odpowiedzi jest kilka. Bo nie są przygotowani do „rewolucji dronowej" u siebie i zamówienie na tradycyjne platformy bojowe to przede wszystkim narzędzie pobudzenia koniunktury. Ale możliwe jest też inne, warte uwagi wyjaśnienie.

Otóż nie jest prawdą, że rewolucja w sztuce wojennej, która właśnie się dokonuje na ukraińskim froncie, spowoduje całkowitą eliminację czołgów i innych platform bojowych. Raczej nastąpi ich integracja z nowymi systemami, będą używane w inny sposób. Upraszczając, oznacza to, że mamy do czynienia z dwoma połówkami jabłka – Niemcy stawiają na tradycyjne platformy, bo dzięki takim inwestycjom też buduje się pozycję w ramach NATO, a Ukraińcy – na nowe rozwiązania. Połączenie tych dwóch zdolności w ramach sojuszu strategicznego łączącego Kijów z Berlinem może dać potęgę, która będzie dominować w Europie i skutecznie odstraszać Rosję. Warto też pamiętać, że przyjęta przez Niemców jeszcze w 2021 r. strategia Eckpunkte für die Bundeswehr der Zukunft rozważa opcję, w świetle której można być żołnierzem niemieckiej armii, mieszkając w Warszawie czy w Paryżu, docelowo być może również zapewne w Kijowie czy Lwowie. Ukraińskie ustawodawstwo jeszcze na to nie pozwala, ale zmiany w tym zakresie, jak mi mówiono w Kijowie, „to tylko kwestia czasu". Już obecnie osoby z migracyjnym bagażem etnicznym (tureckim, polskim, rosyjskim) stanowią 13–26 proc. personelu Bundeswehry, nie ma zatem przeszkód, aby rozbudowa niemieckich sił zbrojnych odbywała się przez rekrutację ochotników z obcymi paszportami. Na marginesie – warto zauważyć, że być może jednym z celów wystawy „Nasi chłopcy" w Gdańsku jest przełamanie psychologicznych barier i przekonanie Polaków, że można być „naszym", nosząc mundur niemieckiej armii.

> Wróciłem właśnie z Ukrainy. Jeden z tamtejszych przedsiębiorców z sektora zbrojeniowego zadał mi retoryczne pytanie: „Dlaczego mam inwestować w Polsce?". Jak mówi, jego doświadczenia w biznesowych relacjach z naszym krajem są wręcz fatalne

ROSJA NAS TESTUJE

Rosjanie też nie rezygnują ze swych planów zbudowania sił zbrojnych liczących 1,5 mln żołnierzy i pozyskania nowych zdolności, także związanych z rozbudową sektora zbrojeniowego. Ostatni atak na polską fabrykę w Winnicy nie jest „wypadkiem przy pracy", ale należy go odczytywać w kategorii zaplanowanego sygnału strategicznego.

Do tej pory Rosjanie nie atakowali firm będących własnością podmiotów z UE. To uderzenie przeprowadzone z kilku kierunków nie było przypadkowe. Inne sygnały są jeszcze bardziej niepokojące. Naukowcy z Politechniki Kijowskiej, z którymi rozmawiałem – a działa tam Instytut Zaawansowanych Technologii Wojskowych – mówili mi, że w szczątkach rosyjskich shahedów ukraińskie służby odkryły karty SIM polskich i litewskich operatorów. Nie ma innego logicznego uzasadnienia tego rodzaju działania, jak to, że testują oni kanały naprowadzania, bo ataki są koordynowane za pośrednictwem sieci telefonii komórkowych. To by oznaczało, że Moskale testują naszą odporność i mogą przejść do bardziej agresywnych działań. W świetle tej interpretacji atak na fabrykę Barlinka miał być ostrzeżeniem.

Może się zatem okazać – proponuję, aby taką ewentualność poddać poważnej analizie – że po zakończeniu wojny na Ukrainie Polska zostanie wzięta „w trzy ognie". Będzie sąsiadować z państwami o największych zdolnościach wojskowych – w Unii Europejskiej (Niemcy), w systemie sojuszniczym Zachodu (Ukraina) i w Eurazji (Rosja). Ta strategiczna pułapka jest nie tylko wynikiem karygodnej bezczynności rządu Tuska, lecz także tego, że w kwestiach polityki wobec Ukrainy polska prawica dała sobie narzucić narrację na poziomie menela spod Żabki i zdaje się nie myśleć o naszych strategicznych interesach, bo jest zajęta wewnętrzną walką polityczną. Można to jeszcze zmienić. I o to apeluję.

eprasa.pl 09487c1694

6 czerwca 2025 r. – pierwsza wizyta kanclerza Friedricha Merza w Białym Domu miała być według niemieckich mediów „niezwykle przyjaznym spotkaniem”

Czy Niemcy sfinansują wojnę?

Kraje unijne i Kanada przyjęły rolę „bankiera”, który kupi od Ameryki całą broń wysłaną na Ukrainę

JAN ROKITA

Fot. Official White House
Photo by Daniel Torok

Donaldowi Trumpowi trzeba było sześciu miesięcy, aby jasno i publicznie uznał, iż Rosja nie przerwie wojny tylko dlatego, że Ameryka oferuje w zamian powrót do polityki dobrych, merkantylnych interesów. W gruncie rzeczy te pół roku to wcale nie tak długo. Kiedy Trump po raz drugi wprowadzał się do Białego Domu, sądziłem, iż okres przymilnych negocjacji Waszyngtonu z Moskwą będzie trwać znacznie dłużej. I obawiałem się, że w tym czasie na Ukrainie może się stać coś bardzo złego i politycznie nieodwracalnego, np. przełamanie frontu przez Moskali i ich wyjście nad środkowy i górny Dniepr albo inspirowany przez Kreml pucz w samym Kijowie.

Tak się jednak nie stało, a co szczególnie ciekawe, bezzasadne okazały się powszechne prognozy zachodnich znawców wojny zakładające rosnącą przewagę

eprasa.pl 09487c1694

frontową Moskali i szybką utratę terytoriów przez ukraińską armię. Przez te pół roku front na Wschodzie w gruncie rzeczy stał w miejscu, zdobycze Moskali były mizerne, a Ukraińcy okazali się zdolni nie tylko do kontrataków, lecz także ataków w głębi Rosji. Widać, że Ukraina nie jest ani tak mocna, jak głosiła zachodnia propaganda w pierwszym i drugim roku wojny, ani tak słaba, jak powszechnie przyjęto na Zachodzie w trzecim i czwartym roku walk. To optymistyczne, ale tylko na krótką metę.

MANIFESTACJA BUTY

Przyznam, że nadal trudno mi pojąć nieporadność Moskwy, a zwłaszcza samego Władimira Putina, w markowaniu przez dłuższy czas fałszywej woli doprowadzenia do rozejmu. Przecież w żywotnym interesie Rosjan leżało, aby nie zrażać sobie Trumpa, budować przychylne nastawienie amerykańskiej prawicy i co jakiś czas dawać sygnały, iż rozejm jest tuż-tuż, niemal na wyciągnięcie ręki. Władca na Kremlu przyjął tymczasem odmienną taktykę. Z jednej strony (jak obszernie opowiada sam Trump) miał być „bardzo miły" w telefonicznych kontaktach z prezydentem USA, tak iż ten nawet własnej żonie Melanii chwalił się, jaką to odbył kolejną „wonderful conversation with Vladimir". Jednak z drugiej strony ilekroć rozmowy amerykańsko-rosyjskie dochodziły do punktu, w którym Moskwa powinna była wykonać jakiś nawet całkiem zakłamany gest, z niezrozumiałych powodów Putin powracał do manifestacji buty i wojennej pewności siebie.

Może najbardziej spektakularny przykład miał miejsce w maju, gdy Zełenski przyleciał do Turcji na rozmowę z Putinem, a przebywający akurat tuż obok – w Arabii Saudyjskiej – Trump publicznie ogłosił, iż jest gotów zaraz wylądować nad Bosforem, aby dołączyć do spotkania. Kreml w ostatniej chwili ostentacyjnie go zlekceważył, a władca Rosji nie tylko nie pojawił się w Stambule, lecz także kazał obwieścić, iż jego plan całkowitego ujarzmienia Ukrainy jest aktualny i zostanie zrealizowany.

Postępując w ten sposób, Putin dawał tylko punkty Zełenskiemu we wzajemnej rywalizacji o przychylność prezydenta USA. I wydaje się, że to właśnie tamte majowe zdarzenia były przełomowe w logice politycznej Trumpa, który od owego czasu zaczął coraz częściej wspominać, iż wbrew swoim intencjom nie potrafi doprowadzić do przerwania wojny na Ukrainie. Mówił nawet, iż Ameryka być może całkowicie wycofa się z wszelkiego dalszego pośrednictwa.

Tym, na co koniecznie trzeba zwrócić uwagę w ciągu tych sześciu miesięcy, są trzykrotne próby wstrzymania dostaw amerykańskiej broni dla Ukrainy podejmowane przez dowództwo armii – zapewne na polecenie albo co najmniej za przyzwoleniem sekretarza obrony Petera Hegsetha. Podobnie jak wiceprezydent Vance należy on do twardogłowych zwolenników ruchu MAGA, a Ukraina pod rządami liberalnego Zełenskiego, ideowo bliskiego Europie Zachodniej, nie jest dlań zapewne krajem wystarczająco poprawnym ideologicznie, aby zasługiwać na sympatię (nawiasem mówiąc, z niejakim zdziwieniem odkryłem, że podobny problem z prezydentem Ukrainy ma były premier Mateusz Morawiecki, który na platformie X pisze: „Zełenski postawił na złego konia, wybrał Niemcy i KO zamiast PiS i USA"). Ale co istotne, choć Pentagon trzykrotnie próbował blokady broni dla Ukrainy, Biały Dom trzykrotnie szybko odkręcał tę decyzję. Ostatni taki przypadek zdarzył się dopiero co i był uzasadniany brakami wyposażenia amerykańskiej armii. Trump znów zdjął tę blokadę, a nawet więcej – zdystansował się od niej publicznie, oznajmiając: „To nie była moja decyzja".

ROZCZAROWANIE I GROŹBY

Nie ma znaczenia, czy Trump mówił prawdę, czy też uprawiał grę. Istotne jest to, że prezydent USA nie chce uchodzić za kogoś, kto mógłby przyczynić się do wojennej porażki Ukrainy i triumfu Moskwy. W przeciwieństwie do niektórych fundamentalistów ruchu MAGA Trump jest po prostu spadkobiercą ducha amerykańskiego imperializmu. I ma nawet z tego tytułu (o czym dobrze wiadomo jeszcze z czasów jego pierwszej kadencji, choćby udawanej „przyjaźni" z północnokoreańskim tyranem Kim Dzong Unem) wygórowane wyobrażenia o swoich możliwościach wymuszania – na przemian przymilnością i szantażem – uległości każdego wroga Ameryki. Ta głęboka wiara Trumpa w to, że jest tylko kwestią czasu, aby każdy tyran zaczął jeść mu z ręki, czasem wywołuje w świecie spory zamęt, gdy na pierwszy rzut oka przestaje być wiadomo, komu w gruncie rzeczy sprzyja Ameryka.

Dlatego to, co się wydarzyło w poniedziałek 14 lipca, pół roku po objęciu władzy przez Trumpa, w gruncie rzeczy musiało się wydarzyć, choć mogło się to stać dużo później. Od zawsze było wiadomo, że Trump rozczaruje się postawą Moskwy, a w następnym etapie zacznie jej grozić – nawet nie z tego powodu, że jest ona agresorem na Ukrainie, ale bardziej dlatego, iż naraziła prezydenta Stanów Zjednoczonych na wstyd niedotrzymanej obietnicy o zakończeniu wojny. Podczas wspólnego występu z sekretarzem generalnym NATO Markiem Ruttem (który słynie w Europie z umiejętności oswajania Trumpa) amerykański prezydent niczym jakąś usprawiedliwiającą go mantrę powtarza, iż „Putin oszukał wielu ludzi – Busha, Obamę, Bidena, ale mnie nie oszuka".

Chcąc uwiarygodnić tę tezę, Trump musi wziąć odwet na Putinie. Rzecz tylko w tym, czy będzie on wystarczający, aby w jakimś przewidywalnym czasie nakłonić Moskwę do rewizji polityki i zawarcia rozejmu wedle jedynej realnie możliwej zasady *uti possidetis*. Czyli tam, gdzie aktualnie stoją obie armie.

Na razie zapowiedzi Trumpa wygłoszone podczas wspólnego z Ruttem wystąpienia w Gabinecie Owalnym są umiarkowanie optymistyczne. Mowa w nich, po pierwsze, o wysłaniu „dużych ilości wszelakiego rodzaju broni", i to niezwłocznie, w ciągu kilku dni, czyli nawet jeszcze nim ten tekst znajdzie się w rękach czytelników. Po drugie – o 100-proc. cłach na wszystkie rosyjskie produkty, o ile w ciągu 50 dni (czyli do 1 września 2025 r.) Moskwa nie zatrzyma wojny. I po trzecie (jak mówi Trump) – o „bardzo, bardzo potężnych taryfach wtórnych". Czyli o podpisie prezydenta pod przygotowaną w Senacie USA ustawą nazywaną na Kapitolu „The Sledgehammer" (czyli młotem na Putina), gdyż umożliwiającą prezydentowi nałożenie nawet 500-proc. cła (sic!) na import z krajów kupujących rosyjski uran, gaz i ropę, a więc np. Chiny, Indie czy Brazylię, a potencjalnie także na Unię Europejską, nadal importującą z Rosji surowce energetyczne.

eprasa.pl 09487c1694

Nie wiadomo jednak, czy Ukraina dostanie dalekosiężne bronie ofensywne, zdolne do ataku na Moskwę albo lotniska wojskowe położone w głębi Rosji, choć w mediach pojawiły się pogłoski również o takiej możliwości. A jeśli opór Kremla wobec idei rozejmu istotnie miałby zostać złamany, to najprawdopodobniej wymagałoby to rozszerzenia terenu wojny co najmniej na całą europejską część terytorium Rosji. Z kolei już dobrze wiadomo, że Trump zwykł stosować cła i sankcje bardziej jako instrument gry i presji, tzn. najpierw z hukiem je zapowiadać, budząc panikę, po to, by „zawiesić" ich stosowanie, nim jeszcze wejdą w życie. Można zatem założyć, że amerykański prezydent, którego jedyną szansą na duży polityczny sukces jest zmuszenie Putina do bezwarunkowego zawieszenia broni, również tym razem rozpocznie raczej grę celną z Moskwą i jej partnerami handlowymi, niźli zechce przeprowadzić prawdziwie mocne uderzenie w rosyjskie interesy.

To, że po sześciu miesiącach umizgów Trump jest zmuszony wrócić do polityki sankcji wobec Moskwy i zbrojenia Ukrainy, bez wątpienia stanowi – przynajmniej na razie – jego polityczną porażkę. Nie tylko świat, lecz także Amerykanie muszą sobie uprzytomnić, że ani potęga USA nie jest tak wpływowa, ani talent negocjacyjny prezydenta tak przemożny, aby za pomocą samej dyplomacji, bez użycia amerykańskiej siły, móc decydować o zakończeniu toczących się wojen. Skądinąd zresztą dopiero co potwierdził to przypadek wojny izraelsko-perskiej, którą Trump potrafił zakończyć, ale wyłącznie dzięki użyciu nowoczesnych bombowców i unikalnych amerykańskich megabomb.

Ta dyplomatyczna porażka prezydenta daje się odwrócić tylko jeśli nowa amerykańska polityka ogłoszona 14 lipca przez Trumpa i Ruttego istotnie zmusi Putina do przerwania wojny. Ale to niemal z pewnością będzie wymagało użycia jeszcze silniejszej presji niźli ta, która została już zaanonsowana.

ZRZUTKA NA BROŃ

Ta porażka dyplomatycznej taktyki wobec Ukrainy i Rosji (oby tylko chwilowa) jest łagodzona sukcesem, jaki niejako przy okazji Trump odnosi w stosunku do Europy. 14 lipca w Gabinecie Owalnym ze strony prezydenta USA padły najsilniejsze jak dotąd komplementy wobec sojuszniczej Europy. Trump mówił, iż „Europa ma silnego ducha do tej wojny", a jej zaangażowanie jest „niesamowite" („amazing"). „Silna Europa to bardzo dobra rzecz. To bardzo dobrze, więc nie mam nic przeciw temu" – dodawał prezydent w ewidentnej kontrze do tego, co o Europie myślą jego twardogłowi zwolennicy z ruchu MAGA.

Ale te wszystkie komplementy mogły paść przy tej okazji z ust Trumpa tylko dlatego, że kraje unijne wraz z Wielką Brytanią i Kanadą w 100 proc. spełniły od dawna formułowane militarno-finansowe żądania USA. Nie tylko dopiero co zgodziły się na astronomiczną sumę rocznych wydatków zbrojeniowych na poziomie 5 proc. PKB, ale na dodatek przyjęły rolę „bankiera", który kupi od Ameryki całą broń wysłaną na Ukrainę.

> Niemcy zniosły tzw. hamulec konstytucyjny dla wydatków zbrojeniowych i przyjęły wielki plan rozbudowy Bundeswehry w poczet długu publicznego na astronomiczną kwotę 500 mld euro

I tu właśnie tkwi bodaj najsłabszy aspekt nowej polityki militarnego wspierania Ukrainy. Zapewne jednorazowa operacja sfinansowania kosztów wojny przez sojuszników z NATO bez finansowego udziału USA tym razem się uda. Tym bardziej że sekretarz Rutte mówi, iż w kolejce do płacenia za zakupy dla Ukrainy stoją już Niemcy, Finlandia, Dania, Szwecja, Norwegia, Holandia i Kanada, a w najbliższym czasie ustawią się w niej następni zachodni sojusznicy. Jednak zawikłane realia polityki i finansów dużych państw członkowskich NATO są dobrze znane, a chętne do pomocy kraje skandynawskie, nawet tak bajeczne bogate jak Norwegia, nie odegrają przecież istotnej roli w finansowaniu wojny przez dłuższy czas.

W istocie rzeczy są tylko dwa państwa, które przynajmniej teoretycznie mogłyby przejąć od Ameryki ów ciężar: to Niemcy i Anglia. Tyle tylko, że Anglicy są właśnie w oku własnego kryzysu finansowego, a próbująca ratować brytyjskie finanse za pomocą restrykcji kanclerz skarbu Rachel Reeves od kilku tygodni jest na granicy dymisji. Nie dziwota więc, że Anglików nie ma dotąd na liście Ruttego.

Naprawdę pozostają więc Niemcy, które dopiero co zniosły tzw. hamulec konstytucyjny dla wydatków zbrojeniowych i przyjęły wielki plan rozbudowy Bundeswehry w poczet długu publicznego na astronomiczną kwotę 500 mld euro. Ten plan jest zresztą w ciągu ostatnich tygodni ostro atakowany przez byłego premiera Morawieckiego, który traktuje go jako dowód „remilitaryzacji Niemiec" i porównuje nawet ze zdarzeniami towarzyszącymi w 1933 r. dojściu Hitlera do władzy.

Tymczasem jeśli w ogóle nowy koncept wspierania militarnego Ukrainy miałby się sprawdzić, choćby przez jakiś czas, to tylko dzięki temu, że właśnie z tego długu Niemcy zdecydowałyby się finansować lwią część wojny obronnej toczonej przez ukraińską armię.

Czy takie poważne zaangażowanie finansowe Niemiec w wojnę okaże się możliwe na dłuższy czas? Mocno w to wątpię. Plan zbrojeniowy kanclerza Friedricha Merza już dziś ma bowiem silnych przeciwników, zarówno na niemieckiej prawicy, jak i lewicy. A jeśliby miało się okazać, iż potężny dług jest zaciągany przez rząd w Berlinie w pierwszej kolejności na finansowanie ukraińskiej wojny z Rosją, to pacyfistyczny opór przeciw takiej polityce tylko się wzmocni i zradykalizuje. Najprawdopodobniej zatem wraz ze zwrotem Trumpa zaanonsowanym 14 lipca powracamy do stanu spraw za końcowego Bidena, kiedy było wiadomo, że na razie Ukraina będzie dysponować środkami pozwalającymi jej się bronić, ale wszystko to znów jest tylko na jakiś czas. Tymczasem ani na zawieszenie broni wedle reguły *uti possidetis*, ani na odwrócenie losów wojny na korzyść Ukrainy bynajmniej się nie zanosi.

eprasa.pl 09487c1694

Zepsuta Hiszpania

Na co jest chora Hiszpania? Na wszystko, a najbardziej na socjalistyczny rząd, partie i polityków

DARIUSZ MATUSZAK

Kiedy piszę te słowa, dopala się Piera Mosque – nowy meczet w Barcelonie, który miał być otwarty na dniach, a w Murcji w południowo-wschodniej Hiszpanii kończy się piąty dzień zamieszek, które wybuchły po tym, jak kilku młodych imigrantów z Maroka dla zabawy skatowało starszego człowieka. Skąd wiadomo, że dla zabawy? Bo zwyrodnialcy nagrali to, rżąc ze śmiechu, i opublikowali w sieci. Jeszcze klika tygodni temu rządzący Hiszpanią socjaliści zamierzali budować w Murcji domy dla nieletnich przybyszów z Maroka, coś w rodzaju Centrów Integracji Cudzoziemców, którymi chce nas ubogacać rząd Tuska, ale po wielkich protestach lokalnych działaczy prawicowej partii Vox i mieszkańców zrezygnowano z tego.

Imigracja to tylko jeden z problemów, które ma Hiszpania. Obecność 8 mln przybyszów musi kreować niewygaszalne napięcia społeczne. 20 proc. mieszkańców kraju urodziło się za granicą, a wśród nich jest co najmniej 1 mln tych, którzy wdarli się do niego nielegalnie. Lewica jak wszędzie uważa, że najlepszym sposobem na rozwiązanie problemu jest zakłamanie go, więc i kwestia nielegalnych imigrantów cudownie zniknie. Rządząca krajem Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (PSOE) planuje w tym roku zalegalizowanie pobytu 900 tys. nielegalnych migrantów. A więc cyk – i problem znikł, kartoteki zostaną wyczyszczone, a i Unia Europejska będzie miała się czym pochwalić. Ba, to może nawet pomóc wyczyścić umysły Hiszpanów. Z badań sondażowni Sigma Dos wynika, że aż 70 proc. z nich – w tym 89 proc. wyborców Vox i nawet 57 proc. tych od PSOE – domaga się masowych deportacji,

Pomysł socjalistów jest więc genialny w swej prostocie – premier Pedro Sánchez wyjdzie cały na biało i powie, że przecież nie można deportować tych, którzy są legalnie, a nielegalnych nie ma. A gdyby tak jeszcze wszystkim przybyszom nadać obywatelstwo, to nagle zniknęłby też problem przestępczości wśród imigrantów. W Barcelonie 76 proc. aresztowanych i zatrzymywanych to cudzoziemcy. Można ich cudownie przemienić w pełnokrwistych Hiszpanów.

Powiedzenie mówi, że „Polak głodny to Polak zły". Badania naukowe wskazują, że dotyczy ono też innych nacji. Socjalistyczny rząd Hiszpanii najwidoczniej wziął to sobie do serca i zwalcza przestępczość, czy też uspokaja imigrantów, za pomocą jedzenia. Tak więc wyżywienie imigranta wedle stawek zgodnych z zamówieniami publicznymi w takim ichnim Centrum Integracji Cudzoziemców, np. Primo de Rivera, kosztuje 21,04 euro dziennie. Tymczasem dzienna dieta na wyżywienie żołnierza to 8,47 euro, a jakiegoś byle emeryta z publicznych domów opieki w Madrycie, które obsługuje firma cateringowa Alessa – to 6,85 euro. A na co karmić takiego zużytego starucha, jak on i tak nie popełni przestępstwa?

Wydawanie pieniędzy z zamówień publicznych, przy których karmią się imigranci, a także wielkie firmy i partyjni działacze, to jeden z najważniejszych aspektów hiszpańskiej polityki. Gdyby zapytać, na co choruje kraj, który 20 lat temu miał wyższe PKB na głowę niż teraz – 30 tys. dol. w 2005 r. i 29,1 tys. w 2024 r., w którym bezrobocie wśród młodych do 35. roku życia wynosi 37 proc. – to odpowiedź mogłaby brzmieć, że na wszystko.

KORUPCJA DO POTĘGI ENTEJ

U podstaw tych wszystkich nieszczęść, które ostatnio spotykają Hiszpanię (np. we wrześniu 2024 r. zadłużenie zewnętrzne sięgnęło ponad 2,8 bln dol.), stoi skorumpowana, do cna zepsuta klasa polityczna. Wedle sondaży CIS na to wskazuje największa część Hiszpanów. 14 proc. odpowiada, że największym problemem kraju jest „rząd, konkretne partie i politycy", na korupcję wskazuje 13 proc., przy czym tak naprawę można połączyć te odpowiedzi i wskazać na sprzedajność polityków. Jego rozmach,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 09487c1694

a także zjawiskowość są dla nas właściwie niewyobrażalne. Przez kraj przetacza się właśnie jeden z największych skandali korupcyjnych i obyczajowych w historii, który powinien unicestwić rządzącą lewicę. By go dokładnie opisać, potrzebowalibyśmy całego numeru tygodnika, a najlepiej kilka wydań „Zeszytów Korupcji" i wielkich płacht, by rozrysować sieć powiązań – nie jakąś marną ośmiornicę, tylko krocionoga olbrzymiego z jego 700 odnóżami. To będzie skomplikowana opowiastka, ale da państwu wyobrażenie, jakim krajem stała się Hiszpania pod rządami lewicy.

W czerwcu pod zarzutami przekupstwa, przynależności do organizacji przestępczej i handlu wpływami został aresztowany Santos Cerdán, sekretarz generalny PSOE, najbliższy partyjny współpracownik premiera Pedra Sáncheza. Sprawa to jeden z odprysków innej afery, tzw. Koldo, która dotyczy m.in. korupcji przy kupowaniu masek w czasie pandemii COVID-19. Według Sądu Najwyższego Cerdán, który jest także posłem, stał na czele wielkiego „spisku korupcyjnego". Jednym z głównych rozprowadzających był Koldo García Izaguirre, były doradca premiera Sáncheza i ministra transportu Joségo Luisa Ábalosa. Jak wynika ze śledztwa, ten utalentowany człowiek brał łapówki w rożnych postaciach – a to pieniądze, a to nieruchomości – na skalę wręcz przemysłową. Wziątek było tyle, że musiał je rozprowadzać po rodzinie, więc jak prokuratura odkryła majtek jego brata, okazał się 27 razy wyższy, niż mogłoby to wynikać ze wszystkich dochodów mężczyzny.

Jesienią 2024 r. aresztowany został szef firmy od maseczek Víctor de Aldama. Jak stanął przed sędzią Sądu Najwyższego, to zaczął się zwierzać, komu, kiedy i ile wręczył łapówki. I tak łapy po wziątki wyciągnęli m.in. wspomniani już sekretarz PSOE Cerdán, doradca i załatwiacz Koldo, minister Ábalos oraz María Jesús Montero – notoryczna minister od spraw wszelakich w rządzie Andaluzji, a teraz wicepremier i minister finansów w rządzie centralnym. Prokuratura i Gwardia Cywilna poszły kolejnymi tropami i okazało się, że towarzysz sekretarz Cerdán objął 45 proc. udziałów w firmie od koncertów i imprez Servinabar, a ta szybko przekwalifikowała się na branżę budowlaną i od razu dostała wielkie kontrakty od rządu Nawarry na budowę tuneli i mieszkań. Skromny udział w sukcesach finansowych towarzysza Cerdána mamy również my, Polacy, bo także z naszych składek skapnęły mu na jeden z projektów miliony euro dotacji z unijnych funduszy. Teraz badane jest ponad 400 kont w 30 rożnych instytucjach, by prześledzić transfery. W tej i innych sprawach tropy prowadzą m.in. na Cypr, do Brazylii, Portugalii, Brukseli i wenezuelskiego reżimu, z którym mimo unijnych sankcji i zakazów rząd Hiszpanii kolaborował/kolaboruje. Wspomniany szef firmy od maseczek zeznał, iż organizował w Hiszpanii spotkania wiceprezydent Wenezueli Delcy Rodríguez, która ma zakaz wjazdu do strefy Schengen, z ministrami i samym premierem Sánchezem.

SEKS, KŁAMSTWA I KASETY

Kolejne tropy odkryto po zatrzymaniu byłego ministra Ábalosa, rewizjach w jego domu i odczytaniu zawartości jego 39 rożnych urządzeń elektronicznych. Jednym z nudniejszych wątków jest to, że mąż Isabel Pardo de Very, byłej prezes państwowych kolei ADIF i minister infrastruktury, kupował od kolei tereny i budował tam luksusowe apartamentowce. Podczas jednego z przetargów zapłacił 2 mln euro za teren, który sprzedał za 22 mln. Z nagrań wynika też, że w 2014 r. panowie Ábalos i Koldo ustalali też, jak sfałszować partyjne wybory w PSOE, by wygrał je obecny premier.

Dla rozgrzanej hiszpańskiej publiczności znacznie ciekawsza jest jednak sprawa tabunów prostytutek, które zostały zatrudnione w różnych państwowych spółkach. Doradca Koldo i minister Ábalos okazali się jurni niczym, nie przymierzając, sam Niesiołowski. Zamiast płacić kobietom, załatwiali im państwowe posady, wynajmowali apartamenty za pieniądze podatników i wozili ze sobą po całym świecie. Szczególnie interesujące są zapisy z nagrań, gdy słychać, jak panowie wybierają poszczególne panie z katalogów i omawiają ich zalety. Obaj lubili „świeże" i „szalone" Kolumbijki. Ábalos zatrudnił też co najmniej sześć brazylijskich prostytutek, by te „obsługiwały" kontrahentów jego resortu. Ostatecznie jedna z pań lekkich obyczajów – Hiszpanka, studentka stomatologii, została „narzeczoną" ministra i okazała się tak zdolna, że dostała nawet posady w dwóch państwowych spółkach. Nigdy się w nich nie pojawiła i jak zeznała w prokuraturze, nawet nie miała pojęcia, gdzie było miejsce, w którym pracowała. Hiszpańska publiczność czeka teraz na szczegółowe opisy baletów, które organizowali w czasie covidowego lockdownu. Zabawa, w której wziął udział transport pań, musiała być przednia, bo w jednym z hoteli zdemolowano apartamenty.

PANI SZAMBIARA

Wszystkie te historie są powodem wielkich zmartwień w rządzie Sáncheza, bo psują wizerunek postępowej, równościowej, prokobiecej Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Na szczęście PSOE ma specjalistkę od komunikacji, byłą dziennikarkę Laurę Díez. Ta ma ksywę „hydraulik", bo niby pracuje w kanałach partyjnych, ale tak naprawdę jej zadaniem jest udrażnianie rur, czyli sprzątanie, przepychanie szamba po partyjnych towarzyszach. By przykryć skandale, Díez wymyśliła, że trzeba wylać szambo na prowadzącego śledztwa płk. Antonia Balasa, szefa UCO – specjalnej jednostki Gwardii Cywilnej. Ta zajmuje się także sprawami Begoñi Gómez, żony premiera, i jego brata Davida Sáncheza. Kompromitujące materiały miał dostarczyć oskarżany m.in. o defraudację ponad 150 mln euro biznesmen Alejandro Hamlyn. Pani hydraulik, czy tam szambiara, zorganizowała więc z nim naradę w sieci, w której udział wzięli oskarżany o oszustwa, pranie brudnych pieniędzy, fałszowanie dokumentów, wyłudzanie państwowych dotacji oraz defraudacje przedsiębiorca Javier Pérez Dolset i Jacobo Teijelo, prawnik siedzącego w więzieniu Abu Dahdy, szefa Al-Kaidy na Hiszpanię. Teijelo jest też obrońcą sekretarza PSOE Cerdána. Jak widać, towarzystwo zacne. Niestety mieli oni pecha, bo się nagrało i wyciekło do mediów. PSOE wydało oświadczenie, że poszczególne fragmenty rozmów zostały wyjęte z kontekstu, a nawet że nie ma nic wspólnego ze swym sekretarzem Cerdánem. Rzecznik partii stwierdziła, że opozycja rozpętała kampanię hejtu i pomówień.

eprasa.pl 09487c1694

Fot. East News

Dla rozgrzanej hiszpańskiej publiczności znacznie ciekawsza od korupcji na szczytach władzy jest jednak sprawa tabunów prostytutek, które zostały zatrudnione w różnych państwowych spółkach

PREMIER, ŻONA, TEŚĆ I HOMOROZKOSZE

W śledztwach dotyczących żony premiera i jego brata chodzi m.in. o sprzedaż wpływów, załatwianie za łapówki kontraktów, a także 600 mln euro od rządu dla firmy Globalia na ratowanie upadającej linii lotniczej Air Europa. Braciszek premiera kupił sobie m.in. pałac w Portugalii, choć nie wiadomo, skąd miał na to pieniądze, mieszkał w nim i jednocześnie zarządzał szkołami muzycznymi w hiszpańskiej Estremadurze. Uniwersytet Complutense, na którym – mimo lipnych dyplomów – Begoña Gómez kierowała jedną z katedr, oskarżył ją o przywłaszczenie programu komputerowego i hojne wydawanie pieniędzy uczelni na różne takie, do czego nie miała żadnych pełnomocnictw. Jak się okazało, żona premiera kupiła też apartament od firmy zarządzającej siecią saun i domów publicznych dla homoseksualistów. Szefem przybytków rozkoszy był nieżyjący już ojciec Gómez, a więc teść premiera.

Ten przedsiębiorczy pan był współpracownikiem policji i pomagał jej pozyskiwać informatorów z partii opozycyjnych, zwłaszcza z baskijskiej Batasuny. Sposób był bardzo prosty – teść premiera zainstalował w saunach oraz burdelu kamery i mikrofony, a to, co się nagrało, policja pokazywała działaczom opozycji i pytała, czy będą donosić. Szczególnie owocne okazały się łowy na towarzyszy z prowincji, którzy nie chcieli się oddawać uciechom w rodzinnych stronach, więc w ich poszukiwaniu zjeżdżali do Madrytu.

Na jaw wciąż wychodzą nowe sprawy, a będzie ich coraz więcej, bo dokonywane są kolejne aresztowania, służby przejmują nowe dokumenty i nagrania. Być może zostanie wyjaśniona m.in. sprawa podejrzeń o wielomilionowe łapówki i 1 mln miesięcznej prowizji od reżimu z Caracas dla ministra Ábalos za załatwienie z premierem Sánchezem kontraktu na wenezuelską ropę. Niemal dzień w dzień coś się wylewa i trudno znaleźć nawet racjonalne wytłumaczenie, jakim cudem mniejszościowy rząd jeszcze się unosi na powierzchni tego szamba. Wedle ostatnich badań rządowej sondażowni CIS poparcie dla PSOE tąpnęło aż o 7,6 pp. i spadło do 27 proc., ale to nadal więcej, niż ma jakakolwiek inna partia.

Rząd Sáncheza jest mniejszościowy i sprawuje władzę, bazując na daninie dla małych separatystycznych partii z regionów. To też efekt zupełnej bezpostaciowości niegdyś prawicowej Partii Ludowej, która rozlazła się zupełnie jak CDU czy brytyjscy konserwatyści i całkowitej nieudolności hiszpańskiej prawicy w budowaniu sojuszy. Tak czy owak, wedle normalnych ludzkich kryteriów Hiszpanią rządzi najbardziej obrzydliwa, skorumpowana i zakłamana formacja, jaką można sobie wyobrazić. Taki zbiorowy, znany ze swych ataków na Polskę, europoseł Juan Fernando López Aguilar, który jako minister sprawiedliwości w rządach socjalistów z PSOE zaprowadzał koszmarne prawo znoszące domniemanie niewinności przy oskarżeniach mężczyzn o przemoc wobec kobiet, sam tłukł swą żonę.

eprasa.pl 09487c1694

Jestem chłopakiem, który wychował się na stadionie

Na pielgrzymkę kibiców z całej Polski zjeżdżają się zwaśnione na co dzień kluby. Stają obok siebie na mszy, na katechezach. To pokazuje, że są dla nas sprawy wspólne, zupełnie fundamentalne. Taką kwestią jest dobro Polski, naszej ojczyzny

Z ks. Jarosławem Wąsowiczem, salezjaninem, historykiem, duszpasterzem kibiców i długoletnim współpracownikiem prezydenta elekta dr. Karola Nawrockiego, rozmawia Goran Andrijanić

Trudno księdza złapać. Gdzie salezjanin spędza lato?

Ks. Jarosław Wąsowicz: Jestem w Ostródzie. Razem ze środowiskami kibicowskimi, patriotycznymi i salezjańskimi organizuję „Kresowe wakacje", wypoczynek dla dzieci żyjących na dawnych Kresach Wschodnich. To inicjatywa, która trwa już od 27 lat i przybierała różne formy. Najpierw zapraszaliśmy młodzież na rekolekcje ewangelizacyjne i piesze pielgrzymki na Jasną Górę, ale w pewnym momencie zaczęliśmy organizować kolonie dla dzieci, głównie z Wileńszczyzny. To się dosyć mocno rozbudowało, bo w tym roku gościmy aż 250 naszych małych rodaków, i to z pięciu krajów.

Jaki jest cel tej inicjatywy?

Jednym z celów na pewno jest pokazanie wszystkim, także organizatorom, że uczestnicy to Polacy, którzy żyją dzisiaj w innym kraju, bo taki jest bieg historii. Oni nigdzie nie wyjeżdżali, więc te dzieci to nie jest taka klasyczna Polonia. To są Polacy, którzy pozostali u siebie. Mimo granic cały czas łączy nas język polski, nasze narodowe tradycje, kultura i wiara katolicka, a takie spotkania są tego dowodem. To niezwykle ciekawe doświadczenie i dzieci też to czują. Przyjeżdżają z różnych krajów, gdzie na co dzień posługują się różnymi językami, a tutaj wszystkie mówią po polsku – w języku, który jest podstawowym językiem naszego projektu. Codziennie zaczynamy dzień od mszy, a potem zwiedzamy ważne miejsca związane z polską historią. W ciągu tygodnia udaje się przygotować piękny program dla każdego turnusu.

Praca z młodymi to główny charyzmat salezjanów. Tymczasem w opinii publicznej, szczególnie tej lewicowej, ma ksiądz inną reputację.

Fot. Domena publiczna/Jarosław Wąsowicz

eprasa.pl 09487c1694

Św. Jan Bosko, założyciel naszego towarzystwa, miał takie powołanie – praca z młodzieżą, i to przede wszystkim ubogą. My również to robimy. Niestety wielu nas nie rozumie, tak samo jak wielu nie rozumiało ks. Boski, kiedy starał się ewangelizować młodzież przez sport, teatr oraz muzykę, co w XIX w. było szokiem. I myślę, że trochę jest tak do dzisiaj.

Kiedy staramy się realizować nasz charyzmat, nie zawsze jesteśmy rozumiani. Przykład stanowi choćby ta kolonia. W czasie prezydenckiej kampanii wyborczej w „Gazecie Wyborczej" ukazał się duży artykuł na mój temat, w którym właśnie nasza praca z dziećmi z Kresów została określona jako „akcja rewizjonistyczna".

Prowadzi ksiądz ewangelizację wśród dzieci, a potem jest oskarżany o manipulacje polityczne. Jak skomentować ten poziom kłamstw?

Jestem przyzwyczajony do takich rzeczy. Zrozumiałem, że istnieją tacy dziennikarze, którzy kłamstwem muszą zarabiać na życie. Tak to wygląda. Insynuują wiele nieprawdziwych rzeczy i biorą za to pieniądze. Być może ktoś im to zleca. Staram się tym nie przejmować, tylko czasami jestem zaskoczony, jak daleko mogą zajść te dziwne rozważania.

Był ksiądz opisywany również jako „kapelan chuliganów".

To brak zrozumienia, kim ja w ogóle jestem. Bo jestem chłopakiem, który wychował się na stadionie, byłem członkiem Federacji Młodzieży Walczącej, bardzo radykalnej grupy antykomunistycznej młodzieży, która pod koniec lat 80. działała we wszystkich większych ośrodkach. Tak się złożyło, że FMW była związana z kibicami Lechii i ja się wychowałem w tym środowisku. Więc dlaczego jako kapłan nie miałbym dalej być z moimi przyjaciółmi, nawet zostać duszpasterzem kibiców, chociaż nie lubię za bardzo tego słowa.

A jak określiłby ksiądz to, co robi?

Po prostu jestem z nimi. Spotykamy się, wsłuchuję się w ich głosy. Tam, gdzie mogę pomóc – pomagam. Tam, gdzie oni mogą mi pomóc – przyjmuję ich pomoc. Przykładem są właśnie chociażby liczne projekty związane z Polakami na Kresach, upamiętniające żołnierzy wyklętych czy piękna akcja Serce dla Inki, która bez kibiców nie miałaby takiego rozmachu. I wiele, wiele innych projektów, począwszy od samej pielgrzymki kibiców na Jasną Górę.

Dlaczego elita III RP tak nienawidzi kibiców?

Doskonale pamiętam czasy, kiedy część kibicowskich ekip wyśmiewała się z PiS i opowiadała po stronie Platformy Obywatelskiej. Przypomnę, że dzisiejszy premier chwalił się w wywiadzie, że był takim mocnym chłopakiem z Młyna, czyli z „żylety" Lechii, więc miejsca, w którym w latach 70. i 80. skandowano antykomunistyczne hasła. Podczas jakiejś kampanii wyborczej przyjaciel Donalda Tuska Tomasz Wołek w jednym z programów radiowych opowiadał historię, jak Tusk biegał ze szlauchem po dworcu w Bydgoszczy i bił się z innymi. Wtedy to było OK, natomiast przestało być OK, kiedy kibice stali się iskrą, która – zwłaszcza w młodym pokoleniu – zaczęła inspirować do wielu inicjatyw patriotycznych. Dzieję się to już od jakichś 20 lat. Zaczęło się od upamiętniania przez kibiców powstania warszawskiego, powstania wielkopolskiego i Solidarności. I ten patriotyzm rzeczywiście rozlał się po wszystkich stadionach.

Jako naukowiec historyk opublikowałem kilka tekstów o patriotycznym genie polskich kibiców. Oni tym się różnią od swoich odpowiedników w Europie, że u nas to środowisko w większości ma poglądy prawicowo-konserwatywne.

W Chorwacji jest podobnie. Kibice Dinama z Zagrzebia też są konserwatywni. Kibice Hajduka ze Splitu może nie wszyscy, ale w większości też.

Wiem, ale w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii czy Anglii główny spór między kibicami wcale nie idzie po linii jakichś lokalnych konfliktów, tylko politycznych. Europa Środkowa jest wyjątkiem, dlatego że przeszliśmy komunizm i wiemy, czym jest ideologia lewicowa. Bo trzeba pamiętać, że ta sama ideologia od XIX w., a w zasadzie od czasów rewolucji francuskiej, jest największą zarazą świata. To ona stała się zalążkiem wszystkich systemów totalitarnych. Te ideologie oczywiście są żywe także dziś. Przyjmują różne nazwy, ale dalej są nachalnie narzucane i widać, do czego doprowadziły na Zachodzie, gdzie nie rozumie się tego, czym jest ideologia komunistyczna w wydaniu totalitarnym. Dzisiaj mówi się o zbrodniach Hitlera, natomiast o Stalinie nie bardzo. Nie pokazuje się tego ciągu przyczynowo-skutkowego: od ideologii do zbrodni. Przecież w naszym życiu politycznym wciąż odgrywają znaczącą rolę albo uchodzą za autorytety ludzie, którzy splamili się komunistyczną ideologią w swoim życiorysie.

W jakiej mierze patriotyzm Karola Nawrockiego, prezydenta elekta, i księdza, jego dobrego przyjaciela, jest uformowany w środowiskach kibicowskich?

Przede wszystkim uważam, że patriotyzm ma się wynosić z rodzinnego domu – to tam jest pierwsza szkoła patriotyzmu. Natomiast później ludzie młodzi wiążą się z różnymi środowiskami, tak jak w moim przypadku. Karol Nawrocki też od młodych lat był związany z ruchem kibicowskim, dojrzewał także w klimacie Gdańska, a więc miasta, w którym żywa była historia Solidarności i w którym na co dzień spotykaliśmy legendę oporu wobec komunistycznej władzy. Trzeba przypomnieć, że Karol Nawrocki jest znakomitym historykiem, o czym się praktycznie nie mówi. Napisał bardzo dobry doktorat dotyczący Solidarności w regionie elbląskim i dopóki mógł brać udział w życiu naukowym, odnosił sukcesy na tym polu. Zajmował się historią ruchu antykomunistycznego. W jego przypadku te wszystkie czynniki były istotne. Co najważniejsze, on się nie odżegnuje od środowiska kibiców – mówi o tym otwarcie – i potrafi dostrzec w nim to, czego inni w nim nie widzą. Zwraca uwagę właśnie na to, że dzisiaj w pewnym sensie mogliby oni być wzorem dla wszystkich, także dla polityków.

W jakim sensie? Co oni demonstrują?

Jedność. Wystarczy popatrzeć na pielgrzymkę kibiców, gdzie z całej Polski zjeżdżają się zwaśnione na co dzień kluby. Stają obok siebie na mszy, na kateche-

eprasa.pl 09487c1694

zach. To pokazuje, że są dla nas sprawy wspólne, fundamentalne. Taką kwestią jest dobro Polski, naszej ojczyzny.

Jaka jest duchowość prezydenta elekta? Jakby ją ksiądz opisał?

Wzruszyło mnie to, że w Niedzielę Trójcy Świętej Nawrocki opublikował podziękowanie dla wszystkich, którzy wspierali go podczas kampanii wyborczej, dziękował wszystkim, którzy się za niego modlili. W wielu miejscach Polski ludzie się organizowali i zamawiali mszę w intencji Karola Nawrockiego oraz jego rodziny. Prowadzono inicjatywy modlitwy różańcowej o wygrane wybory. Ja postrzegam jego wygraną jako cud. Po tym wszystkim, co się stało, po niewyobrażalnych atakach medialnych na niego, po kradzieży pieniędzy PiS, partii, która go popierała i która nie mogła w związku z tym wesprzeć go finansowo, po zaangażowaniu służb państwa przeciwko Nawrockiemu... Ten triumf to cud. I myślę, że wielu ludzi tak to odbiera.

Był ksiądz zaangażowany w Radzie Muzeum II Wojny Światowej, kiedy prezydent elekt kierował tą placówką. Jak wyglądała wasza współpraca?

Przede wszystkim widziałem, ile wysiłku Karol Nawrocki wkładał w dyskusję z oponentami. To nie było tak, jak się dzisiaj insynuuje, że w muzeum w czasach Nawrockiego wszystko było bezwzględne „wycinane". Przecież w Radzie Muzeum był chociażby zawsze przedstawiciel miasta Gdańska, z którym dyskutowano.

Jakim prezydentem będzie Nawrocki?

Takim, który nie będzie szczędził czasu i swojej pracy dla Polski. To będzie prezydent, z którego będziemy dumni i który zdoła przekonać do swojej wizji Polski swoich oponentów, tych, którzy dzisiaj myślą inaczej.

Znając stan umysłu obozu lewicowo-liberalnego, to będzie następny cud.

Trzeba dać mu czas, on naprawdę to zrobi. Nawrocki nigdy nie zawiódł na bardzo ważnych stanowiskach państwowych i ta determinacja jest jedną z najpiękniejszych cech jego charakteru.

Czy ksiądz będzie w jakiś sposób zaangażowany w kancelarii nowego prezydenta?

Nie jestem politykiem. Jestem księdzem i będę wspierał nowego prezydenta modlitwą. Bardzo sobie cenię to, że również on przez lata wspierał różne inicjatywy, które podejmowałem jako salezjanin. Pielgrzymka Kibiców, Wakacje Kresowe, Serce dla Inki... To były projekty, wobec których Karol Nawrocki nigdy nie pozostawał obojętny jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej czy jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej. Zawsze mogliśmy liczyć na jego pomoc.

> Zrozumiałem, że istnieją tacy dziennikarze, którzy kłamstwem muszą zarabiać na życie. Tak to wygląda. Insynuują wiele nieprawdziwych rzeczy i biorą za to pieniądze. Być może ktoś im to zleca

Jak ksiądz jako historyk i gdańszczanin komentuje wystawę „Nasi chłopcy" zorganizowaną w Gdańsku? Wystawę, która jest oceniana jako skandaliczna, bo opowiada o mieszkańcach Pomorza w niemieckiej armii.

Przede wszystkim tytuł jest bardzo prowokujący i jest to zamierzony cel – prowokacja wobec patriotów. Wśród Kaszubów i Ślązaków byli tacy, których siłą wcielono do Wehrmachtu, bo uznawano ich za obywateli III Rzeszy. I to była olbrzymia tragedia tych ludzi, która jest opisana przez historyków.

Nie chcę się wypowiadać na temat treści, ale z tego, co zdążyłem wyczytać, jest ona dosyć bulwersująca. Natomiast sam tytuł to prowokacja. Powinien dać akcent na cierpienie tych ludzi. Np. „Zapomniane ofiary Hitlera" albo coś podobnego. „Nasi chłopcy" to jednak przemyślana prowokacja, która ma wywołać kolejną awanturę.

Jak na to wszystko patrzą zwykli ludzie z Gdańska?

Myślę, że bardziej precyzyjnym pytaniem może być to, jak patrzą na to zwykli ludzie z Polski. Wszyscy jako Polacy powinniśmy się troszczyć o polską narrację w polityce historycznej. Spór jest zasadniczy. Musimy się starać propagować na arenie międzynarodowej polską politykę historyczną, która pokazuje naszą perspektywę i nasze doświadczenia związane z cierpieniem Polaków żyjących w systemach totalitarnych – w czasie okupacji niemieckiej i w czasie PRL. Opowiemy o tym, co przeszliśmy albo damy sobie narzucać relacje wybielania głównych reżyserów tego wszystkiego, co się dokonało w XX w. Odkąd powstała Republika Federalna Niemiec, nasi sąsiedzi bardzo konsekwentnie prowadzili taką politykę, która spowodowała, że dzisiaj, prawie 90 lat od wybuchu II wojny światowej, zachód mówi o „polskich obozach koncentracyjnych" i „odpowiedzialności Polski za Holokaust". Niemcy mają sojuszników w samej Polsce, którzy łatwo wyrzucają z pamięci o. Maksymiliana Kolbego, wielkiego męczennika znanego na całym świecie, rodzinę Ulmów, która została wymordowana za ukrywanie Żydów, czy rtm. Pileckiego, którego nawet na Zachodzie historycy określają jako jednego z najodważniejszych żołnierzy II wojny światowej.

Przymusowa służba wojskowa w Wehrmachcie Ślązaków i Kaszubów to było bardzo trudne doświadczenie, o którym w czasach komunistycznych w ogóle się nie mówiło. Ci ludzie naprawdę cierpieli. Nie mieli wyjścia i musieli się stawać żołnierzami Wehrmachtu. Przy pierwszej możliwej okazji dezerterowali i przedostawali się do wojsk alianckich. Pod Monte Cassino po obu stronach nieraz walczyli bracia. Znam takie sytuacje, bo po polskiej stronie byli tam żołnierze z Pomorza czy ze Śląska, po drugiej – ich bracia siłą wcieleni do Wehrmachtu. Takie historie można pokazywać, ale nie pod tytułem „Nasi chłopcy".

eprasa.pl 09487c1694

Komory gazowe – prawda o niemieckich zbrodniach

Wypowiedź Grzegorza Brauna, który publicznie zakwestionował istnienie komór gazowych w Auschwitz, jest nie tylko przykładem skrajnej ignorancji historycznej. To przede wszystkim cios w pamięć o milionach ofiar niemieckiego totalitaryzmu, a także jedna z wielu prób pisania historii na nowo. Komory gazowe istniały, a dowody na ich funkcjonowanie są niepodważalne

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Grzegorz Braun udzielił wywiadu telefonicznego na antenie Radia Wnet, łącząc się z miejscowości Jedwabne. Odbywały się tam obchody 84. rocznicy zbrodni z 10 lipca 1941 r. i w kontekście tego wydarzenia europoseł domagał się wznowienia ekshumacji ofiar. W trakcie rozmowy stwierdził: „Mord rytualny to fakt, a dajmy na to Auschwitz z komorami gazowymi to niestety fake". Prowadzący Łukasz Jankowski przerwał wywiad słowami: „Są pewne granice cynizmu politycznego" i zakończył rozmowę, podkreślając, że pamięć o milionach ofiar Auschwitz-Birkenau wymaga szacunku, a nie taniej sensacji.

Po słowach Grzegorza Brauna rozpętała się medialna burza, a działania w sprawie jego wypowiedzi zapowiedziała m.in. prokuratura Instytutu Pamięci Narodowej.

Jaka jest prawda dotycząca komór gazowych?

ŁATWIEJSZE DO UKRYCIA LUDOBÓJSTWA

Niemcy w czasie II wojny światowej poszukiwali możliwie najbardziej efektywnej i zmechanizowanej metody uśmiercania ludzi. Masowe rozstrzeliwania – stosowane przez Einsatzgruppen na Wschodzie – były czasochłonne, wymagały dużych nakładów sił ludzkich i technicznych, a także odbijały się na morale żołnierzy, co dokumentują m.in. raporty z frontu wschodniego. Komory gazowe umożliwiały zabicie setek lub tysięcy ludzi naraz, w zamkniętej przestrzeni, bez konieczności bezpośredniego kontaktu sprawców z ofiarami. Cały proces można było prowadzić niemal taśmowo – od selekcji przez egzekucję po kremację ciał. Mordowanie w ten sposób miało być szybsze, tańsze i mniej obciążające psychicznie sprawców niż dotychczasowe

Fot. Michelangelo DeSantis/Shutterstock.com

eprasa.pl 09487c1694

metody. Oprócz tego komory gazowe były mniej widoczne, a dzięki temu łatwiejsze do ukrycia. Z technokratycznego punktu widzenia był to więc optymalny sposób prowadzenia ludobójstwa, wpisany w logikę nazistowskiej biurokracji i dehumanizacji ofiar.

Już w 1939 r. w ramach operacji o kryptonimie T4 testowano uśmiercanie tlenkiem węgla i spalinami w specjalnie przystosowanych ośrodkach w Niemczech, mordując dziesiątki tysięcy ludzi „niewartych życia", czyli osoby niepełnosprawne. W marcu 1940 r. w ramach tego samego programu zamordowano 540 upośledzonych bądź chorych psychicznie pacjentów szpitala psychiatrycznego Kochanówka w Łodzi, głównie dzieci. Realizując program ludobójstwa, Niemcy zaczęli używać zarówno gazów spalinowych, jak i preparatu cyjanowodoru – cyklonu B – do zabijania ludzi w dużych, stacjonarnych komorach gazowych (zaaranżowanych jako zbiorowe łaźnie na kilkaset osób) w niemieckich obozach zagłady i koncentracyjnych. Pierwsze próbne zagazowania w Auschwitz miały miejsce we wrześniu 1941 r. – zginęło wówczas ok. 600 jeńców radzieckich oraz 250 więźniów polskich. W grudniu 1941 r. za pomocą spalin samochodowych zaczęto mordować ludzi w obozie zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem.

Od marca 1942 r. na szeroką skalę komory gazowe działały w obozach zagłady w Bełżcu, Sobiborze, Treblince i Auschwitz-Birkenau. Wtedy stały się one głównym narzędziem realizacji „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej", umożliwiając masowe morderstwa setek tysięcy ludzi przy minimalnym zaangażowaniu fizycznym strażników. W Auschwitz-Birkenau w czterech wielkich komorach gazowych zabijano w ten sposób 2–6 tys. osób dziennie, a łączna liczba ofiar gazowania sięga co najmniej 900 tys. W innych obozach funkcjonowały komory stacjonarne lub mobilne (ciężarówki gazownie). Łączna liczba ofiar niemieckich komór gazowych w całej Europie pozostaje nieznana. Szacuje się, że zamordowano w ten sposób ok. 2,7 mln osób, głównie Żydów, a także Romów, Polaków i jeńców radzieckich.

Gdy klęska Niemiec stawała się nieunikniona, a Armia Czerwona zbliżała się do terenów III Rzeszy, Himmler nakazał SS zniszczenie wszelkich dowodów dotyczących istnienia komór gazowych. Na przełomie 1944 i 1945 r. krematoria w Birkenau rozbierano, a następnie wysadzano. W obozach w Treblince, Sobiborze i Bełżcu zdemontowano wszystkie budynki, zasiano pola, a teren zamaskowano jako gospodarstwa rolne. Ciała ekshumowano z masowych grobów i palono na specjalnych rusztach z szyn kolejowych. Niszczono też dokumenty transportowe i raporty, a wielu świadków – głównie więźniów – zostało zamordowanych.

> Łączna liczba ofiar niemieckich komór gazowych w całej Europie pozostaje nieznana. Szacuje się, że zamordowano w ten sposób ok. 2,7 mln osób, głównie Żydów, a także Romów, Polaków i jeńców radzieckich

Niemcom nie udało się jednak zrealizować swojego celu w 100 proc. Mimo usilnych starań ślady po ich działalności przetrwały i do dzisiaj dają świadectwo tej straszliwej zbrodni.

PLANY KREMATORIÓW

W archiwach niemieckich i zbiorach np. Muzeum Auschwitz zachowały się szczegółowe plany architektoniczne krematoriów nr II i III w Birkenau, które nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do ich przeznaczenia. Plany sporządzone przez Zentralbauleitung der Waffen-SS und Polizei w 1942 r. ukazują podziemne hale oznaczone jako „Leichenkeller" (piwnice zwłok), które zostały zaadaptowane na komory gazowe. Zachowany plan z listopada 1941 r. zawiera zsypy na zwłoki, systemy wentylacyjne, miejsca wsypu cyklonu B oraz hermetyczne drzwi z judaszem do obserwacji wnętrza – wszystko zaprojektowane z myślą o masowej eksterminacji. W liście z 28 czerwca 1943 r. SS-Sturmbannführer Karl Bischoff raportował przełożonym, że cztery krematoria w Birkenau mają zdolność spalenia 4756 ciał dziennie. Tak wielka przepustowość nie była konieczna dla standardowej kremacji zmarłych z naturalnych przyczyn. Tylko masowa eksterminacja mogła uzasadniać takie liczby.

W archiwach zachowała się ogromna liczba źródeł o charakterze technicznym, które jednoznacznie potwierdzają istnienie i sposób działania komór gazowych w niemieckich obozach zagłady, przede wszystkim w Auschwitz-Birkenau, a także w Bełżcu, Majdanku, Sobiborze czy Treblince.

ZAMÓWIENIA I KORESPONDENCJA

Rysunki techniczne to nie wszystko. Zamówienia przemysłowe i dokumenty SS także wskazują, że opisywane miejsca nie były zwykłymi łaźniami, lecz specjalnie zaprojektowanymi komorami śmierci. Jednym z najbardziej wymownych dowodów są dokumenty firmy Topf & Söhne, odpowiedzialnej za budowę pieców krematoryjnych dla Auschwitz-Birkenau. W archiwach zachowały się projekty firmy oraz kluczowa korespondencja. Inżynier Kurt Prüfer w piśmie do SS omawiał konieczność instalacji urządzeń do wtłaczania gorącego powietrza i systemów odprowadzania gazów trujących w piwnicach używanych jako komory. Z kolei dyrektor Ernst Wolfgang Topf pisał 4 listopada 1941 r. do SS w Auschwitz, przekonując, że nowy projekt „będzie bardziej wydajny", uwzględniając nawet zwiększone zużycie paliwa w przypadku „zamarzniętych zwłok". „Zapewniamy – pisał Wolfgang – że dostarczymy odpowiedni i sprawny system. Polecamy się na przyszłość. Heil Hitler!".

ZEZNANIA CZŁONKÓW SONDERKOMMANDO I SS

Sonderkommanda były specjalnymi oddziałami tworzonymi z więźniów obozów zagłady i koncentracyjnych, głównie żydowskiego pochodzenia. Niemcy kazali

eprasa.pl 09487c1694

Puszki po Cyklonie B

im wykonywać najstraszniejsze zadania w obozach zagłady, w tym usuwanie zwłok z komór gazowych i ich spalanie w krematoriach. Filip Müller trafił do Auschwitz w kwietniu 1942 r. z transportem słowackich Żydów, tam otrzymał numer obozowy 29236. Po kilku tygodniach został wyznaczony do Sonderkommando. Najpierw był wśród więźniów budujących krematorium i komory gazowe. Później jego zadaniem było rozbieranie zagazowanych ludzi z ubrań, które następnie dezynfekowano. Potem pracował przy paleniu zwłok. W Sonderkommando był niemal trzy lata, do stycznia 1945 r. Po wojnie uczestniczył w procesach oświęcimskich jako świadek, a w 1979 r. opublikował wspomnienia dotyczące Auschwitz. W swoich relacjach opisał bardzo szczegółowo przebieg egzekucji – od wejścia więźniów do przebranej za łaźnię komory przez wsypywanie gazu aż po usuwanie ciał i ich spalanie.

Podobnie zeznawali inni członkowie Sonderkommando, którym udało się przeżyć, m.in. Henryk Mandelbaum oraz Shlomo Venezia. Co więcej, relacje te pokrywają się z zeznaniami niektórych funkcjonariuszy SS, np. Hansa Müncha, który przyznał, że był świadkiem mordów gazowych, choć sam nie brał w nich udziału. Zeznania składano zaraz po wojnie oraz w trakcie licznych procesów sądowych, m.in. w Norymberdze, we Frankfurcie czy w Polsce. Każde z tych wydarzeń dostarczało ogromną ilość źródeł potwierdzających wykorzystanie komór do masowego mordowania ludzi.

RAPORT WITOLDA I ŚWIADECTWA WIĘŹNIÓW

Rtm. Witold Pilecki dobrowolnie dał się uwięzić w Auschwitz w 1940 r., gdzie zorganizował siatkę konspiracyjną pod nazwą Związek Organizacji Wojskowej i przekazywał meldunki do polskiego podziemia. W swoim obszernym „Raporcie Witolda" sporządzonym po ucieczce w 1943 r. zawarł pierwsze szczegółowe informacje o istnieniu komór gazowych i przemysłowej skali mordów. Pisał: „Pod pretekstem konieczności wykąpania kazano im wszystkim rozbierać się w dwóch osobnych grupach, zachowując pozory poczucia wstydliwości. [...] Po tym setkami osobno kobiety z dziećmi, a osobno mężczyźni szli do baraków, które miały być łaźniami, a były kamerami [komorami – przyp. red.] gazowymi. (Okna były tylko na zewnątrz – były fikcją – wewnątrz był – mur). Po zamknięciu uszczelnionych drzwi, wewnątrz odbywał się masowy mord. Z balkoniku-krużganku ss-mann w masce gazowej wyrzucał na głowy zebranego pod nim tłumu – gaz! [...] Trwało to kilka minut. Czekano minut dziesięć. Następnie wietrzono, otwierano drzwi kamer po przeciwnej stronie od rampy i komanda złożone z żydów przewoziły ciepłe jeszcze ciała taczkami i wagonetkami do pobliskich krematoriów, gdzie trupy szybko spalano. Tymczasem szły do kamer następne setki".

Raport ten trafił do rządu RP na uchodźstwie i dalej do aliantów. Odegrał istotną rolę w ujawnieniu światu rozmiarów Zagłady, jednak mimo usilnych starań Pileckiego nie spotkał się z wystarczającą reakcją, taką jak zbrojne odbicie obozu z rąk Niemców.

Kolejnym wstrząsającym dowodem był dokument przygotowany przez Rudolfa Vrbę i Alfreda Wetzlera, którzy w kwietniu 1944 r. uciekli z Birkenau i dotarli na Słowację. W swoim raporcie opisali mechanizm mordowania za pomocą komór gazowych. Oprócz tego sporządzili schematy obozu, opisy selekcji oraz dane dotyczące transportów. Dokument skłonił aliantów do podjęcia interwencji dyplomatycznych, m.in. u regenta Węgier Horthy'ego, co na pewien czas spowolniło deportacje węgierskich Żydów. Wśród innych świadectw są raporty Jerzego Tabeau i meldunki wysyłane przez konspirację zorganizowaną przez Pileckiego, które regularnie informowały o „ciągłym dymie nad krematoriami". Wszystkie te dokumenty, choć powstawały w ekstremalnych warunkach, zachowały spójność i precyzję, a ich treść została potwierdzona przez powojenne badania archeologiczne i dokumenty SS.

RUINY KREMATORIÓW, ŚLADY CYJANKU

Niemcy do samego końca korzystali z krematoriów na terenie Birkenau. Ostatnie, piąte krematorium zostało wysadzone przez nich w przededniu zajęcia obozu przez Armię Czerwoną, 26 stycznia 1945 r. Mimo zacierania śladów zachowały się ruiny krematoriów o numerach II, III, IV i V. Pozostałości okazały się wystarczające, by potwierdzić układ pomieszczeń zgodny z planami: podziemne komory, szyby wentylacyjne, miejsca na puszki z cyklonem B. Szczegółowe inwentaryzacje potwierdziły zgodność zachowanych ruin z planami z lat 1942–1943.

W 1990 r. Instytut Ekspertyz Sądowych im. Prof. dra Jana Sehna w Krakowie przeprowadził badania chemiczne na tym, co zostało z krematoriów. Wykrył na ścianach obecność związków cyjanku – dokładnie w tych miejscach, w których według planów znajdowały się komory gazowe. Te ślady przetrwały dekady mimo wysadzenia budynków przez Niemców. W szczególności obecność niebieskiego zabarwienia (tzw. błękitu pruskiego) stanowi trwały chemiczny ślad długotrwałego kontaktu z cyjanowodorem.

Komory gazowe istniały. To nie jest kwestia interpretacji, opinii czy przypuszczeń. To fakt potwierdzony przez tysiące dokumentów, świadectw i dowodów rzeczowych. Negowanie ich istnienia w żadnym wypadku nie jest dyskusją historyczną. W Polsce negowanie Holokaustu jest przestępstwem, co znajduje wyraz w art. 55 ustawy o IPN. Ale niezależnie od prawa, jest to przede wszystkim kwestia uczciwości moralnej. A kłamstwo wymaga jednoznacznego i stanowczego sprzeciwu.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 09487c1694

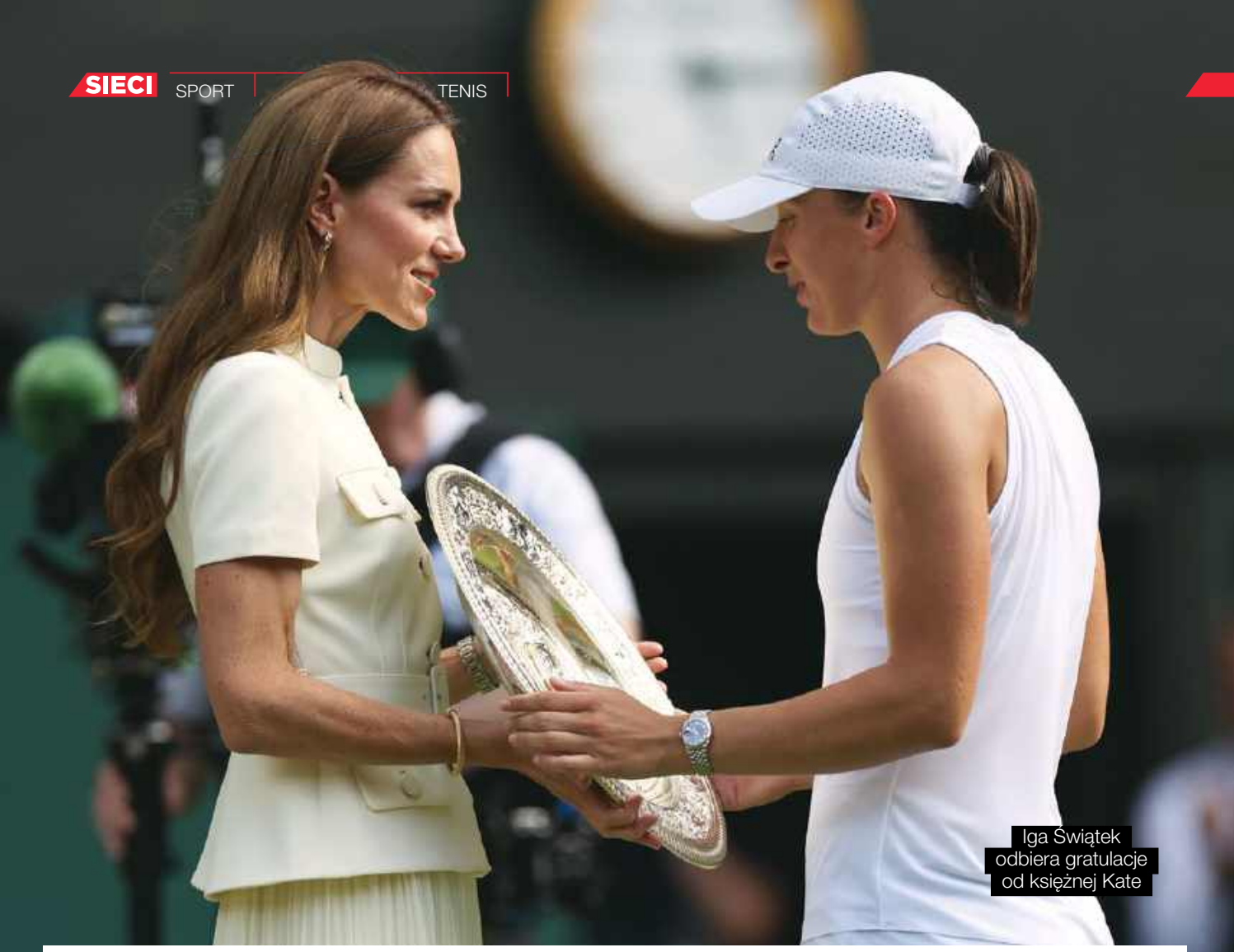

Iga Świątek odbiera gratulacje od księżnej Kate

Polska królowa Wimbledonu

14 lipca 2018 r. Iga Świątek pokonuje w finale juniorskiego Wimbledonu Leonie Küng i rozpoczyna seniorską przygodę. 17-letniej tenisistce z Raszyna wieszczy się wielką karierę. 12 lipca 2025 r. Iga pokonuje w finale Wimbledonu Amandę Anisimovą i zdobywa szósty tytuł wielkoszlemowy. W jej przypadku rzeczywiste osiągnięcia przebiły oczekiwania sprzed lat

MICHAŁ MUZYCZUK

All England Lawn Tennis and Croquet Club – na tych londyńskich kortach od 1877 r. jest organizowany Wimbledon, najstarszy turniej tenisowy na świecie, zwany dumnie The Championships. To tutaj Iga Świątek rozpoczęła swoją wielką karierę przed siedmioma laty, to tutaj po ostatnich niełatwych miesiącach udowodniła, że ta kariera trwa w najlepsze.

To zaskakujące, bo dotychczas Iga wyraźnie preferowała grę na mączce, na ukochanych kortach Rolanda Garrosa. Wielokrotnie sama to podkreślała, mówiąc: „Kocham Paryż, uwielbiam tu grać" – bo właśnie we French Open triumfowała aż czterokrotnie. Jej styl gry bazujący na agresywnym forhendzie z dużą

Fot. Ella Ling/Shutterstock/East News

eprasa.pl 09487c1694

rotacją i świetnym przygotowaniu motorycznym idealnie pasuje do wolniejszej mączki, która pozwala budować długie wymiany. Eksperci wskazywali, że jej gra nie zawsze się sprawdza na szybszej trawie, gdzie piłka odbija się niżej. Wcześniej w Wimbledonie dotarła maksymalnie do czwartej rundy. Sama przyznawała, że „daje sobie czas, żeby nauczyć się grać na tej nawierzchni". Tegoroczne zwycięstwo pokazuje, że Iga już się nauczyła trawy – co więcej, została jej królową.

DROGA NA SZCZYT

Mistrzyni Wimbledonu pochodzi ze sportowej rodziny. Ojciec Tomasz był wioślarzem i startował na igrzyskach olimpijskich w Seulu w 1988 r., więc chciał zarazić swoje córki sportową pasją. Siostra Agata przecierała przed Igą szlaki na kortach, bo jako starsza z rodzeństwa pierwsza próbowała swojego szczęścia z rakietą w dłoni. Iga miała smykałkę do tenisa, ale do swoich wyników doszła nie tylko talentem, lecz także ciężką pracą – początkowo wcale nie była uznawana za najlepszą w swoim roczniku. Jako 15-latka wygrała pierwszy zawodowy turniej, w którym wzięła udział, a rok później doszła do półfinałów juniorskiego Wimbledonu i US Open w grze podwójnej. W 2017 r. zagrała w deblowym finale juniorskiego Australian Open, z kolei jako 17-latka sięgnęła po juniorski tytuł w deblu we French Open. Chwilę później przyszedł największy sukces wychowanki Legii Warszawa, czyli wspomniane juniorskie zwycięstwo w Wimbledonie. To po nim zadecydowała o rozpoczęciu kariery seniorskiej.

Iga Świątek nie była pierwszą Polką, która wygrała wielkoszlemowy turniej juniorski. Na kortach Wimbledonu triumfowały Aleksandra Olsza (1995 r.) oraz obie siostry Radwańskie (Agnieszka w 2005 r., Urszula w 2007 r.). Agnieszka zwyciężyła również we French Open w 2006 r., z kolei Magdalena Grzybowska była najlepsza w Australian Open w 1996 r. Oczywiście juniorskie laury nie zawsze przekuwają się w sukcesy w seniorskim tenisie. W przypadku Igi Świątek ostrożność w przewidywaniach przyszłych triumfów okazała się zbędna. Polka szybko rozpoczęła marsz na szczyt, a w latach 2022–2024 dominowała w światowym tenisie. W czerwcu 2024 r. Iga wygrała po raz czwarty w karierze i jednocześnie po raz trzeci z rzędu French Open.

Od tamtego czasu aż do triumfu w Wimbledonie nie wygrała żadnego turnieju. Oczywiście nie można popadać w dramatyczne tony, bo przecież półfinały Australian Open, French Open oraz prestiżowych turniejów w Dosze, Indian Wells i Madrycie to nie byle co. Ale kibice, rozpieszczeni sukcesami Polki, zadawali sobie pytanie – co się wydarzyło, że kariera Igi znalazła się na zakręcie?

TRENERSKIE PRZESILENIE

Po ubiegłorocznym triumfie w Paryżu Iga doszła do trzeciej rundy Wimbledonu, zdobyła brązowy medal na igrzyskach olimpijskich w Paryżu i odpadła w ćwierćfinale US Open. Wtedy doszło do pierwszego przesilenia.

W październiku 2024 r. gruchnęła wieść o wielkiej zmianie w sztabie szkoleniowym polskiej tenisistki – Iga zakończyła współpracę z trenerem Tomaszem Wiktorowskim. Ta decyzja była sporym zaskoczeniem dla wielu fanów i ekspertów, zważywszy na ogromne sukcesy, które wspólnie odnieśli od grudnia 2021 r. Wiktorowski zastąpił wtedy Piotra Sierzputowskiego, pod okiem którego Iga wygrała pierwszy wielkoszlemowy turniej – French Open w 2020 r.

> Belg postawił na szybkie zdobywanie punktów i skracanie wymian. Iga częściej gra przy siatce, przez co przejmuje inicjatywę i atakuje piłkę, zanim ta zdąży się wysoko odbić. To wymaga błyskawicznych decyzji i wysokiej precyzji, ale zwiększa presję na rywalkach

Po triumfie w Paryżu Świątek stała pierwszym indywidualnym polskim triumfatorem turnieju wielkoszlemowego. Nie dokonała tego chociażby Jadwiga Jędrzejowska, bez dwóch zdań najlepsza polska tenisistka XX w., pierwsza rodzima gwiazda tenisa o międzynarodowej sławie, która była znana również ze swojego konspiracyjnego zaangażowania podczas II wojny światowej. Nie udało się to także Agnieszce Radwańskiej, która przecież w 2012 r. znalazła się na drugim miejscu w światowym rankingu i doszła do finału Wimbledonu.

Tomasz Wiktorowski stworzył sztab wespół z Maciejem Ryszczukiem, trenerem od przygotowania fizycznego, i psycholożką Darią Abramowicz. Iga osiągnęła absolutny szczyt formy w 2022 r., kiedy zdominowała światowe korty. Wygrała wtedy 37 meczów z rzędu, zwyciężyła we French Open i US Open, stała się numerem jeden w rankingu WTA. W okresie kwiecień 2022 – październik 2024 r. z krótką dwumiesięczną przerwą na jesieni 2023 r. znajdowała się na jego czele. Łącznie liderowała tej klasyfikacji przez 125 tygodni – zajmuje pod tym względem siódme miejsce w historii kobiecego tenisa.

Skoro było tak dobrze, to dlaczego w październiku 2024 r. doszło do zmiany trenera? Najprostsza odpowiedź: doszło do zmęczenia materiału. Iga sama przyznała, że „nie planowała zmieniać trenera w tym sezonie, ale stanęliśmy w obliczu sytuacji, że musieliśmy". Z kolei Wiktorowski zaznaczył, że decyzja o zakończeniu współpracy „była po prostu koniecznością" i została przemyślana.

BELGIJSKIE PORZĄDKI

Nowym szkoleniowcem został Wim Fissette, doświadczony belgijski trener, który wcześniej pracował z wieloma utytułowanymi tenisistkami (Kim Clijsters, Wiktoria Azarenka, Simona Halep, Angelique Kerber, Naomi Osaka). Potrzeba było nowego impulsu do dalszego rozwoju, zwłaszcza że rywalki zaczęły odrabiać straty do dominującej wcześniej Igi. Problemy z serwisem czy nerwowością na korcie były tymi najbardziej zauważalnymi. Jedną z najbardziej widocznych zmian, które wprowadził Fissette, był nacisk na bardziej agresywną

eprasa.pl 09487c1694

grę. Pod okiem Wiktorowskiego Świątek dominowała poprzez budowanie wymian, rotację i umiejętności defensywne, Belg postawił na szybkie zdobywanie punktów i skracanie wymian. Iga częściej gra przy siatce, przez co przejmuje inicjatywę i atakuje piłkę, zanim ta zdąży się wysoko odbić. To wymaga błyskawicznych decyzji i wysokiej precyzji, ale zwiększa presję na rywalkach.

Serwis Świątek musiał zacząć się sprawdzać na szybszych nawierzchniach. Fissette zwiększył skuteczność i moc pierwszego podania oraz wprowadził większą różnorodność w drugim. Nowy trener wdrożył konkretne strategie i techniki dostosowane do specyfiki trawy: niższe pozycjonowanie, szybszą reakcję, mniej rotacyjnych piłek na rzecz większej liczby płaskich i silnych uderzeń, większą ruchliwość zamiast ślizgania się.

Maciej Ryszczuk pozostał w sztabie jako odpowiedzialny za przygotowanie fizyczne, Daria Abramowicz wciąż odpowiada za aspekt psychologiczny. Ale doświadczenie Fissette w pracy z zawodniczkami, które mierzyły się z ogromną presją i oczekiwaniami, jest bezcenne. Pomogło Idze w utrzymaniu „mentalności zwycięzcy" niezależnie od warunków. Ale żeby te wszystkie zmiany stały się zauważalne w grze Świątek, potrzeba było czasu.

AFERA (NIE)DOPINGOWA

Nowy trener to jedno, ale chwilę później gruchnęła kolejna bomba. Pod koniec listopada 2024 r. świat obiegła wiadomość o pozytywnym wyniku testu antydopingowego Igi. W próbce pobranej 12 sierpnia 2024 r. przed turniejem w Cincinnati wykryto śladowe ilości zakazanej trimetazydyny (TMZ). Polka i jej sztab natychmiast rozpoczęli wyjaśnianie sytuacji, bo przecież tenisistka nigdy świadomie nie przyjęła tej substancji. Okazało się, że trimetazydyna znalazła się w jej organizmie poprzez zanieczyszczony lek z melatoniną, który Iga stosowała od lat. Władze tenisowe uznały tę argumentację i przedstawione dowody, a na Polkę nałożono miesięczne zawieszenie, czyli najniższy możliwy wymiar kary w takich przypadkach. Najważniejsze jest to, że Iga została całkowicie oczyszczona z zarzutów o świadome stosowanie dopingu. Natomiast cała sytuacja i konieczność walki o dobre imię były dla niej dużym szokiem, więc musiały mieć jakiś wpływ na mental.

PRZEŁOMOWY WIMBLEDON

Iga Świątek przystępowała do Wimbledonu 2025 z nowym trenerem, po dopingowych perturbacjach i w okresie, w którym jej forma nie pozwalała dominować na światowych kortach. Przed Wimbledonem zajmowała ósmą pozycję w rankingu i z takim numerem była rozstawiona w turnieju, co potencjalnie mogło skutkować trudniejszymi rywalkami już we wcześniejszych rundach. Ale Polka przeszła przez drabinkę turniejową z wielką swobodą, tracąc w całych rozgrywkach zaledwie jednego seta. W wielkim finale zmierzyła się z Amandą Anisimovą, którą zdeklasowała, wygrywając 6:0, 6:0. Mecz trwał zaledwie 57 min, a Anisimova, która zagrała w swoim pierwszym finale Wielkiego Szlema, nie była w stanie nawiązać walki z bardziej utytułowaną Polką. W erze open (od 1968 r.) to dopiero drugi przypadek, kiedy zwyciężczyni turnieju kobiet zaliczyła mecz bez straty gema w finale Wielkiego Szlema (wcześniej dokonała tego Steffi Graf we French Open 1988).

Po zwycięstwie przeszczęśliwa Iga mówiła, że niespodziewany triumf „wydaje się zupełnie surrealistyczny" i jest z niego autentycznie dumna. „Czuję, że tenis wciąż mnie zaskakuje, a ja wciąż zaskakuję samą siebie" – te słowa najlepiej oddają, jak wielkim osiągnięciem jest dla 24-latki zwycięstwo na londyńskich kortach. Wygrana w finale była dla Świątek setnym zwycięstwem w meczach wielkoszlemowych i, co ważniejsze, pierwszym triumfem na trawiastej nawierzchni. Tym samym Iga skompletowała wielkoszlemowe zwycięstwa na wszystkich nawierzchniach (mączka w Paryżu, korty twarde w Nowym Jorku, trawa w Londynie) jako ósma tenisistka w historii. Podobną drogę przebył kiedyś idol Polki Rafael Nadal, który przez lata nie miał sobie równych na mączce, ale dopiero triumf w Wimbledonie w 2008 r. uczynił go tenisistą kompletnym.

„Na Roland Garros wiem, że potrafię grać dobrze i wiem, że mogę to pokazać co roku. Tutaj nie byłam tego pewna. Musiałam to sobie udowodnić" – komentowała wygraną Iga. Jeśli wreszcie zwycięży w Australian Open, skompletuje całego Wielkiego Szlema, o czym zapewne marzy. Dotychczasowe sześć wielkoszlemowych tytułów (100 proc. skuteczności w finałach!) daje Polce 11. miejsce w tabeli wszech czasów.

Liczby Igi Świątek

1 medal Igrzysk Olimpijskich (brąz 2024)
5 lat – wiek, w którym zaczęła trenować tenisa
6 triumfów w turniejach Wielkiego Szlema (4 – French Open, 1 – Wimbledon, 1 – US Open)
23 wygrane turnieje w ramach WTA
37 zwycięskich meczów z rzędu (luty–lipiec 2022 r.)
39,47 mln dol. wygranych w karierze
125 tygodni jako liderka rankingu WTA

TO DOPIERO POCZĄTEK…

Pomimo ogromnych sukcesów i globalnej sławy, Iga jest osobą skromną, empatyczną i stroniącą od blasku fleszy poza kortem. Chociaż wciąż jest typem introwertyczki, na tegorocznym Wimbledonie kilkakrotnie skradła serca dziennikarzy – gdy mówiła o makaronie z truskawkami jako ulubionym daniu z dzieciństwa i gdy została przyłapana na podkradaniu ręczników, co skwitowała komentarzem na temat ich wyjątkowego komfortu, gdy czarująco zaprezentowała się podczas tradycyjnego tańca zwycięzców na balu mistrzów, na którym partnerował jej Jannik Sinner.

Iga Świątek udowodniła, że jest wszechstronną tenisistką, zdolną do dominacji na każdej nawierzchni, a triumf w tegorocznym Wimbledonie jest potwierdzeniem jej niezłomnej woli, wagi doskonałego przygotowania i zdolności do ciągłego rozwoju pod okiem odpowiednich ludzi.

Oddajmy głos samej zainteresowanej: „Muszę przyznać, że wygrana w Wimbledonie była ostatnia na mojej liście marzeń, bo po prostu myślałam, że będzie najtrudniejsza, najbardziej podchwytliwa. To oznacza, że zawsze powinnam wierzyć, bo jeśli dostosowałam swoją grę do gry na trawie, to myślę, że wszystko jest możliwe". Polka ma zaledwie 24 lata, a już jest legendą i osiągnęła w tenisie więcej niż ogromna większość zawodniczek w ciągu całej swojej kariery. Tak więc jednego możemy być pewni – to nie koniec.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 09487c1694

Spokojny człowiek na nerwowe czasy

Po wielotygodniowej operze mydlanej z Polskiego Związku Piłki Nożnej wreszcie napłynęły informacje, na które czekaliśmy – reprezentacja ma nowego selekcjonera. Nie jest to nazwisko z pierwszych stron gazet, nie jest to utytułowany trener z zagranicy, nie jest to nawet pierwszy wybór rządzącego polską piłką Cezarego Kuleszy. Ale Jan Urban to człowiek, któremu na pewno warto dać szansę

MICHAŁ MUZYCZUK

Bezkrólewie w kadrze trwało od niesławnego konfliktu Michała Probierza z Robertem Lewandowskim. Przypomnijmy: były już selekcjoner podjął radykalną decyzję o odebraniu „Lewemu" opaski kapitańskiej, a ten w odpowiedzi zrezygnował z gry w kadrze. Przepychanki głównych bohaterów dramatu stały się najważniejszym punktem serwisów informacyjnych w Polsce.

Probierz nie mógł wygrać starcia z Lewandowskim i nie było innego wyjścia – konflikt zakończył się 12 czerwca rezygnacją tego pierwszego z funkcji selekcjonera. Rozstanie z reprezentacją nastąpiło w atmosferze skandalu, a klimat wokół kadry stał się napięty do granic możliwości. Stołek selekcjonera stał się gorącym stanowiskiem i parzył potencjalnych kandydatów.

TRUDNE WYBORY

Cezary Kulesza przez pięć tygodni kręcił się bez celu w sprawie wyboru selekcjonera. Po drodze zdążył wygrać wybory na kolejną kadencję jako prezes PZPN, w których nie miał kontrkandydata, i jednocześnie przegrać, jeśli chodzi o personalia dotyczące wiceprezesów, bo żaden z wytypowanych przez niego ludzi nie znalazł uznania w oczach związkowych delegatów. To efekt rywalizacji związkowego betonu ze środowiskiem klubów piłkarskich, które chcą mieć większy wpływ na kształt polskiej piłki. Kasta działaczy baronów okazała się niejednomyślna i w zarządzie PZPN doszło do rewolucyjnych zmian w składzie. Związkowcy ponieśli porażkę w starciu z praktykami, a Cezary Kulesza musiał przełknąć tę gorzką pigułkę. Wyniki zjazdu delegatów PZPN to dla niego prawdziwie pyrrusowe zwycięstwo, ale na polską piłkę mogą mieć zbawienny wpływ.

Kulesza liczył przede wszystkim na Macieja Skorżę jako potencjalnego selekcjonera, ale szkoleniowiec japońskiego Urawa Red Diamonds dał kosza białostockiemu działaczowi. Na giełdzie nazwisk pojawiali się Adam Nawałka, Jerzy Brzęczek czy Marek Papszun. O zagranicznych szkoleniowcach było zdecydowanie ciszej, bo pamięć o fatalnych kadencjach Fernanda Santosa i Paulo Sousy jest zbyt bolesna, a Kulesza zwyczajnie preferuje pracę z krajowymi trenerami.

Cezary Kulesza, prezes PZPN, i Jan Urban, nowy selekcjoner reprezentacji Polski

Ostatecznie 16 lipca zatrudnienie Jana Urbana na najbardziej newralgicznym szkoleniowym stanowisku stało się faktem. I trudno nie uznać, że jest to człowiek, który na taką szansę zwyczajnie zasłużył. A reprezentacja, będąca ostatnio urzeczywistnieniem słowa „nijakość", zasługuje na Urbana. Wreszcie przyszła pora na posłańca dialogu i spokoju, bo reguła „dziel i rządź" ostatnio się u nas nie sprawdza. Na myśl o klimacie wokół kadry usta same wykrzywiają się w grymasie. Debiut 63-letniego Urbana przy-

Fot. Adam Burakowski/East News

eprasa.pl 09487c1694

padnie na wrześniowy mecz eliminacji do MŚ 2026 z Holandią – nowy selekcjoner poprowadzi reprezentację jako najstarszy Polak w historii.

BEZKONFLIKTOWY I SYMPATYCZNY

W kontekście cech nowego selekcjonera najczęściej przewijają się określenia typu „bezkonfliktowy" czy „sympatyczny". Ciężko znaleźć ludzi, którzy nie lubią Jana Urbana lub takich, którym zaszedł za skórę, bo trener zwyczajnie nie ma wrogów. W zasadzie wszyscy wypowiadają się o nim jako o człowieku, z którym łatwo znaleźć wspólny język i dojść do konsensusu, trenera niedążącego do konfliktów i starć, fachowca nieszukającego problemów tam, gdzie ich nie ma. Ale to nie oznacza mięczaka, który boi się nieporozumień, a na niwie trenerskiej nie jest w stanie wymagać od piłkarzy zaangażowania i ciężkiej pracy. Urban potrafi usiąść i porozmawiać z każdym podopiecznym, a ów dialog poprowadzić w taki sposób, żeby osiągnąć cel, czyli dobro drużyny. I nie jest to cecha, która została nabyta i jest wykorzystana w cyniczny sposób – Jan Urban to najzwyczajniej w świecie miły gość, z którym dobrze jest porozmawiać o piłce.

To również zbawienny wpływ Hiszpanii i panującego tam stylu życia, a przecież ojczyzna Don Kichota od trzech i pół dekady jest drugim domem Urbana. Kiedy w latach 90. wracał z Półwyspu Iberyjskiego do panującej w Polsce szarzyzny, ukuto pseudonim „Janek Słońce", bo mimo przygnębiającego otoczenia Urban zawsze emanował pogodą ducha.

LEGENDA TRZECH KLUBÓW

Nowy selekcjoner to przypadek szkoleniowca, który lepiej radził sobie jako zawodnik niż trener – a przynajmniej jest mocniej zapamiętany jako piłkarz. Ma status legendy co najmniej w trzech klubach. Pierwszym jest Zagłębie Sosnowiec.

Jan Urban urodził się w 1962 r. w Jaworznie, w górniczej rodzinie. W wieku nastoletnim dostał nawet etat na kopalni, tyle że jako obiecujący piłkarz odrabiał go na murawie. Do 19. roku życia trenował i grał w jaworznickiej Victorii, a stamtąd przeniósł się do Zagłębia Sosnowiec. Spędził w tym klubie cztery sezony, podczas których dał się poznać jako przebojowy boczny pomocnik. W tym czasie powiedział również sakramentalne „tak" swojej ukochanej Zofii. Chociaż spóźnił się na własny ślub, bo Zagłębie grało z Legią, wybranka serca wybaczyła mu i są razem do dziś. Piąte miejsce w sezonie 1984/1985 wciąż pozostaje ostatnim poważnym osiągnięciem zespołu znad Brynicy, a w trakcie tamtych rozgrywek Urban zadebiutował w reprezentacji Polski. Przed kolejnym sezonem zawodnik miał trafić do Lecha Poznań, ale o 23-latka upomniała się Legia Warszawa. Centralny Wojskowy Klub Sportowy mógł zmusić zawodnika do transferu poprzez wcielenie go do wojska. Jedyną siłą mogącą się przeciwstawić Legii były kluby z Górnego Śląska, powiązane z tak ważnym dla socjalistycznej Polski ciężkim przemysłem. Tym samym Urban nie trafił ani na Mazowsze, ani do Wielkopolski, lecz z Sosnowca przeniósł się do leżącego nieopodal Zabrza.

W Górniku w 124 meczach trafił do bramki aż 54 razy. Był kluczową postacią ostatniej inkarnacji Wielkiego Górnika, bo w latach 1986–1988 sięgnął z zespołem po trzy mistrzostwa z rzędu. Był niezastąpiony na lewym skrzydle, a wspólnie z Andrzejem Iwanem tworzył nieformalne kierownictwo drużyny.

W 1989 r. Urban trafił do trzeciego klubu, gdzie jest wspominany chyba jeszcze cieplej niż w Sosnowcu i Zabrzu. W hiszpańskiej Pampelunie, rozsławionej na cały świat przez gonitwę byków i ludzi ulicami miasta, zawodnik dokonał wielkich rzeczy. Został przekwalifikowany na napastnika i w sezonie 1990/1991 przyczynił się do zajęcia przez Osasunę czwartego miejsca w La Lidze, najlepszego w dziejach. W historii klubu na zawsze zapisała się data 30 grudnia 1990 r., kiedy Urban ustrzelił swojego jedynego hat tricka w karierze. Dokonał tego w Madrycie na Santiago Bernabéu przeciwko potężnemu Realowi. W tamtym czasie wszechstronnym Polakiem interesowały się największe kluby, w tym FC Barcelona. Urban grał w Hiszpanii przez siedem lat, a w tamtejszej ekstraklasie zdobył niemal 50 goli – rekord pozostał niepobity przez trzy dekady, aż do pojawienia się na Półwyspie Iberyjskim Roberta Lewandowskiego.

Urban zakończył piłkarską karierę w 1998 r., rozgrywając kilkanaście meczów dla pogrążonego w kryzysie Górnika Zabrze. W reprezentacji po raz ostatni raz zagrał w 1991 r. przeciwko Anglii, a jego bilans w kadrze zatrzymał się na 57 spotkaniach i 7 bramkach.

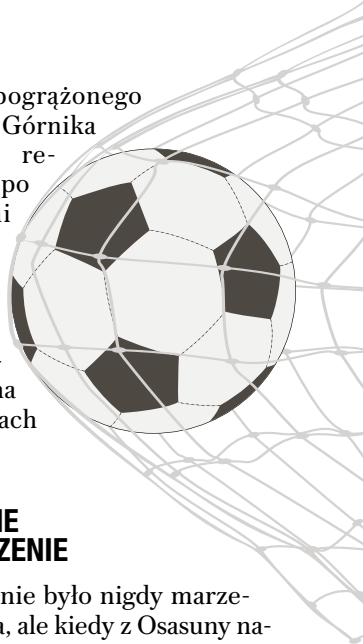

TRENERSKIE PRZEZNACZENIE

Trenerstwo nie było nigdy marzeniem Urbana, ale kiedy z Osasuny nadeszła propozycja pracy z juniorami, postanowił z niej skorzystać. Z klubem z Pampeluny udało mu się sięgnąć po mistrzostwo Hiszpanii juniorów, a na Półwyspie Iberyjskim zapuścił korzenie i do dziś spędza tam dużą część roku.

W 2007 r. Urban wrócił do Polski, obejmując posadę trenera Legii Warszawa i do dziś – z nieudanym półrocznym epizodem w roli pierwszego trenera Osasuny na przełomie 2014 i 2015 r. – jest obecny w polskiej piłce klubowej. Największym sukcesem Urbana jest z pewnością sezon 2012/2013, kiedy pod jego wodzą Legia sięgnęła po mistrzostwo kraju i Puchar Polski, rozpoczynając tym samym najlepszą dekadę w dziejach klubu. Udało mu się też przeprowadzić Górnik Zabrze przez kryzysy, które dotknęły klub w ostatnich latach.

Kiedy Urban poczuł, że krajowe piekiełko mu nie służy, a trenerska karuzela kręci się, byle się kręcić, potrafił zrobić sobie trzy lata przerwy od posady głównego trenera. Jaworznianin nie robi niczego na siłę, bo nie musi. Urban ma w sobie pokorę, a także pewność siebie.

Jest zwolennikiem gry bazującej na posiadaniu piłki i cierpliwej budowie ataków, bo tego nauczył się w Hiszpanii. Dobrze zna wagę dobrego sztabu szkoleniowego, a w wyprowadzaniu kadry na prostą pomogą mu dobrzy znajomi: Jacek Magiera, Marcin Prasoł, Grzegorz Staszewski, Cesar Sanjuan-Szklarz i Józef Młynarczyk. Wszyscy marzymy o tym, żeby wokół reprezentacji wreszcie zapanował spokój, który jak nic innego sprzyja dobrym wynikom.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 09487c1694

Kot i ludzie, razem i osobno

Żbik europejski (*Felis sylvestris*)

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Historia udomowienia kota jest zagmatwana i zaskakująca. Kolejne zwroty i odkrycia prowadzą raczej do kolejnych pytań niż definitywnych odpowiedzi. Czy pochodzą od żbika i zamieszkały z ludźmi już 10 tys. lat temu w rejonie Mezopotamii?

Dzieje udomowienia poszczególnych gatunków zwierząt są pełne rozległych, białych plam. Bardziej niejasne są chyba tylko dzieje rodzaju ludzkiego. Czy także konie, krowy, psy, owce i tytułowe koty są wyjątkami wśród żywych organizmów, szczególnie trudnymi do prześledzenia – zarówno pod kątem historii naturalnej, jak i etapów prowadzących do osiągnięcia dzisiejszej postaci i roli na Ziemi?

Czy dzieje np. kotów domowych są bardziej zawikłane niż dzieje jaguarów? Byłby to wielki przypadek, który należy wykluczyć. Dlaczego więc liczba pytań zdaje się przewyższać liczbę odpowiedzi?

Wyjaśnieniem jest bardzo specyficzna właściwość wiedzy. Im bardziej coś badamy, im bardziej dociekamy, tym bardziej każda odpowiedź lub możliwa do przyjęcia hipoteza wyłania kolejne pytania. Czasem wydaje się, że „wiem, że nic nie wiem" istotnie jest najwyższą możliwą do osiągnięcia formą poznania.

Ludzie, konie, psy czy koty siłą rzeczy interesują nas najbardziej. W przypadku wielu innych gatunków zadowalamy się faktem, że istnieją. Ewentualnie, wnikając w ich przeszłość, zatrzymujemy się na ogólnym stwierdzeniu o jakimś bliżej nieokreślonym przodku, który żył ileś tysięcy lat temu. Mało kto wnika w to, czy prażubr różnił się od współczesnego żubra, czy był jego przodkiem, czy też odrębnym gatunkiem. Nawiasem mówiąc, taka wiedza bywa przydatna w ochronie gatunków ginących – niekiedy brak sukcesów hodowlanych wynika właśnie z faktu, że chcąc w niewoli odtworzyć populację, by później przywrócić ją naturze, kojarzy się zwierzęta w sposób będący ślepym zaułkiem, rozmywając i tracąc unikalne geny, i tym bardziej przyspieszając ich wyginięcie.

W przypadku znanych nam i bliskich gatunków próbujemy zdobyć jak najwięcej odpowiedzi. Czy człowiek z chińskiej Jaskini Jelenia to *Homo sapiens*, a może zupełnie odrębny gatunek? Czy hobbici z indonezyjskiej wyspy Flores byli osobnym taksonem, formą wyspiarską, czy ludźmi cierpiącymi na jakąś przypadłość? Zaraz potem pojawia się Jaskinia Denisowa. Kto ją zamieszkiwał? Trzy różne gatunki ludzi, potomkowie tych gatunków czy w ogóle przedstawiciele wcześniejszej linii ewolucyjnej? Zamiast ogólnego określenia „praczłowiek" szukamy odpowiedzi i mnożymy pytania. Z kotem jest podobnie.

NIEZALEŻNA NATURA

Na samym początku może się rodzić inne pytanie – czy kot rzeczywiście został udomowiony. A może jest po prostu zwierzęciem, które nauczyło się żyć z człowiekiem, lecz wcale udomowione nie jest. Nie chodzi tu o rozważania snute przez właścicieli kotów o ich niezależności i niepoddającej się rozmaitym więzom naturze. A może trochę tak, lecz w pogłębionym sensie. Populacje kotów żyjących dziko w miastach nastręczają wielu problemów przyrodnikom i prawnikom. Jeżeli gdzieś błąka się pies, nie ma wątpliwości, że jest to zwierzę bezdomne. Z kotami jest inaczej. Tworzą populacje, które są dzikie i niezależne, korzystające co najwyżej z sąsiedztwa ludzi, tak jak np. dziki. Ma to również odzwierciedlenie w prawie, które, próbując posiłkować się sprzecznymi danymi przyrodniczymi, w przypadku kotów co chwilę utyka, nie mogąc jednoznacznie stwierdzić, czy mamy do czynienia ze zwierzęciem dzikim (tak klasyfikuje się niektóre koty), bezdomnym, które przypadkiem trafiło do natury, a może domowym.

Co jakiś czas słyszy się o stadzie krów lub pojedynczych osobnikach, które wybrały wolność, żyjąc poza gospodarstwem, oborą i codziennym dojeniem. Ich przyrodniczy i prawny status nie budzi wątpliwości. To krowy, które żyją bez opieki człowieka. Określanie ich dzikimi nawet nie przychodzi na myśl, a tym bardziej nikt nie widzi w nich potomków turów wracających do macierzy.

ŚLADY Z PRZESZŁOŚCI

Zakładając jednak, że kot został udomowiony, albo przyjmując, że nauczył się żyć wśród ludzi, rodzi się pytanie, kiedy i gdzie to się stało? Jeszcze do niedawna przyjmowano, że kot to udomowiony żbik (*Felis sylvestris*). Żbik jest gatunkiem europejskim – czy zatem kota udomowiono w Europie? Tego nigdy nie zakładano. Skąd więc założenie o pochodzeniu kota od żbika?

Wytłumaczeniem jest nie tylko ich zewnętrzne podobieństwo, lecz także zdolność krzyżowania się – będąca zresztą wielkim zagrożeniem dla bardzo rzadkich już żbików. Dziś trudno nawet powiedzieć, czy np. w Polsce żyją żbiki czystej krwi, czy też ich wyjątkowe geny przepadły na skutek wielopokoleniowej styczności z kotami domowymi.

Zakładano więc, że kot pochodzi od żbika, najprawdopodobniej od jego afrykańskiej lub bliskowschodniej odmiany. Do czasu, kiedy okazało się, że zwierzę, które nazywaliśmy żbikiem, to co najmniej kilka różnych gatunków. Sam żbik, chyba najbardziej zagadkowy, najsłabiej poznany, a może też najbardziej zagrożony drapieżnik naszego kontynentu, żyje w Europie. Drugi podgatunek żbika zamieszkuje Kaukaz i Turcję. Pozostałe gatunki zaliczane dawniej do żbików żyją w Azji i w Afryce.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 09487c1694

Kot nubijski (*Felis catus*)

Niektórzy naukowcy – zarówno na podstawie znalezisk, jak i obecności kota w mitach – zakładali, że do jego udomowienia doszło kilka tysięcy lat temu.

TROP MEZOPOTAMSKI

Obecnie przyjmuje się, że przodkiem kota domowego, opisywanego aktualnie jako osobny takson (*Felis catus*), jest kot nubijski, a dokładnie jego podgatunek występujący w północnej i środkowej części Afryki i na Bliskim Wschodzie. Implikacje tego są intrygujące, możemy bowiem spojrzeć na koty żyjące w piwnicach i na podwórkach jak na populację egzotycznych drapieżników. Ponadto niosą ze sobą zabójcze konsekwencje: ten niezwykle plastyczny gatunek pod postacią kota domowego liczy obecnie kilkaset milionów osobników na całym świecie. Na skutek swojej liczebności i niepohamowanych zdolności łowieckich jak mało który niszczy ekosystemy i wybija inne gatunki, gdziekolwiek się pojawi – a pojawił się już niemal wszędzie.

Założenie o pochodzeniu kotów domowych od tych nubijskich pasuje do hipotezy, według której kota udomowiono ok. 10 tys. lat temu w rejonie Mezopotamii. W tym samym czasie i rejonie powstawały najdawniejsze cywilizacje, a ludzie z łowców i zbieraczy przemieniali się w rolników uprawiających zboża. W przybliżeniu zbiega się to zresztą w czasie z okresem, kiedy zboża wyhodowane z dzikich traw zaczęły się stawać podstawą wyżywienia ludzi. Uprawa zbóż wiąże się oczywiście ze zbieraniem plonów. Bardzo cennych, wymagających ochrony, a mających tę dodatkową zaletę, że da się je przechowywać przez długi czas bez zepsucia, zapewniając sobie kaloryczne pożywienie na nieurodzajne lata.

Duże plony i coraz większe skupiska osiadłych ludzi wymagały coraz większych spichlerzy. Pełnych ziarna – na które łasy był nie tylko człowiek, lecz także gryzonie, które są jedną z naturalnych ofiar kotów.

Połączenie współczesnego stanu wiedzy o kotach i początkach cywilizacji bazujących na uprawie zbóż czyni założenie o mezopotamskim pochodzeniu kota całkiem prawdopodobnym. Związek człowieka z kotem mógł się pojawić właśnie w tym miejscu i czasie, kiedy jednocześnie, w sposób wzajemnie z siebie wynikający i ściśle związany, zaczęły się kształtować cywilizacje tworzące rosnące skupiska ludzi, których pożywieniem stały się zboża gromadzone w spichlerzach.

A MOŻE BYŁO INACZEJ?

Oczywiście nie świadczy to o tym, że wiemy wszystko o udomowieniu kotów. Po pierwsze, dalsze postępy nauk przyrodniczych, w tym genetyki, mogą wskazać na inny podgatunek lub gatunek niewielkich kotów jako na przodków zwierzęcia udomowionego.

Nie można również wykluczyć wersji, że koty dotarły w rejon Żyznego Półksiężyca np. z koczowniczymi plemionami. To, że dotąd nie znaleziono śladów, które by na to wskazywały, nie byłoby niczym dziwnym. Znacznie łatwiej natrafić na szczątki kotów w pierwszych miastach niż gdzieś na stepach w miejscu krótkotrwałego obozowiska wędrujących ludzi. W pierwszych miastach było po prostu więcej kotów żyjących w jednym miejscu przez pokolenia.

Stan wiedzy nie pozwala również na jednoznaczne udzielenie odpowiedzi na postawione na początku pytanie, czy kot jest zwierzęciem udomowionym, czy tylko korzysta z profitów płynących z życia blisko człowieka. Czy zwierzęciem udomowionym nazwalibyśmy np. kuny mieszkające w miastach oferujących im znacznie więcej dogodnych schronień i znacznie więcej pożywienia w postaci szczurów i gołębi, niż mogą znaleźć w naturze? Albo jerzyki, których populacje gnieżdżące się w budynkach są zależne od ludzi dużo bardziej niż koty?

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 09487c1694

Wolny z wyboru

Od lat pracuje na wydźwięk swojego nazwiska. Na to, by oznaczało swobodę i niezależność, a nie spowolnienie. By Tomasz Wolny kojarzył się z otwartością na innych, mocnymi zasadami, a także z umiejętnością uwolnienia się od niepotrzebnych ograniczeń

Fot. Vphoto/East News

eprasa.pl 09487c1694

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Zdjęcie z podróży dookoła świata

Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy – jeszcze na początku jego przygody z porannym programem „Pytanie na śniadanie", do którego ten sympatyczny poznaniak i pełen werwy dziennikarz trafił po doświadczeniach w TVN24, a od 2010 r. (już w TVP) m.in. po pracy w redakcji informacyjnej i sportowej – żartował, że jest o wiele szybszy, niż wynikałoby to z jego nazwiska. Dziś Tomasz Wolny jest kojarzony z najlepszą wersją wolności osobistej. Z niezależnością i klasą. Z umiejętnością zjednywania sobie ludzi z każdej strony skonfliktowanego społeczeństwa. A także z profesjonalnym dziennikarstwem, rozpoznawalnym i cenionym wizerunkiem oraz charyzmą człowieka, któremu najbardziej żądni krwi przedstawiciele nowej odsłony publicznych mediów są w stanie zarzucić jedynie, że gdy zwalniano go z TVP i pozbawiano możliwości prowadzenia koncertu „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki", był... zbyt katolicki.

JAK PRZYJACIEL, JAK WNUK

Wolny to kolejna medialna osobowość, która rozkwitła dzięki TVP, a po roszadach ostatnich lat być może na dłużej trafi do Polsatu. Najpierw sprawdzono, jak dziennikarz i prezenter „rezonuje" z telewidzami, zapraszając go do 16. edycji widowiska „Dancing with the Stars. Taniec z gwiazdami". Tu naprawdę niekłamana, wciąż rosnąca sympatia widzów doprowadziła go – bynajmniej nie super utalentowanego tanecznie – niemal do finału. Teraz, jak twierdzą niektóre portale, Tomasz Wolny ma szansę dołączyć do prowadzących poranny program „Halo, tu Polsat".

Nie wiadomo, czy i jak te doniesienia wpłyną na decyzję TVP, by po roku przerwy, odpowiadając na gorącą i bardzo emocjonalną prośbę nielicznych już powstańców, przywrócić dziennikarza do prowadzenia 1 sierpnia, w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, wielkiego plenerowego koncertu „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki" na stołecznym placu Piłsudskiego.

W sposób, który zaskarbia mu coraz większe grono wielbicieli, Wolny serdecznie, w poruszający sposób, ale bez egzaltacji i prowokujących komentarzy podziękował powstańcom za ich wsparcie. „Zupełnie nie potrafię wyrazić tego, co się dzieje w moim sercu i głowie. Upomniała się o mnie najwspanialsza i najdzielniejsza armia tego świata, nasi najwięksi bohaterowie napisali, że »Tomeczek jest dla nich jak przyjaciel, jak wnuk«. Choć pomagam powstańcom od lat i nikt z nas, wolontariuszy, nie robi tego dla żadnych wyróżnień, to takie słowa są cenniejsze niż jakikolwiek order. Pełne wzruszenie" – mówił w rozmowie z Plejadą.

Gdy oddajemy do druku ten tekst, władze TVP jeszcze nie podały, kto poprowadzi koncert, który – co ważne – co roku jest emitowany w najlepszym czasie antenowym.

SZCZERY PRZYPADEK

Niezależnie od decyzji podjętej przez publicznego nadawcę, Tomasz Wolny już pokazał, jak w świecie współczesnych mediów zachować wolność i twarz. Gdzie szukać oparcia w czasie zawirowań. Jak przełożyć na życie powiedzenie, że gdy „Opatrzność zamyka drzwi, otwiera okno". Dziennikarz szeroko otworzył to okno. I dla siebie, i dla swojej rodziny.

Fot. Tomasz Wolny/Facebook (2x)

Spotkanie z powstańcami warszawskimi

eprasa.pl 09487c1694

Dla krytyków Wolny jest trudnym przypadkiem. Szczery uśmiech, ogłada, umiejętność słuchania i komunikowania się z drugą stroną, uważność, niewchodzenie w konflikty – już to jest rzadkim rysem medialnej postaci. Do tego zawsze przygotowany, empatyczny profesjonalista. Od kilkunastu lat mąż tej samej żony (również dziennikarki), ojciec trójki dzieci. Człowiek zaangażowany społecznie. Zarówno na telewizyjnej antenie (ostatnio także Kanału Zero), jak i w mediach społecznościowych mówi i pisze m.in. o dzieciach z niepełnosprawnościami, rodzinach zastępczych, empatii. Został ambasadorem olimpiad specjalnych i Stowarzyszenia SOS Wioski Dziecięce.

Na dodatek to katolik, dający najlepsze świadectwo swojej wiary. Człowiek, który się tej wiary nie wyrzeka, a wręcz przeciwnie – w czasach ostrej krytyki instytucji Kościoła mówi o jej sile i sile wspólnoty, bierze udział w modlitewnych spotkaniach na Polach Lednickich i relacjonuje je, a także z mocą komentuje, gdy ich porządek zalewa (dosłownie) nawałnica.

W programie „Pytanie na śniadanie”

PO TEJ STRONIE MOCY

W czasach skrótowego myślenia i takiego pisania Wolny potrafi w mediach społecznościowych przywrócić wiarę w sens i znaczenie słów, płynność narracji i celność przekazu. Publikuje zdjęcia i refleksje, które nie są kolejną wersją lifestyle'u, ale autentyczną kroniką życia. Mimo setek tysięcy obserwujących nie stał się marką.

Przedstawia się: „Mąż, tata, poznaniak, dziennikarz w #TEJ kolejności”. To „TEJ” ma osobne znaczenie. Jest słowną „kotwicą”, znanym poznaniakom bezpośrednim zwrotem, który pozwala utrzymać więź z miejscem, z którego wyszło się w świat. Również dosłownie. Bo Tomasz Wolny – urodzony w Poznaniu i przez to miasto (z jego spokojem, dystansem, a także przywiązaniem do wartości) ukształtowany – nie bał się zmierzenia z nowymi przestrzeniami i realiami. Nim zaczął regularną pracę, wyruszył do Stanów Zjednoczonych, gdzie zarabiał m.in. jako pracownik budowlany na wysokościach, kelner i instruktor narciarstwa, był również stażystą w siedzibie ONZ w Nowym Jorku i w polskiej ambasadzie w Meksyku.

W 2009 r. w Warszawie razem z żoną Agatą założyli rodzinę. Tu oboje od początku pracowali w mediach. Zaczęli od kanału informacyjnego. W nim, a potem w kolejnej stacji, absolwent dziennikarstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza coraz bardziej przekonywał się, że nie interesuje go pogoń za sensacją, tylko rozmowa – prawdziwa, szczera, bazująca na szacunku.

Widzowie zaczęli go rozpoznawać i doceniać za autentyczność. W czasach, gdy telewizyjna forma bywa ważniejsza niż treść, Wolny stawiał (i nadal stawia) na uczciwość wobec rozmówcy oraz widza. Potrafi komunikować się z taktem i wyczuciem. Jednak gdy trzeba, nie ukrywa też emocji. Jak w kontaktach z powstańcami warszawskimi, dla których stał się wyjątkowo bliską osobą. Nie dziwi, że stanęli za nim murem, gdy odsunięto go od medialnej strony powstańczych obchodów.

W SWOIM RYTMIE

W czasach, gdy coraz trudniej o jednoznacznych bohaterów medialnych, Wolny wciąż przypomina, że można być „porządnym facetem”. Często dzieli się przemyśleniami o ojcostwie, codziennych wzruszeniach, trudzie i radości budowania relacji z dziećmi. I nie są to tylko słowa. Gdy zaczęły się zawirowania w TVP, Agata i Tomasz Wolni zdecydowali się na spektakularne posunięcie. Wyruszyli z dziećmi (Zosią, Halszką i Tymonem) w podróż dookoła świata.

„Niemal 80 dni, ponad 70 tysięcy kilometrów, kilka stref czasowych, wszystkie pory roku, wuchta wspaniałych ludzi, przyjaciół i zwierzaków, poznanych smaków, sportów, tradycji! Przeżytych przygód wyliczyć i opisać nie sposób! (Choć być może kiedyś spróbujemy;) Na ten moment wniosek jest jeden i wciąż ten sam: RODZINA to prawdziwa SIŁA. A podróżowanie z dziećmi (z prędkością 200 pytań na godzinę) to przygoda życia:) I frajda na potęgę!” – pisał w social mediach.

Po zakończeniu rodzinnej wędrówki dodawał: „Dzięki Bogu meldujemy się w jednym, jeszcze mocniejszym, rodzinnym kawałku, być może na boso... ale na pewno w ostrogach. Bo dobrze mieć marzenia, ale jeszcze lepiej jest je spełniać!”.

Pytany, czym jest wolność, mówi, że to „możliwość wyboru swojego rytmu”. Na co dzień udowadnia, że bycie wolnym to coś więcej niż brak zobowiązań. To życie w zgodzie ze sobą.

Fot. TVP

eprasa.pl 09487c1694

HITY i KITY ZAREMBY

Z luksusu na Pragę

Serial Netfliksa „Aniela" jest niby satyrą na współczesną Polskę podzieloną na biednych i bogatych. Nie przesadzałbym jednak z siłą jego społecznych obserwacji. To przeciętna komedia, miejscami żwawa, miejscami zbyt rozwlekła. Ale warto ją obejrzeć

W napisach figuruje dwóch reżyserów: Jakub Piątek i Kuba Czekaj. Wyczuwamy jednak, że największy wpływ na kształt przedsięwzięcia miał Paweł Demirski, wymieniany nie tylko jako autor scenariusza, lecz także pomysłu. Od zawsze walczył on z „klasizmem" – najpierw u boku Moniki Strzępki, teraz jako komercyjny scenarzysta lub reżyser.

Bohaterką jest kobieta w średnim wieku, która podczas wernisażu dowiaduje się od bogatego męża, że ten zamierza ją rzucić. Ponieważ w pierwszym odruchu rani go stołowym nożem, zostaje zmuszona do wyprowadzki z luksusu bez żadnych alimentów. Emigruje na warszawską Pragę, przedstawioną tu niemal jako strefa slumsów. Przyczółek Grochowski z jego tarasami ma być kwintesencją ludowej biedy. Poznaje życie, ucząc w szkole gastronomicznej. I musi pomagać dwóm pokręconym siostrom w mrocznym planie zastąpienia tej szkoły komercyjną inwestycją.

Poznaje biedne dziewczyny, które szukają pomsty na bogatym hip-hopowcu, który fałszywie oskarżył jedną z nich o posiadanie narkotyków. Wspiera je, zwłaszcza że hip-hopowiec Banan to syn prawnika Mareckiego, sojusznika jej męża. Próbuje za to przeszkodzić siostrom w ich zakusach na szkołę. Poznaje też romantycznego dresiarza, który się w niej zakochuje mimo różnicy wieku. To chyba najmniej prawdopodobny wątek.

Pomimo wyjściowej „krzywdy kobiety", serial jest wolny od feministycznej mantry. Ba, mamy do czynienia ze śmieszkami z lewicowych dogmatów z weganizmem na czele. Czy jednak rację mają konserwatywni recenzenci, szukający w „Anieli" rozprawy z III RP? Prawda, bogaty prawnik z synem od hip-hopu kojarzy się z klanem Matczaków. Ale uderzenia w establishment to tylko jeden z najtrwalszych popkulturowych archetypów. Bogaci muszą być źli, a biedni – skrzywdzeni. Nie znalazłem tu zbyt wielu oryginalnych diagnoz czy recept.

Jako wiecznego mieszkańca Pragi bawią mnie za to stereotypy, wedle których moja dzielnica jest zapomnianą przez Boga i ludzi otchłanią biedy. Jeszcze bardziej absurdalne wydaje mi się częste szukanie w filmach rewolucyjnego potencjału w hip-hopie (tym prawdziwym, wyrwanym z rąk bogatego Banana) i świecie dresiarzy. Mamy więc morze wulgaryzmów, a chwalebną wycieczkę do Włoch dla biednej młodzieży finansuje się ze sprzedaży dragów. Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

Jednocześnie poszczególne sytuacje bywają zabawne, a nawet nieprzewidywalne. Pewna w tym zasługa dialogów, ale przede wszystkim obsady. Małgorzata Kożuchowska, Aniela, bywała podszczypywana przez recenzentów w następstwie środowiskowych uprzedzeń. Gra tu postać ciekawszą niż scenariusz, mieniącą się wieloma barwami, rzeczywiście dojrzewającą. Po trosze rozsadza ten film.

Mniej zajmowały mnie dziewczyny grające ubogie hip-hopówki. O ich autentyczności świadczyła koszmarna dykcja i tyle. Cezary Pazura jako demoniczny Marecki grał kolejną postać tego typu. Z kolei świetny Filip Pławiak jako zakochany dresiarz Armani był charyzmatyczny, ale to jednak bardziej mit niż ktoś realny.

Jacek Poniedziałek konsekwentnie ośmiesza pajacowatego męża Anieli. Gabriela Muskała jest znakomita w roli dwóch skontrastowanych charakterami sióstr biorących się za biznesowe intrygi. A doradzam obejrzenie także dlatego, że Demirski to ciekawy przypadek. Szuka wojny z elitami, coraz bardziej stając się ich częścią. Ale jego wysiłki robią wrażenie szczerych.

Piotr Zaremba

O „wyklętych” ciekawie, ale syntezy wciąż brak

Kupiłem książkę dr. Leszka Pietrzaka „Ostatnie polskie powstanie 1944–1963”. Tytuł sugerował próbę nakreślenia całościowych dziejów partyzantki antykomunistycznej. Tymczasem dostałem sporo frapujących historii, ale nie spełnienie swoich nadziei

Autor porównuje opór leśnych oddziałów do powstania styczniowego, które też miało rozproszoną, partyzancką naturę. I przyznaje, że ciężko napisać zarys dziejów tego oporu właśnie z powodu jego rozproszenia. Moja nadzieja na syntezę nie została więc spełniona. Na początku książki Pietrzak obiecał zarysowanie geografii tej partyzantki, ale zrobił to zdawkowo, symbolicznie. Potem dostajemy konkretne historie, wybrane subiektywnie.

Za niektóre jestem wdzięczny. Zajmowałem się dziejami mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika” z okolic Puław na potrzeby swojej powieści „Zgliszcza”, a nie znałem historii ucieczki więźniów obozu NKWD w Skrobowie do jego oddziału. Ciekawe są opowieści o spaleniu wsi Wąwolnica przez UB, więźniach zamku w Lublinie, obławie augustowskiej NKWD, schwytaniu jednego z mitycznych dowódców Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, V Komendzie WiN wykreowanej przez służby. Pietrzak ma rację: wiele z nich wręcz doprasza się sfilmowania. Choć w rzeczywistości III RP to chyba niemożliwe.

Dostajemy kilka liczb opisujących skalę zjawiska, ale syntezy brak. Mnie ciekawi parę zagadnień. Jakież protesty wywołała wdowa po Januszu Kurtyce, kiedy na festiwalu patriotycznego kina w Gdyni powiedziała, że od 1947 r., czyli od drugiej amnestii, ten opór tracił sens. Ona tylko powtarzała opinię męża, a on – pogląd kierownictwa WiN. Przecież „Orlik” już w 1946 r. szykował się do rozformowania swojego oddziału. Zginął, ale jego następcy skorzystali z amnestii. Niektórzy padli potem ofiarą UB. Ale uważali, że dalsza walka naraża zwykłych ludzi. Nie przesądzam, ale szukam takiej dyskusji.

Innym „nieprzetrawionym” tematem są brutalne czyny niektórych oddziałów. Pietrzak uznaje masakrę wsi Wierzchowiny 6 czerwca 1945 r., przypisaną żołnierzom NSZ, za prawdopodobną prowokację komunistów. Ale jeśli nawet, to co choćby ze sporem o mjr. Romualda Rajsa „Burego” na Podlasiu? Chciałbym poznać zdanie autora. I chciałbym całościowego podsumowania. Ale czy przeczytałem kiedyś wielką syntezę powstania styczniowego? Te tematy wciąż czekają na kronikarzy i sensownych polemistów.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

HUGH GRANT BARDZIEJ NUDZI NIŻ STRASZY

Amerykański film „Heretyk” Scotta Becka i Bryana Woodsa przemknął przez polskie kina. Teraz Canal+ zapewnił mu drugie życie. Recenzje, na które trafiłem, sugerowały, że to coś oryginalnego. Film grozy miał łączyć klasyczną opowieść o psychopacie zagrażającym dwóm niewinnym dziewczętom przychodzącym do jego domu z wątkiem religijnym

Te dziewczęta to mormońskie misjonarki. Nawet w Polsce można spotkać wędrujących akwizytorów tego wyznania, choć częściej młodych mężczyzn. Psychopata oferuje swoim przyszłym ofiarom rozważania o naturze religii. Właściwie dysputa trwa i później, gdy jego prawdziwa natura zostaje odsłonięta.

Największym magnesem „Heretyka” miała być jednak obsada. Oto w roli Reeda wystąpił 65-letni brytyjski aktor Hugh Grant. Mało jest ludzi – także w Polsce –którzy go nie znają z „Czterech wesel i pogrzebu”, „Był sobie chłopiec” czy „Dziennika Bridget Jones”. Jeszcze niedawno Grant występował w roli dandysa, uwodziciela, idealnego – nawet jeśli naiwnego lub dla odmiany zmanierowanego – kochanka. A tu nagle ukazuje się jako antypatyczny, choć na początku obłudnie słodki staruch.

Dla mnie, niezależnie od niewątpliwego talentu Granta, ten film to dowód na to, jak coraz trudniej jest straszyć szeroką widownię. Pełna banałów religijna pogadanka ma nas przekonać, że oglądamy coś głębszego. Z kolei kiedy psychopata atakuje, kolejne sytuacje w piwnicach demonicznego domu są tak wydumane i nieprawdopodobne, że trudno mi było poczuć napięcie. A ogólnie cenię horrory i thrillery. Tyle że w natłoku kolejnych tytułów coraz częściej zjadają one swój ogon.

Jedno mnie tu uderzyło. Próbując zdefiniować swoją religię, maniak sprowadza ją do stanu permanentnej kontroli nad jednostką. Można się pocieszać, że to wykwit chorego umysłu. Ale czy twórcy nie poprowadzili akcji tak, aby ta teza się potwierdziła? Pokażcie mi swoją mroczną rozrywkę, a nawet wtedy się dowiemy, jak bardzo popkulturowa maszyneria nie trawi sensu chrześcijaństwa. Oczywiście na pociechę pozostaje kilka horrorów i thrillerów markujących takie zrozumienie. Ale to mniejszość i akurat nie ten przypadek.

ROBERT TEKIELI

3 MIŁOŚCI

Unieważnienie grzechu

„Jestem niespokojna, poruszam się szybko, czuję się chora. Bałam się stracić kontrolę nad moim ciałem, ale na szczęście tak się nie stało. Wracam do ubikacji. Czuję parcie. Nagle mięśnie się rozluźniają, a ze mnie wypływa wreszcie różowa bańka. To koniec. Nie muszę już tego trzymać, popatrzę na to nazajutrz rano, zanim wyniosą śmieci. Stoję z moją przyjaciółką na balkonie i jestem szczęśliwa. Czuję się taka odważna i silna" – tak odczucia towarzyszące aborcji opisała na Instagramie Esther Mauersberger. Niemiecka artystka pokazała w internecie, jak abortuje własne dziecko. Mauersberger to znany fotograf dziecięcy, jej Instagram jest pełen zdjęć noworodków. Wyrzuty sumienia instant. Tyle że świadomości samej zabójczyni niedostępne.

Czytam Księgę Wyjścia. W obronie kraju przed pleniącymi się w niewoli Izraelitami faraon nakazuje zabijanie ich rodzących się chłopców. Cywilizacja, w której żyjemy, zachęca do zabijania i dziewczynek, i chłopców. Autoagresja jest jednym z ostatnich sygnałów ostrzegawczych. Potem już tylko śmierć.

Współczesność: zaprzeczenie świętości życia, humanistyczna uzurpacja. Odczłowieczanie niewinnych i bezbronnych. Nie muszę już „tego" trzymać. Popatrzę na „to", wynosząc też inne śmieci.

Ale nawet nie to jest najgorsze. Bądź zimny lub gorący. Jeśli Esther Mauersberger znajdzie kogoś, kto zacznie się za nią modlić, nie musi iść na zatracenie.

Co jest największą chorobą współczesnych ludzi? To, że w nic nie są zaangażowani, w nic nie chcą włożyć serca ani duszy. Obojętność wobec Boga to zwycięstwo nowożytnej choroby. Nawet nie wrogość czy nienawiść, a samotność i nuda.

Zachód się tnie, jest w głębokiej depresji. Zostanie zniszczony tak, jak szczycący się swoimi demonicznymi bóstwami starożytny Egipt; cywilizacja czcząca człowieka, wywyższająca pojedyncze ludzkie ciało. Z zachodniej cywilizacji deprecjonującej ducha, hedonizującej ciało już każdego człowieka, nie zostanie kamień na kamieniu. Jesteśmy ostatnim bastionem prawdziwej hierarchii wartości. Jeśli obronimy się przed samymi sobą. Jeśli Polska pozostanie sobą.

Co jest największą chorobą współczesnych ludzi? To, że w nic nie są zaangażowani, w nic nie chcą włożyć serca ani duszy. Obojętność wobec Boga to zwycięstwo nowożytnej choroby. Nawet nie wrogość czy nienawiść, a samotność i nuda

Ludzkim losem rządzą prawidłowości. I to jest dobra nowina. Zaświadczają o tym i ludzie wierzący, i niewierzący. „Wszystko, co przeżyłem – łagier, pobyt na Bliskim Wschodzie, bitwa pod Monte Cassino, moje losy osobiste – uświadamiało mi, że los istnieje. Zawsze miałem poczucie uwikłania w jego tryby" – mówił w 1997 r. w radiowym nagraniu Gustaw Herling-Grudziński.

W czasach nowożytnych mądrość na moment schroniła się w sztuce. W obrazie, fabule, symbolu. Nowożytna filozofia, a za nią wszystkie inne, szacowne wcześniej, systemy pojęciowe zwróciły się przeciwko ludzkiej naturze. Od końca XIX w. nowożytny intelektualizm zaczął niszczyć i naukę, i sztukę. Jest przeciwny kulturze.

Dziś kultura kłamie człowiekowi. Zachód utracił też dobry obyczaj, utracił wiarę. Coraz mniej ludzi naszej cywilizacji wie, że wbrew rozpanoszonym dziś wierzeniom ludzki los jest w dobrych rękach.

Na czym buduję swoją pewność w tej mierze? Doświadczam Bożej opieki, tak jak miliony, miliardy ludzi.

Poza tym nieliczni ludzie twórczy i mądrzy, których nasza kultura jeszcze pamięta i wywyższa, opisywali mechanizmy działania Bożej opatrzności. Potęga zła nie jest równa potędze dobra. To pewna wiedza.

Literatura, teatr czy film przynoszą nam dziesiątki mistrzowskich analiz skutków naruszenia Bożego prawa odciśniętego w sercu każdego człowieka, czyli skutków grzechu. Szekspir, Kochanowski, Lars von Trier. Natura władzy, pokusa rozpaczy, fascynacja fatalną mocą transgresji zrodzonej z niedojrzałej miłości i uzależnienia młodej kobiety od starszego mężczyzny. „Makbet", „Hamlet", „Król Lear", 19 trenów, „Przełamując fale".

eprasa.pl 09487c1694

Kadr z filmu „Przełamując fale”

Jednak sztuka współczesna, ciążąca ku depresji i rozpaczy, zrodzona z beznadziei i niedojrzałości, często nawet w swych arcydzielnych przejawach mimowolnie kłamie atmosferą determinizmu czy beznadziei. Katolik świadomie przeżywający swój los, przyzwyczajony do życia w promieniach łaski, doświadczający każdego dnia opieki i wzrastający w poczuciu bezpieczeństwa płynącego ze świadomości, iż miłosierdzie jest dla Boga „ważniejsze” od sprawiedliwości, często z przerażeniem śledzi dzieje bohaterów filmów czy powieści walczących rozpaczliwie, a beznadziejnie z własnymi błędami. I wie, że wtedy sztuka kłamie. Że światopogląd, światoodczucie autora, wyznawanie nieobjawionej antropologii wpływa na skrzywione postrzeganie rzeczywistości, czasami nawet największych i najwrażliwszych czyni ślepymi na Bożą logikę.

I tak przywołany duński dramat filmowy „Przełamując fale”, z debiutującą na dużym ekranie Emily Watson, grającą młodą żonę zachęcaną przez sparaliżowanego męża do rytualnej prostytucji, to – warto pamiętać – konfrontacja reżysera nie z prawdziwym, miłosiernym Jezusem. Bóg kalwińskiej herezji jest despotą, a w ujęciu von Triera wręcz demonem (to ujęcie zapewne jest arbitralne). Sataniczny rys twórczości reżysera odczłowieczającej aktorów „Nimfomanki” czy pisanego w głębokiej depresji „Antychrysta” jest oczywisty. Karykatura miłości ofiarnej to rzadkiej miary bluźnierstwo przeciwko czystości ludzkiej duszy. Dziś artyści, zamiast podnosić ducha czytelników i widzów, obrzygują świat swym poranionym wnętrzem. Na taki proceder pozwalają jedynie cywilizacje już dekadenckie, samobójcze.

Współczesna kultura budzi lęk u ludzi, rodzi przerażenie, gdy myślą oni o przyszłości, wpędza w depresje. Rozpanoszenie bezosobowych wierzeń zachwiało chrześcijańską równowagę postrzegania/doświadczania ludzkiego losu. Stąd lęk dzisiejszego świata, brak ufności we własne siły milionów ludzi, przerażenie kolejnych pokoleń. Nieodparta potrzeba ucieczek. Uzależnienia ciała, zniewolenia ducha, kult psychiatrii i psychotropów, wywyższenie psychologii tam, gdzie puste konfesjonały, próby samobójcze sześciolatków w Polsce, w USA samobójstwo czterolatka, ułuda cyfrowego świata i niby relacji zawiązywanych za pomocą ekranu...

Stąd i mordercza agresja wobec najsłabszych. Niewinnych istot sprawiających swym pojawieniem się, że matka „może utracić kontrolę”. A także nienarodzonych z innym genotypem. Eugeniczna furia współczesnych nam w Polsce dobrych ludzi... Po co do spowiedzi? Przecież nikogo nie zabiłem...

Prawo Boże, zgwałcone lub zachowane, odbija się karząco albo pozytywnie na losach i rozwoju człowieka. Bóg ma w swoim ręku również losy narodów.

Michał Sawicki, seksuolog: „Można sobie wyobrazić sytuację, że partnerka mówi: »Miałam świetny seks z kimś innym«, a druga osoba cieszy się jej szczęściem. To wymaga ogromnej pewności siebie, ale taka relacja może być bardzo bliska”. Pseudonauka.

Jedną z najbardziej destrukcyjnych dziś instytucji naszej cywilizacji jest uniwersytet. A obok celebryty największym medialnym szkodnikiem jest ekspert, naukowiec, specjalista. Reprezentant pseudonauk, takich jak wywiedziona z marksizmu socjologia, czy patonauk, takich jak seksuologia.

Przebadanie roli seksuologii w dekonstrukcji moralności wywiedzionej z Objawienia to pilne zadanie dla naukowców. Za mojego życia kolejne pokolenia seksuologów niszczyły poczucie normalności i wykorzeniały Polaków z przyzwoitości.

Herezje głoszone z autorytetem nauki. Nie da się „zdradzać bezpiecznie”, da się jednak wmówić społeczeństwu, że krzywdzenie drugiego człowieka to forma wolności.

Wróg wewnętrzny i wróg zewnętrzny. Czasy nasze niespokojne. Trump zatrzymał Stany Zjednoczone, ale Europa dalej biegnie z otwartymi ramionami ku przepaści.

Nigdy w historii nie było cywilizacji, która tak szeroko otworzyła swoje drzwi na cywilizację otwarcie jej wrogą. Po kilkunastu wiekach ścierania się islamu z chrześcijaństwem w walce na śmierć i życie!

Autodestrukcja. Rządzący jeszcze Europą lewicowo-liberalny establishment życzy śmierci europejskiej cywilizacji.

A ten mój kolega z podstawówki, o którym pisałem tu jakiś czas temu, który ganiał za mną z cegłówką, skończył w więzieniu. Patrzę na Muska, patrzę na Tuska – co prawda nie ten rozmiar, ale obaj są dowodem na to, że dziś demokratycznym wzięciem cieszą się rządy psychopatów. W przypadku Muska chodzi o rząd dusz.

Jechali na rekolekcje, kierowca z naprzeciwka zasłabł i wymusił na moim znajomym manewr, który skończył się śmiercią czterech osób, w tym miesięcznej dziewczynki. Poczucie kontroli nad własnym życiem to zwiedzenie z podręcznikowych „Listów starego diabła do młodego”. Wiara jest cudem ufności po ciemku. Zaufaniem wszechmocnej i troszczącej się o nas Osobie.

Skutków naruszenia Bożego prawa nie da się uniknąć. Nowa definicja nowożytności: instytucjonalizacja grzechu plus depresja i autoagresja. Na szczęście moc zła nie jest równa mocy dobra. *Christus vincit*!

„Stoję z moją przyjaciółką na balkonie i jestem szczęśliwa. Czuję się taka odważna i silna”. Jak skończy Esther Mauersberger? Jak skończy Polska, jak skończą Zachód, Europa?

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 09487c1694

JOAN DE DÉU PRATS*

Wiele pytań o Barcelonę

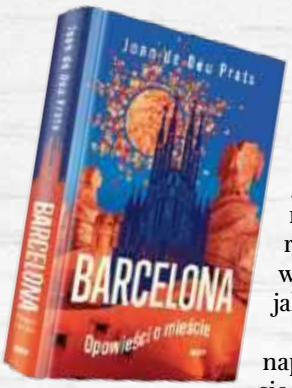

Dlaczego jest nazywana „hrabiowskim miastem", a za patronkę ma Najświętszą Marię Pannę Łaskawą? Dlaczego jest stolicą Katalończyków? Skąd się wzięła nazwa centralnej dzielnicy miasta: Eixample, czyli „rozszerzenie"? Albo dlaczego taksówki są tam żółto-czarne, a piłkarze Barcelony noszą granatowo-szkarłatne stroje? Na te i wiele innych, często nieoczywistych i zaskakujących pytań, odpowiada Joan de Déu Prats.

Autor książki „Barcelona. Opowieści o mieście" (która ukaże się nakładem wydawnictwa Znak) nie napisał przewodnika. Znalazł oryginalny klucz do efektu swojej imponującej pracy. Poprzez nie za długie, a jednak treściwe hasła (które można odczytywać w dowolnej kolejności) prowadzi czytelnika przez barwne historie, przywołuje anegdoty, historyczne fakty i lokalne opowieści, dopełniając je ciekawostkami i refleksjami. W jego książce nie znajdziemy zjawiskowych zdjęć, rysunków czy map. Są pytania i wypełnione treścią – a także ewidentną fascynacją i miłością do miasta – odpowiedzi.

„Ciekawość jest siłą napędową rozwoju ludzkości. Pytać to ludzka rzecz" – pisze we wstępie. „Weźmy na przykład wielkie miasto zwane Barceloną – możemy w nim mieszkać lub odwiedzać je jako turyści, ale ile tak naprawdę o nim wiemy poza utartymi frazesami i ogólnikami? [...]. Każde miasto – jak je postrzegamy – stanowi zbiór przeróżnych historii. Jesteśmy ostatnim ogniwem łańcucha spajającego wiele pokoleń barcelończyków – końcowym produktem wielowiekowego procesu".

Zbierając i porządkując ogrom przeróżnych informacji, Joan de Déu Prats ewidentnie myślał o różnych odbiorcach. Zarówno turystach – i tych nowych, i wracających do Barcelony, zafascynowanych nią – jak i o mieszkańcach, którzy „przemierzając ulice, pochłonięci własnymi sprawami, nie mają pojęcia, jak kształtowało się ich miasto".

Pośród ogromu opowieści i haseł, naprawdę każdy – i przybysz, i zasiedziały mieszkaniec – mają szansę znaleźć coś dla siebie. Mogą odszukać własną ścieżkę, własny szlak lub szeroką arterię, zatrzymując się np. przy takich pytaniach: Czym są aleje Paral lel i Meridiana? Co robi mamut w parku Ciutadella? Czy pod Barceloną płynie rzeka? Czym jest krwawy deszcz? Czy z Tibidabo widać Majorkę? Czy platan wciąż jest typowym barcelońskim drzewem? Czym jest wizerunek Chrystusa z Lepanto? Czy wraca do Barcelony ten, kto pije wodę z Canaletes? Kim była Juliana Morell? Jak powstał hymn Katalonii? Kim był Doktor Chleb i Woda? Czy Barcelona ma dzielnicę widmo? Czym był El Brusi? Dlaczego Barcelonę trzeba bombardować co 50 lat? Co to znaczy La Rambla? Kiedy założono FC Barcelonę? Czym był „Kwartał niezgody"? Kto wymyślił pastylki Juanola? Czym są panots? Kim była Wampirzyca z Ravalu? Gdzie wymyślono jogurt Danone? Które dzieło Gaudíego jest najmniej znane? Czy Barcelona ma swoją Guernikę? Dlaczego w Barcelonie je się bomby? Dlaczego turyści kupują w Barcelonie meksykańskie kapelusze? Czy na świecie istnieją jakieś inne Barcelony? Albo – kim są pixapins?

Duuużo tych pytań, ale to wstęp do naprawdę ciekawych odpowiedzi.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autor książki „Barcelona. Opowieści o mieście"*

Fot. Maria Casas/materiały prasowe Znak, sanartink / Shutterstock.com

eprasa.pl 09487c1694

SŁODKO-SŁONY

Sam sobie zbierz

ANNA MONICKA

Buszuję właśnie po internecie w poszukiwaniu jakiegoś ciekawego wakacyjnego zajęcia – żeby na kilka dni oderwać się od komputera, a tu nagle córka rzuca pomysł: „Mamo, a może pojedziemy gdzieś do rolnika pozbierać owoce? U babci w tym roku znowu czereśnie zeżarły szpaki, a morela kwitła akurat wtedy, gdy przyszedł wiosenny przymrozek. Fajnie byłoby przywieźć do domu własnoręcznie zebrane owoce".

Fakt, zwłaszcza że ceny na bazarku oszalały, a z rolnikiem można by ponegocjować, no i ominęłybyśmy łańcuszek pośredników, którzy przecież też chcą zarobić. Na szczęście nie musimy szukać po omacku – na coraz modniejsze samozbiory może się wybrać każdy. Wystarczy wejść na stronę myzbieramy.pl i popatrzeć, co akurat dojrzewa w okolicy i jaki plantator zaprasza na swoje pole czy do sadu. Truskawki, czereśnie, wiśnie, porzeczki, jagody kamczackie, teraz zaczął się sezon na brzoskwinie, morele, borówki amerykańskie. Ogłasza się kilkadziesiąt gospodarstw w całej Polsce, ceny – uwaga – od 10–12 zł/kg (w sklepach 45 zł). Warto się bliżej przyjrzeć ofertom – w wielu przypadkach na portal wrzucają ogłoszenia rodziny, które dbają o ekologię, owoce mają niepryskane. Wpaść można na weekend – trzeba tylko potwierdzić telefonicznie termin, bo wszystko zależy od pogody. Inicjatywa jest świetna, goście zabierają ze sobą dzieci, które przy okazji uczą się, na czym polega praca na wsi. Poza tym owoce własnoręcznie zerwane z krzaczków smakują sto razy lepiej. Zasady są takie, że za zjedzone na polu owoce się nie płaci, a za resztę gospodarze wyznaczają stałe ceny, chociaż niektórzy są skłonni do negocjacji.

Trochę za późno się zorientowałam i jagody kamczackie w tym roku już zostały zebrane. Ale borówki amerykańskie to jedne z najpyszniejszych i najzdrowszych owoców, zwłaszcza jeśli masz gwarancję, że nie potraktowano ich szkodliwą chemią. Ruszamy w niedzielę, zrobimy zapasy na kilka dobrych tygodni. Zjemy, ile się da, a z reszty przygotuję musy, soki, kompoty i mrożonki. Domowe naleśniki z borówkami i bitą śmietaną oraz odżywcze fioletowe koktajle to zawsze hit wakacji. Dosypuję je także do sałatek z najróżniejszych zielonych liści, które podaję do obiadów. Zamrożone kulki można też dodawać zamiast lodu do napojów.

Fot. Fratria, Shutterstock

WILCZYM OKIEM

To musi zostać zrobione

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Prawdę mówiąc, dziwne, że dotąd ta paląca sprawa, grożąca zdrowiu i życiu wielu osób, w dodatku dzieci i młodzieży, nie została rozwiązana.

Każdego roku tysiące harcerzy wyruszają na obozy do lasu. Spędzają w nim miesiąc, czasem więcej – w sumie dużą część swojego młodego życia. Wypoczywając, ale przede wszystkim doskonaląc się fizycznie, psychicznie i moralnie, żeby w przyszłości stać się ludźmi, którzy będą odpowiedzialni za Polskę i świat. I za nas. Robią to zresztą już teraz. Mało kto z dorosłych wykonuje tak pożyteczną pracę z takim zaangażowaniem jak harcerze, z których każdy odpowiada za swoją grupę i wychowuje swoim przykładem innych. Sami budują obóz, wcześniej wszystko aranżując: zakup i transport drewna, wywóz śmieci, aprowizację, opiekę medyczną, zaopatrzenie w wodę itp. Organizują czas swoim zastępom i drużynom – każdy ma swoje zadania. Są do dyspozycji w każdej chwili, każdą sekundę doby. Deszcze, zimne noce, ciężka praca fizyczna, niedobór kalorii, ale zawsze na służbie, zawsze ze swoim wysokim morale, by pogodą ducha podtrzymywać innych.

Często ci trochę starsi są pierwszym w życiu przykładem dla młodszych, jak szanować innych, rozwiązywać problemy bez agresji, normalnie rozmawiać – o tym młodzi harcerze nieraz przekonują się dopiero w drużynie, dom nie zawsze daje im tę szansę.

Ta praca odbywa się przy ciągłym zagrożeniu zdrowia i życia. Obozy są w miejscach pięknych i... bardzo niebezpiecznych. Większość z nas pojawia się w lesie czasem. Pracujący w lasach zawodowo są tam kilka godzin dziennie. A harcerze cały miesiąc, całą dobę. Z tonami drewna nad głową. Czasem drzewo przewraca wichura, czasem leci bez widocznego powodu, niekiedy w nocy, kiedy harcerze śpią. Nie da się tego przewidzieć i dzieje się tak na każdym obozie. To tylko przypadek, czy kogoś przygniecie, czy nie.

Pozwalamy, żeby o ich śmierci lub kalectwie decydował przypadek. To musi się zmienić. Bez zwłoki trzeba wyznaczyć i przygotować tereny bezpieczne. W lesie, ale obsadzone młodymi drzewami, z odpowiednim dystansem do starodrzewu. Wkomponowując w gospodarkę leśną, chociaż to nie ona jest priorytetem. Robimy strefy ochronne w lasach dla rzadkich ptaków (co oczywiście jest dobrą ideą), ale dla harcerzy nie ma ochrony.

Zróbmy to teraz. Zanim zdarzy się kolejny wypadek, który jest kwestią czasu. I który obciąży nas.

eprasa.pl 09487c1694

OGNIEM NA WPROST

Dawaj tomahawki!

Andrzej Rafał Potocki

Tylko eskalacja konfliktu może doprowadzić do zatrzymania Władimira Putina – zdaje się, że do takich wniosków doszedł w ostatnim czasie prezydent USA Donald Trump. Jak podają media, do wielkiej polityki wtrąciła się małżonka prezydenta USA Melania. Ponoć miała mu powiedzieć, że kierownik Kacapów na Kremlu leci sobie z nim w bambuko, i to od dawna. Co jak co, ale gdy żona to mówi, naprawdę trzeba coś z tym zrobić. Według dziennika „Financial Times" Trump miał już prywatnie zachęcać Kijów do przeprowadzania głębokich uderzeń na terytorium Federacji Moskiewskiej. Gazeta informowała, że amerykański przywódca miał pytać Zełenskiego, czy ukraińska armia jest w stanie przeprowadzić uderzenia na Moskwę i Petersburg. „Wołodymyrze, czy możesz dotrzeć do Moskwy? [...] Czy możesz dotrzeć też do Petersburga?" – zagaił Trump. Zełenski odpowiedział: „Oczywiście, damy radę, jeśli dasz nam broń". Prezydent Ameryki wyraził poparcie dla takiej strategii, uznając ją za sposób na „sprawienie, by Rosjanie poczuli ból" i zmuszenie Putina do poważnych negocjacji. „Financial Times" informuje również, że podobne rozmowy są prowadzone wśród europejskich decydentów, którzy rozważają przekazanie Ukrainie pocisków dalekiego zasięgu, by umożliwić przeniesienie działań wojennych na ruskie terytorium, w tym do Moskwy. Innymi słowy: dawaj tomahawki, a my już zrobimy w dwóch metropoliach taką mamałygę, że popamiętają ruski miesiąc.

Ale jak to w dyplomacji – postraszyć nie zaszkodzi, jednak rzeczywistość rządzi się swoimi prawami. Następnego dnia w rozmowie z „Newsweekiem" rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt oskarżyła brytyjski dziennik o „pogoń za klikami" i przeinaczanie słów Donalda Trumpa. Jej zdaniem prezydent Stanów Zjednoczonych zadawał te pytania „z czystej ciekawości", a nie po to, by nakłaniać Zełenskiego do ataków na kraj Kacapów. Zapytany, czy obecnie opowiada się po stronie Ukrainy, Trump miał odpowiedział: „Nie jestem po niczyjej stronie". Po czym dodał, że jest „po stronie ludzkości", ponieważ „chcę zakończyć zabijanie". Ale amerykański prezydent dowiedział się jednego – że jak nie przywali (piszemy o tym od momentu, kiedy został gospodarzem Białego Domu), żadnego pokoju nie będzie.

Ważnym znakiem, że coś się zmieniło, jest cisza (wreszcie) ze strony doradcy prezydenta USA Steve'a Witkoffa, który po każdej wizycie na Kremlu nie omieszkał wypowiedzieć kilku ciepłych słów o satrapie Putinie. Równocześnie Trump ogłosił zaostrzenie stanowiska wobec Rosji, zapowiadając nowe dostawy rakiet i innego uzbrojenia dla Kijowa. Dał równocześnie Moskwie 50 dni na zawarcie rozejmu, grożąc wprowadzeniem sankcji, jeśli do tego nie dojdzie. Jak przekazał Agencji Reutera przedstawiciel Białego Domu, Trump miałby nałożyć 100-proc. cła na Moskwę i sankcje wtórne na kraje, które kupują ropę z Rosji. To przede wszystkim Chiny, Indie i Brazylia. W chwili, kiedy piszemy te słowa, trwają negocjacje Trumpa z szefem NATO Markiem Ruttem. Potwierdził on, że wśród amerykańskiej broni sprzedawanej sojusznikom z NATO z myślą o przekazaniu jej Ukrainie będą środki obrony powietrznej, pociski i amunicja. „Ten proces trwa, to nie jest jeden pakiet" – dodał Rutte. Zaznaczył, że będzie to zarówno broń defensywna, jak i ofensywna, w tym patrioty, które – jak poinformował Biały Dom – jadą już na Ukrainę. Jeszcze nie wiadomo, czy chodzi o baterie, czy tylko o rakiety. Kijów jest w posiadaniu ośmiu zestawów tej broni, z których dwa nie funkcjonują. Lepszy rydz niż nic.

Zdaniem „Financial Times" Kijów przekazał Amerykanom oficjalną prośbę o pociski Tomahawk, a Waszyngton, wbrew stanowczej reakcji pani rzecznik, bada sprawę. Tomahawki nie są jedyną bronią (zasięg ponad 1,5 tys. km) rozpatrywaną przez Biały Dom. Chodzi m.in. o zgodę na użycie 18 pocisków dalekiego zasięgu ATACMS (zasięg 300 km) oraz broni lotniczej w rodzaju pocisków JASSM o zasięgu 470–1000 km. Na to wszystko Putin powiedział Trumpowi, iż szykuje się do dużej ofensywy, która miałaby na celu pełne zajęcie czterech obwodów Ukrainy, w tym zaporoskiego, donieckiego, ługańskiego i chersońskiego. Realnie w grę może wchodzić jedynie ofensywa na Donbas, bo np. Chersońszczyzna wymagałaby przeprawy przez Dniepr. Według Clémenta Molina, francuskiego analityka wojskowego, Ukraina aktywnie tworzy kolejne linie obrony 20 km za linią frontu. Działania te są efektem zdobyczy terenowych Moskali, szczególnie na kierunku pokrowskim. Obecnie to tam wojska ukraińskie są w najtrudniejszym położeniu. Jednak w powietrzu nad Donbasem latają ukraińskie samoloty, a bez zdecydowanej przewagi w powietrzu Putinowi trudno będzie spełnić pogróżki.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 09487c1694

Michał Korsun prezentuje:
Źle się się dzieje w Schronisku na Paluchu

Wycinki z przeszłości

Wmawia się Polakom, że nowoczesność musi oznaczać rozmywanie tożsamości narodowej. Propaganda lewicy powiela tezy, że wymagana cena za integrację europejską, podróże, wolny handel i wspólnie budowane bezpieczeństwo obejmuje także zakłamanie historii. Nie tylko musimy podobno wybaczyć, lecz także zaniechać dochodzenia reparacji i uznać każdą ofiarę za równą – narodu najechanego i narodu sprawców. To wielkie kłamstwo i nie może być na to zgody. Ale kłamstwem jest także twierdzenie, że tą ścieżką idą inne narody. Każdy, kto trochę zna świat, wie, że w tamtejszych muzeach przekaz jest jasny: walka o narodową wolność i siłę państwa, o ile nie zbrodnicza, jest święta. Pamięć o niej stanowi obowiązek. Tak jest w Wielkiej Brytanii, Rumunii, Francji – właściwie wszędzie.

Dobrym przykładem takiej narracji są także muzea belgijskie, gdzie walkę o niepodległość i kolejne wojny opowiada się wyłącznie z punktu widzenia Belgów, bez rozmywania i kłaniania się najeźdźcom.

Na zdjęciu widzimy datowaną na 1939 r. scenę przyniesienia powołania do wojska przez listonosza. Zdjęcie wykonane w Królewskim Muzeum Sił Zbrojnych i Historii Wojskowości w Brukseli w 2021 r.

(mk)

Z WOLEJA

Iga – demolka, Jan – nadzieja

Ryszard Czarnecki

Iga Świątek rozbiła bank na Wimbledonie. Wszyscy przypominają, że ostatni „rowerek", czyli dwa sety wygrane do zera, zdarzył się ostatni raz 114 lat temu. Tylko Donald Tusk wyrwał się jak Filip z konopi, że taka sytuacja zdarzyła się pierwszy raz w dziejach. Oj, brak wiedzy i brak fartu do doradców do spraw sportu. To dziwne, bo przecież szef rządu jest absolwentem historii i harata w gałę, a więc powinien bardziej jarzyć bazę. Zostawmy wpadkę premiera, bo w tym roku miał już parę znacznie większych.

Światek była jak tornado, bo nie pamiętam sytuacji w Wielkim Szlemie, gdy zwyciężczyni w półfinale i finale oddaje tylko dwa gemy! Szkoda tylko, że przy okazji wiktorii Polki odezwały się brytyjskie demony. BBC, która już dawno przestała być szacownym wzorem obiektywizmu, strzeliła focha, wypominając naszej zawodniczce krótkie zawieszenie za branie melatoniny pomocnej przy jetlagu. Podobnie dąsał się „Daily Mail". Cóż, szanowni dziennikarze z Wysp, „złość (i zawiść) piękności szkodzi, a buzia z fasonu wychodzi".

Stare polskie przysłowie „do trzech razy sztuka" pasuje jak ulał. Jadwiga Jędrzejowska była w finale Wimbledonu 87 lat temu, Agnieszka Radwańska przed 13 laty i obie przegrały w trzech setach, choć miały swoje szanse na zwycięstwo. Szacunek dla Igi, która dotychczas na trawiastych kortach spisywała się najgorzej ze wszystkich tenisowych powierzchni. W jej przypadku było jak w jiu-jitsu: słabość została przekształcona w siłę. Najlepsza polska tenisistka ma 24 lata i sześć wygranych Wielkich Szlemów oraz wielką pasję zwyciężczyni. Dzięki niej będzie jeszcze przepięknie!

Od małej piłeczki do dużej piłki: Jan Urban został trenerem piłkarskiej reprezentacji Polski. Jako piłkarz zagrał dla naszego kraju 57 razy, strzelając 7 goli. Brał udział w mundialu w 1986 r. Wyszliśmy wtedy z grupy, co ponownie udało się osiągnąć dopiero po 36 latach na MŚ w Katarze. Jako trener pracował w Hiszpanii i Polsce. Z Legią zdobył w dwóch podejściach mistrzostwo kraju, dwa razy Puchar Polski i Puchar Ekstraklasy. Trenował też Polonię Bytom, Zagłębie Lubin, Śląsk Wrocław i Górnika Zabrze.

Spóźnił się na własny ślub, bo jechał z meczu Zagłębia Sosnowiec, w którym wtedy grał, z Legią, a którą po latach miał trenować. Nie ukrywa, że jest człowiekiem głęboko wierzącym. Bierze udział w pielgrzymkach, a grając w Hiszpanii, zainteresował się Opus Dei. Cóż, mocna wiara nowego trenera Biało-Czerwonych bardzo się przyda naszej reprezentacji w awansie na przyszłoroczny mundial w USA. W Bogu i Urbanie nadzieja?

eprasa.pl 09487c1694

OD A DO ZYBERTOWICZA

Dalej poza przepych

Ludzkość stanęła w dziwnym rozkroku, między wulgarnością nadmiaru a sterylnością wystudiowanego braku

Lipcowym wieczorem, dość późno, poszliśmy na spacer po mieście. Mówię do żony: „Podejdźmy sobie pod witrynę księgarni, obejrzymy nowości". I od razu, widząc jej niechętną minę, dodałem: „Bez obaw, księgarnia już zamknięta. Na pewno nic nie kupimy". Sam ubolewam, że w naszym mieszkaniu książki z półek już dawno wyszły na kanapę, stoliki, parapety i podłogę. Tylko niektóre są zdyscyplinowane – grzecznie stoją w stosikach, te niesforne – luzem albo w parach, ale częściej w pokrzywionych gromadach snują się po kątach.

POMIĘDZY?

Spokojnie przeglądając prawe skrzydło witryny – literatura piękna – przesunęliśmy się do lewego skrzydła wystawy – literatura faktu, a nawet książki naukowe. Naszą uwagę zwraca dzieło autora Krzysztofa Rafała Prokopa zatytułowane „Między ascezą a przepychem". O autorze ani książce nie wiemy nic poza okładką, ale mówię do żony: „Zobacz, format tytułu standardowy [sam napisałem kiedyś książkę »Między czymś a czymś innym«], ale przestrzeń wyznacza fajną. Ileż się pomieści między ascezą a przepychem". A żona od razu strzela: „Dzisiejsza kultura poszła znacznie dalej, znacznie poza przepych".

UDAWANY

Powoli ruszyliśmy w stronę domu, a ta uwaga, w istocie ta myśl, nie dała mi już spokoju: „Kultura wyszła poza przepych". To brzmi jak diagnoza naszych czasów, może celniejsza niż niejeden opasły traktat socjologiczny.

Bo czymże kiedyś był przepych? Był Wersalem, barokowym ołtarzem, złotą nicią w kontuszu, symfonią Mahlera. Na pewno jakimś nadmiarem. Tak, ale nadmiarem zorganizowanym, celowym, niosącym znaczenie. Przepych miał strukturę, bywał manifestacją władzy, bywał hołdem dla absolutu albo celebracją ludzkiego geniuszu. Nawet w swojej najbardziej dekadenckiej formie wymagał kunsztu, rzemiosła, idei. Krótko mówiąc, był formą.

To, co ostatnio znajduje się już „poza przepychem", nie jest już żadną formą. Dominuje bezkształtna magma nadmiaru. Współczesna kultura przekroczyła granice estetyki i pławi się w obscenicznym przesycie.

Tradycyjny przepych, choć męczący, niekiedy przytłaczający, operował jednak w kategoriach smaku – dobrego lub złego, ale jednak smaku. To, co mamy teraz, to estetyka złoconego odkurzacza czy diamentowej obudowy na smartfon. To nie jest celebracja piękna czy potęgi, ale neurotyczna potrzeba nieustannego dowodzenia statusu w świecie, gdzie status jest płynny niczym kursy kryptowalut.

Utknęliśmy w epoce symulakrów udających rzeczywistość. Symulakra – kopie nieposiadające swoich oryginałów – to znana koncepcja francuskiego filozofa Jeana Baudrillarda. Prawdziwy przepych był ciężki, materialny, zakorzeniony. Dzisiejszy turboprzepych często jest cyfrowy, przefiltrowany, wystudiowany lub beztrosko zmanipulowany na potrzeby piętnastosekundowej relacji na Instagramie.

BEZ WYRZECZENIA

Ale ucieczka poza granice splendoru dotknęła również drugiego bieguna – ascezę. Bo skoro przepych stał się wulgarny, asceza stała się towarem luksusowym. Dawna asceza była duchową praktyką, wyrzeczeniem w imię wyższych celów, jak u św. Franciszka czy Diogenesa żyjącego w beczce.

Dzisiejsza asceza to często wystudiowany minimalizm, który kosztuje krocie. To designerskie, puste przestrzenie w apartamentach, dieta pudełkowa dostarczana pod drzwi. Asceza oczyszczona z niewygody. Asceza jako styl życia, a nie jako wyzwanie duchowe.

W PUŁAPCE NICOŚCI

Ludzkość stanęła w dziwnym rozkroku, między wulgarnością nadmiaru a sterylnością wystudiowanego braku. Książka Krzysztofa Rafała Prokopa pewnie bada przestrzeń „pomiędzy". My żyjemy coraz bardziej w przestrzeni „poza". Poza skalą, poza znaczeniem.

Współczesna obsesja pokonywania granic, łamania tabu, rozmontowywania utartych znaczeń, kontestowania starych prawd zaprowadziła nas w ślepy zaułek. Chcemy żyć poza granicami wyznaczanymi nam przez role społeczne, płeć, odwieczne ludzkie powinności.

Najgorsze jednak to, że próbujemy żyć poza *dobrem* i *złem*.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 09487c1694

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl 09487c1694

„Zbudujmy razem studio z widokiem na Polskę. Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa".

ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

CEL: 1 000 000 zł **WESPRZYJ patriotyczne media**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY (dawniej upc)	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl 09487c1694